13

część III

TRZYNASTY-SCHRON.NET

13

CZĘŚĆ III

SPIS TREŚCI

Przedmowa (Kamil Kwiatkowski) 4
Prolog: MORELE (Krzysztof Persona) 6
Rozdział 1: BEZ CELU I (Bartosz Boroński, Kamil Kwiatkowski) 8
Rozdział 2: SID (Marek Dryjer) 21
Rozdział 3: BEZ CELU II (Kamil Kwiatkowski) 46
Rozdział 4: HIPOTEZA MEDEI (Mariusz Sobkowiak) 56
Rozdział 5: BEZ CELU III (Kamil Kwiatkowski) 76
Rozdział 6: MIĘDZY WYMIARAMI (Rhombus) 87
Rozdział 7: BEZ CELU IV (Kamil Kwiatkowski) 117
Rozdział 8: SZACUNEK DLA STARSZYCH (Bartosz Majorczyk) 134
Rozdział 9: BEZ CELU V (Kamil Kwiatkowski) 140

Zdj. na okładce: Twardowsky

Utwory literackie, muzyczne i graficzne wchodzące w skład projektu '13' podlegają ochronie prawnej w myśl ustawy z dnia 4 lutego 1994 r. O prawie autorskim i prawach pokrewnych. Utwory są intelektualną własnością ich autorów, którzy wyrazili zgodę na ich publikację na łamach czasopisma internetowego **Trzynasty Schron** (ISSN 1899-6396). Kopiowanie, zamieszczanie utworów lub ich fragmentów bez odpowiedniej zgody jest zabronione i może prowadzić do podjęcia kroków prawnych.

W ramach tych restrykcji możliwe jest wydrukowanie opowiadań na własny użytek.

Przedmowa

Kiedy jakoś w **2011 roku**, jeszcze jako współpracownik stały, a nie redaktor Trzynastego Schronu, przeczytałem opowiadanie **Michała „Verona" Tusza,** nie przypuszczałem, że chęć zilustrowania muzyki opowiadaniami (czy też na odwrót) przerodzi się w coś tak wielkiego jak **Projekt 13**. Konkurs **Polskie Postapo**, którego plonem było prawie trzydzieści opowiadań różnej długości przysłanych przez kilkanaście osób z całej Polski, pozwolił stworzyć względnie unikalny, choć wyraźnie inspirowany przeróżnymi innymi dziełami świat. Do tego zdjęcia i rysunki oraz muzyka – 71 utworów trójki wykonawców z Polski (**Wrathu**, tj. ja, **Morfeo**, **Darkchrist**) i dwóch zespołów z Rosji (**Retro Suicide** i **Relegerande**). A wiele dem nie zostało nigdy opublikowanych. Wszystko to zostało opublikowane równo pięć lat temu, **13 maja 2012 roku**. Pamiętam oczekiwanie na północ, o której punktualnie pojawiła się nowina i wspólną radość z przyjaciółmi, z którymi akurat mieliśmy domówkę. Mam wrażenie, że rzeczywistość, tak ta pozaschronowa, jak i schronowa właśnie, mocno się przez te pięć lat zmieniła, choć w gruncie rzeczy prawie wszystko pozostało takie samo.

Jednak to było dla mnie za mało. Pomimo setek stron, które ktoś tam czytał, miałem pewien niedosyt. Pierwsza i druga część literackiej warstwy Projektu, oplatane opowiadaniami odpowiednio **Verona** i **Rorsarcha**, były bardzo różne i brakowało mi jakiegoś zakończenia, splecenia tych dwóch historii. Z **Rorsarchem** pracowaliśmy nad serią opowiadań o pojedynczych co istotniejszych bohaterach, ale z czasem to porzuciliśmy. Jednakże lata później zdecydowałem, że mogę coś z tym zrobić. Niezatytułowane wówczas opowiadanie, do którego wymyśliliśmy bohaterów, z pewnego powodu odwiedzających postapokaliptyczny Toruń pod rządami pewnej frakcji, posłużyło za podstawę do tego, co oplata teraz trzecią część 13: **„Bez celu"**. Zechciałem dokończyć to, co zaczęliśmy jeszcze w 2012 roku, wykorzystując porzucone pomysły i ocalałe notatki, wykorzystując bohaterów z wybranych opowiadań z części pierwszej i drugiej. Chociaż jest mnóstwo nawiązań do przeszłych wydarzeń, mam nadzieję, że udało mi się to opisać w taki sposób, że ktoś, kto zacznie poznawanie Uniwersum 13 od tej części, będzie mógł czerpać taką samą przyjemność. Nie dało się jednak uniknięcia pewnych spoilerów odnośnie losów osób, które miały wpływ na ważne wydarzenia na terenie Polskich Pustkowi.

Zrealizowałem konkurs, **drugą edycję Polskiego Postapo**. Czy

ostatnią, zobaczymy. Niemniej jednak przyszły do nas opowiadania i zdjęcia, które zostały tu wykorzystane. Nie mają na ogół większego powiązania z głównym wątkiem, ale zadbałem o to, żeby sposób poznawania przysłanych przez Was historii był wiarygodny, a bohaterowie „Bez celu" je komentują i wyciągają wnioski ważne dla ich podróży, która bez wątpienia dla niektórych z nich okaże się ostatnią.

Przez te lata zostały zanotowane też różne literówki i błędy logiczne, które uniknęły wykrycia przed publikacją pierwszej odsłony „13", dlatego niektóre stare opowiadania zostały poprawione. I choć trochę kusiło mnie, żeby drastycznie zmienić i pociąć zawartość, nie zrobiłem tego. Każdy kiedyś zaczyna i choć teraz możemy się tego wstydzić, na nasze ówczesne warunki to była niezła rzecz. Nie każdy z nas był pisarzem. Większość z nas nie była. Choć dwóm osobom, które wysyłały nam wtedy opowiadania, udało się wydać swoje własne powieści i opowiadania – **Markowi Dryjerowi** (powraca tu z nowym opowiadaniem pod tytułem „Sid") oraz **Adamowi Bełdzie**.

Jak już mówiłem, występuje pewna ciągłość fabularna. Jeśli ktoś chce w pełniejszy sposób doznać tego, co go tu czeka, ale nie ma ochoty czytać kilkuset stron opowiadań bez pewności, które akurat będą istotne, wcześniej może sprawdzić kilka opowiadań z I i II części, do których będą wyraźne nawiązania: **„Trzynastka"** Verona, **„Zobaczyć Niebo"** Adama Bełdy, trylogia Rorsarcha **(„Cywilizacja"**, **„Zima"**, **„Nowa Era"**), moje **„13"** i **„Echa przeszłości"** Morfea. Pomocne mogą też być „Kronika" zawierająca daty istotne dla uniwersum czy też **Polskie Pustkowia Wikia** (**polskiepustkowia.wikia.com**), w której w miarę możliwości zostały zebrane informacje o opowiadaniach, postaciach, miejscach, florze i faunie. Co więcej – każdy z Was może pomóc w jej uzupełnianiu. Szczególnie proszę o to autorów, którym serdecznie dziękuję za przysłanie prac i mam nadzieję, że książkowe nagrody się podobają.

A co do dedykacji całego zbioru – dedykuję ją **czytelnikom Trzynastego Schronu**. Bo bez Was ani by Uniwersum 13 nie było, ani nie miałby kto go czytać.

- Kamil Kwiatkowski, 13 maja 2017

Prolog:
MORELE

Krzysztof „Twardowsky” Persona

Dzień Pierwszy
moich wspomnień błysk

Cisza.

Czy można poczuć ciszę?
Tego dnia ją poczułem, objęła mnie jak matka i utuliła do snu.
Poderwałem się ze swojego barłogu, czoło miałem zroszone potem… To był tylko sen…
Usiadłem na wywróconym marketowym wózku i zacząłem płakać.

Tak pragnę umrzeć.

Próbuję sobie przypomnieć jak to się stało, że jestem tu żywy i martwy zarazem. To, co zostało mi odebrane, zmieniło moje życie w wegetację, ale jak to się stało…? Łzy cisną mi się do oczu…

Pamiętam.

Pamiętam upalną sobotę, mama krzątała się po ogrodzie podjadając ledwie dojrzałe morele, stałem na dachu z szczotą w rękach i smarowałem powierzchnie pewnie rakotwórczym lepikiem. W tamtym czasie krzyczeli o GMO, o chemii w jedzeniu, o chlebie orkiszowym bez orkiszu i parówkach… nagły hałas wyrwał mnie z refleksji… czy to on?
Ale jak on mnie tu znalazł? Uspokoiłem się. To tylko szczur wygrzebał się ze sterty starych płyt winylowych. Mój współlokator spojrzał na mnie, podgryzając okładkę krążka Skaldów. Malutki łysy ogon zaczął falować w rytm muzyki… którą nagle usłyszałem i ja… całe moje moje schronienie zaczęło wirować i tańczyć… Owo zwierzę znienawidzone przez człowieka, typowy siewca epidemii, o dziwo niewinny śmierci ludzkości, uśmiechnął się do mnie i pląsając się w rytm muzyki Skaldów i zaczął najpierw nucić, a później śpiewać…. *Prześliczna wio-wiolo-wiolonczelistka, lala, la…*
Wtedy resztka mojego racjonalnego myślenia powiedziała mi, że coś nie jest tak…
Zemdlałem…
Mamo pamiętam… Pamiętam Cię i te morele…

2044

Jak to zwykle bywało, ważnym wydarzeniom towarzyszyły zawsze tzw. ‘alternatywne wersje’. Przedwojenny Internet był ich pełen, ktoś nawet ukuł powiedzenie, że Jeźdźcami Apokalipsy dwudziestego pierwszego wieku są Debilizm, Przesąd, Niewiedza i Ignorancja. Zwykle chodziło o spisek rządu albo jakiejś korporacji, mający na celu zawładnięcie światem. Po nieudanych apokalipsach w latach 2000, 2012, 2015, 2023, 2030, 2038 i wielu innych, nadeszła ta prawdziwa, nieprzewidziana.
- Bartosz Boroński, *Nowa Era II* (2012)

Rozdział 1:
BEZ CELU I

Bartosz Boroński
Kamil Kwiatkowski

Na kilka sekund zapadła kompletna cisza. Czuł spływający po skórze pot. W końcu uznał, że nie ma nic do stracenia.

5 lipca 2080

Na północy było zimno. Jak sobie żartowali żołnierze Federacji, czy to wiosna, czy to zima, mróz tu zawsze jaja ścina. Tylko Federacja Polska przestała istnieć kilka miesięcy temu. A następnego dnia ciężarówkę, którą Adam podróżował wraz z grupą zrzeszającą ludzi sprzeciwiających się władzy, zaatakowali Pancerniacy. Jeden granat wystarczył, aby część załogi zginęła. Niektórzy się bronili, inni uciekali. Adam, początkowo chciał się bronić, ale kiedy zobaczył na własne oczy słynne czarne pancerze, uciekł do najbliższych ruin. Nie wiedział, czy ktoś przeżył, czy ktoś go szukał. Leżał w jakiejś piwnicy, skulony w kącie, z bronią gotową do strzału. Nasłuchiwał. Ale nikt nie przychodził. Nie miał jedzenia, ale zmierzał do Torunia wraz z tamtymi ludźmi w nadziei, że tam się zaopatrzą. Nie byli już daleko, tak mówił kierowca. A potem, potem eksplozja rozerwała przód ciężarówki. Na samo wspomnienie tego obrazu, Adam zwymiotował. Widział umierających ludzi już nie jeden raz, ale rzadko kiedy ich kawałki trafiały go w twarz. Przewrócił się na bok, aby nie wylądować w wymiocinach i wpatrywał się w sufit.

Adam ma ciemne włosy i kilkudniowy zarost. Poza zwyczajowo przez siebie noszoną bluzą z kapturem i luźnymi spodniami, ochraniała go dodatkowo tylko znaleziona gdzieś po drodze kurtka. Raniący policzki chłód nie powstrzymał go mimo wszystko od chwili refleksji. Wspominał, choć niekoniecznie tego chciał w tym momencie. Od urodzenia mieszkał w Łodzi. Tam pierwszy raz spotkał ludzi, którzy odmienili jego życie. Ruda, Grave, Niemy… A także poznani nieco później Konrad i Julia. Długo nie mógł się otrząsnąć po tym, jak zobaczył zwłoki tej dwójki, gdy z krwawiącą ręką udało mu się wyczołgać z bazy w Suchorzowie. Skrzywił się na samo wspomnienie. Miał bardzo mieszane uczucia, bo dzięki tej wyprawie poznał wspaniałych przyjaciół, ale z drugiej strony była też największym błędem w jego dwudziestopięcioletnim życiu. Do dziś miał wątpliwości co do tego, czy nie lepiej byłoby się po prostu gdzieś zaszyć i przestać myśleć o sprawach wielkiej wagi. Nie było mu to jednak dane. Nie mógł pozostać neutralny, gdy podróżował z grupą aktywnych przeciwników aktualnej władzy.
— Wszystko w porządku? O czym myślisz? — jakiś czas później, dostrzegając jego zamyślenie, zadał mu to pytanie Piotr, łysy, rosły mężczyzna odziany w mundur wojskowy, z nieodłączną kataną na plecach i beretem na głowie. Choć pozował na nieustraszonego przywódcę, miał też swoją troskliwą, ojcowską stronę.
— Ta. Myślę o przeszłości. *Wyobrażam sobie życia lepszego fragmenty…* — zarapował wers ze starej polskiej piosenki.
— Nie wnikać?

— To nie jest na to dobry moment. W swoim czasie, ziom, okej? Uważaj na tyły. Idziemy...

Oko patrzyło. Kiedy je zobaczył, błysnęły mu przed wczorajsze wspomnienia, jednak wziął się w garść i wstał. Podniósł z ziemi ową gałkę oczną, która musiała przylepić się do jego ubrania podczas eksplozji i przyjrzał się jej z niesmakiem. Rzucił ją w kąt, po czym zlokalizował dziurę, którą wpadł do piwnicy. Była dość wysoko, a on nie mógł doskoczyć i chwycić się krawędzi. Rozejrzał się po podłodze, w poszukiwaniu czegoś, czym mógłby sobie pomóc we wspinaczce. Zauważył przewrócony stojak na ubrania i zgniecione kartony. Mimo to szukał dalej, aż dotarł do kąta, w którym leżało oko. Patrzyło ze swojego rodzaju pogardą, jak Adam próbuje uciec.

— Nie daj się zwariować — powiedział na głos. — To oko to po prostu kawałek kierowcy. Nie patrzy na ciebie.

Spoliczkował się. Sam wpędzał się w szaleństwo. Złapał gałkę oczną i rzucił ją przez dziurę w suficie, po czym szybko się odwrócił i zaczął obmacywać po omacku ściany, na które nie padały promienie słońca z dziury. Kiedy obszedł cały pokój, na podłodze zauważył strużkę krwi. Jego krwi. Obejrzał dokładnie swoje ciało i zauważył, że krwawił z prawego uda. Drobny krwotok, który musiał zakrzepnąć podczas ucieczki a teraz strup pękł i upłynęło trochę krwi. Usiadł i szybko opatrzył ranę odciętym przy pomocy noża kawałkiem spodni. Kiedy już to zrobił, poczuł że na czymś siedzi. Wsunął rękę pod swój pośladek i wyjął oko. Musiało sturlać się z powrotem do dziury i tutaj wpaść, gdy on przeszukiwał pokój. Rzucił nim w pobliską ścianę. Przez którą przeleciało. Teraz w ścianie widniała dziura. Rzucił się ku niej i zorientował się, że to tylko zwykła ścianka działowa, wykonana z dykty i kartonu.

— Ej, wszystko dobrze? – głos Piotra ocucił go, choć wciąż odczuwał pewien szok.

— O, więc tobie też nic nie jest... — odpowiedział Adam z trudem.

— No właśnie wątpię, czy czasem z tobą wszystko dobrze. Zaraz będziemy w Toruniu. To, co musisz wiedzieć o tym mieście, zanim wejdziemy, to fakt iż Pancerniacy chyba nie do końca panują nad sytuacją. Zanim nas wysadziło, słyszałem w radiu, że w kilku miastach wybuchły zamieszki, krwawo stłumione.

— Czaję... Chwila, zbiorę się i idziemy. Musimy kupić bandaże. Zajrzyjmy do tamtejszego szpitala. Poza tym jakieś medykamenty i inne rzeczy. Powiedz mi jeszcze... co się tak właściwie stało?

— Wjechaliśmy na minę Pancerniaków. Waż na to, że to ich teren, trzeba uważać. Mogą się okazać gorsi niż Federacja. A jeśli chodzi o naszych towarzyszy... nasz kierowca nie przeżył. Hubert jest cały, Anna też. Zbiera co się da z bagażnika. Masz swojego Gaussa? Tego, co dostałeś w Poznaniu?

— Czekaj... — pomacał kieszenie i pas — musiał mi wypaść, poczekaj moment.

Zaczął się rozglądać. Wciąż był w piwnicy, ale widocznie jego towarzysz wpadł tutaj za nim. To co wydawało mu się snem, było jawą a to co uznawał za rzeczywistość, było tylko nocną marą. W kącie, zamiast oka, leżał jego pistolet. Podniósł go i wsadził za pas. Przetarł oczy. Brakowało mu snu, zdecydowanie. Musi się przespać, gdy tylko będzie to możliwe, ale z pewnością nie będzie to takie proste. Za dużo emocji jednego dnia.

— Rozkminiłeś może, jak stąd wyjść? — spytał towarzysza.

— Są tutaj drzwi, ale zablokowane z drugiej strony. Ja wskoczyłem tutaj przez dziurę, jak ty.

— Pewnie Hubert nas nie usłyszy?

— Wie, że poszedłem ciebie szukać — Piotr oparł się na swoim mieczu, który był bezpiecznie schowany w pochwie. — Ale w okolicy mogą się kręcić Pancerniacy, lepiej nie hałasować.

Adam podszedł pod dziurę w suficie. Gdyby był trochę wyższy, może mógłby schwytać się wystającego pręta.

— Podsadź mnie — powiedział do swojego towarzysza, który założył miecz na plecy i kucnął pod dziurą, a Adam stanął na nim jedną nogą i przygotował się do odbicia od pleców Piotra. W końcu wyciągnął rękę i najpierw odepchnął się stopą od ziemi a potem drugą, od pleców towarzysza. Towarzyszyło temu głośne wypuszczenie powietrza z płuc przez tego drugiego, wywołane przez nacisk ciała Adama. Adam schwytał pręt, który niebezpiecznie zatrzeszczał, razem z zamarzniętym betonem. Szybko złapał się drugą ręką krawędzi a Piotr złapał jego nogi i postawił je sobie na barkach.

— I jak, dasz radę? — spytał Piotr.

— Już prawie.

Adam niemal wyczołgał się z dziury. Budynek musiał być kiedyś biurowcem, ale Wojna skróciła go o dobre dwadzieścia pięter. Na parterze walały się biurka i resztki komputerów. Zaczął zaciągać co większe i stabilniejsze fragmenty biurek do dziury, po czym zrzucał je na dół, aby jego kumpel mógł na nich stanąć i samodzielnie wyjść z piwnicy. W międzyczasie spojrzał przez okno i zobaczył duży kawałek ciężarówki, leżący w dole po materiale wybuchowym i krzątających się po okolicy towarzyszy. Ostrożnie stawiane kroki i pomoc kumpla zadecydowały o sukcesie. Wyszli na zewnątrz i zebrali się cała czwórką. Każdy dostał po zwykłym plecaku z jakiegoś materiału, wspólnie na zmianę nosili też karton ze złomem na sprzedaż. Słońce świeciło z tyłu.

Adam spojrzał na swoich kompanów. Nie widział w nich zbyt wielu wyróżniających się cech, nie byli nikim szczególnym. Nie znosił ich porównywać ze swoją starą drużyną, gdzie każdy miał swój własny charakter, obawy i cele, wady i zalety, tu nie potrafił tego dostrzec. Imienia Piotra z początku nie znał, ale został przekonany, że imię warto znać choćby po to, żeby móc się jakkolwiek zwracać. Piotr był urodzonym przywódcą. Wysoki,

łysy, na pierwszy rzut oka widać, że potrafi sobie poradzić. Jako broni używał głównie katany. Na wszelki wypadek nosił ze sobą też Glocka, ale jak dotąd Adam nie widział, żeby mu się przydał. Najstarszy z całej czwórki, mógł mieć około trzydziestki. Anna to zwinna, charyzmatyczna dziewczyna, trochę przypominała mu Rudą. Nawet włosy miała podobne, tylko nieco ciemniejsze. Nie była chyba jeszcze pełnoletnia, może jeszcze urośnie, była dość drobna. Nie zdążył jej jeszcze dobrze poznać, nie miał wypracowanego zdania. Ale najmniej kontaktu miał z Hubertem. Wychudzony, zgarbiony chłopak w wieku może dwudziestu lat, najwięcej czasu spędzał ze swoim laptopem. Aparycja Huberta nieco niepokoiła Adama. Wydawał się dość wyłączony i zdystansowany do świata i ludzi. Nieufny, ale posiadający sporą wiedzę, choć niechętnie się nią dzielący, a być może nawet robiący to jedynie z czystego pragmatyzmu. Gdyby był nieco bardziej umięśniony i miał lepiej gadane, z pewnością zdominowałby drużynę. Może dobrze, że był po prostu sobą.

— Idziemy! — oznajmił Piotr i nikt nie protestował. Miasto było bardzo niedaleko.

Adam już myślał, że na ciele kierowcy się dzisiaj skończy. Że nie będzie musiał widzieć więcej trupów. Mylił się. Po przejęciu miasta przez Pancerniaków doszło do rozruchów, które krwawo stłumiono. Ciała prowokatorów wbito na pale w głównych punktach miasta. Ku przestrodze, oczywiście. I żeby zasiać terror. Mieszkańcy, starający się udawać, że żyją tak jakby nic się nie zmieniło, nie mieli złudzeń – zostali wyzwoleni z więżących ich sznurów Federacji po to, by zostać zakutymi w łańcuchy Pancerniaków. Gdy smród w mieście zaczął być naprawdę nie do zniesienia, zlitowali się i przenieśli trupy na zewnątrz. Był to widok pozbawiający złudzeń. Piotr wydawał się bardzo zawiedziony. Jeszcze przed obaleniem Federacji z ochotą mówił o odrodzeniu Polski. Odkąd zobaczył Toruń, stał się bardziej milczący i długo nie wracał do tematu założeń grupy do tego stopnia, że niektórzy już zapomnieli, po co właściwie kierują się na północ. Jedynie u Huberta ciężko było zauważyć jakąkolwiek zmianę w zachowaniu w odniesieniu do tego ponurego widoku. Milczący był już wcześniej, a pisanie jakichś programów, których szczegółów nie chciał zdradzić nikomu, było jego codziennym zajęciem, jeśli tylko miał chwilę na to, by zatrzymać się i uruchomić laptopa. Rosnąca irytacja, gdy kończyły się baterie, nie była niczym zaskakującym. Zresztą, to jeden z powodów, dla których przystał na to, by zatrzymać się w Toruniu.

— Muszę mieć te baterie. Już — oznajmił Hubert niezbyt przyjemnym tonem kilkanaście minut po przekroczeniu granicy miasta, kiedy już zabudowania były coraz bardziej gęste.

— No, będziesz je miał, zluzuj majty — odparła Anna, coraz bardziej zmęczona ciągłym narzekaniem informatyka. — Boże… Wszyscy już wiedzą, że bez tych baterii nie wytrzymasz, ale mamy ważniejsze cele niż to. Więc zamknij się, a szybciej je znajdziesz. Jadaczką nie pomożesz nieść źródła naszego zarobku.

— Okres?

To jedno słowo wystarczyło. Karton ze złomem upadł na ulicę z głośnym metalowym trzaskiem, a Hubert dostał po twarzy. Piotr szybko podszedł do Anny i uspokoił ją gestem.

— Ej, ej, ej, spokojnie. Nie potrzebujemy tu kłótni. To był ciężki dzień. Mało nie zginęliśmy wjeżdżając na minę. Nie potrzebujemy zwracać tu na siebie niczyjej uwagi.

— Po prostu wkurwia mnie ten zapryszczony knypek ze swoimi mizoginistycznymi tekstami. Kompensuje sobie tylko w ten sposób brak kobiety, bo i jaka by na niego spojrzała. A i pomijając to, jest raczej mało użyteczny. Po co on w ogóle z nami podróżuje?

Piotr się zawahał. Nie powie jej przecież, że Hubert jest z nimi tylko dlatego, że jako jeden z niewielu potrafi uzyskać dostęp do internetu. Dzięki dostępowi do bazy danych, do której hasło przekazał mu Adam, był w stanie sprawdzić, które miasta są bezpieczne, a od których lepiej trzymać się z dala, które schrony wciąż są zamknięte, a które otwarte, a także gdzie występują mutanty, a nawet jakiego są rodzaju i jak się przed nimi bronić. Co więcej, był w stanie zdobywać informacje i wprowadzać w błąd wrogów przez podłączanie się do lokalnych sieci tak przewodowych, jak i bezprzewodowych za pomocą paru hakerskich sztuczek, których nikt inny z drużyny nie rozumiał. No i przede wszystkim, był w posiadaniu laptopa. Dorwać działającego na Polskich Pustkowiach nie było łatwo. Krótko mówiąc, bez Huberta Piotr, Anna i Adam krążyliby jak dzieci we mgle. W nocy. Wśród snajperów z goglami termowizyjnymi.

— Anno, przestań — powiedział stanowczo. Gdy zwracał się do kogoś używając imienia w wołaczu, wiadomo było, że nie żartuje. — Potrzebujemy tak Huberta, jak i ciebie. Oboje macie umiejętności, które pozwalają nam przeżyć.

Anna była kobietą. To samo w sobie było zaletą. Bardzo pomaga w negocjacjach. Dzięki temu napotkani ludzie od razu inaczej reagowali i byli jakby znacznie bardziej chętni do pomocy. Czy to poprzez udzielenie schronienia, zaopatrzenie czy inne takie. Oczywiście mowa o cywilizowanych ludziach. Kiedy w grę wchodzili bandyci i żołnierze, na nią trzeba było szczególnie uważać. W gruncie rzeczy okazuje się, że różnica między bandytami a żołnierzami nie jest taka wielka. Ci drudzy po prostu są bardziej uprzywilejowani i lepiej zorganizowani. Poza tym, Anna potrafiła też opatrywać rany i była znacznie lepsza w zwiadach i otwieraniu zamków. No i świetnie gotowała.

— Aha! Więc chodzi ci tylko o nasze umiejętności! — wyłapała nieostrożny argument.

— Uch, dobrze wiesz, że nie o to chodzi. Jesteście dobrymi kompanami, tylko czasem o tym zapominacie…

Adam przywykł już do ciągłych kłótni między Anną a Hubertem. Miał

wrażenie, że pod otoczką pogardy, Hubert tak naprawdę jej pożądał. Piotr pewnie też. Adam starał się utrzymywać pozytywne relacje ze wszystkimi, ale nie szukał miłości. Nie, dopóki nie znajdzie miejsca, w którym osiądzie na stałe z dala od Pancerniaków, bandytów, mutantów i całego tego syfu na Pustkowiach. Póki co jednak, zdobywał środki na życie podróżując z tą bandą. Piotr powiedział mu kiedyś, że nazwali się Odrodzeniem, ale domyślał się, że po ujrzeniu, do czego tak naprawdę doprowadził upadek Federacji, Piotr nie jest już taki przekonany. Czy jego idea przetrwa próbę w postaci zetknięcia się z czarnymi zbrojami i karabinami Pancerniaków? Adam nie miał pojęcia. On sam już powątpiewał. Miał coraz mniej nadziei. Ale starał się nie poddawać. Razem z Piotrem odpowiadali za obronę Anny i Huberta w razie ataku bandytów lub mutantów. Sam nie wiedział, co gorsze. Bo chociaż ci drudzy byli z całą pewnością bardziej potężni, to nie byli zdolni do takiego okrucieństwa jak ci pierwsi. Bandyci to w końcu, bądź co bądź, ludzie. A nie ma nikogo zdolnego do większych okrucieństw.

— Piotr, ty pochodzisz z Gorzowa, co nie?

— Zgadza się — przytaknął. — Perła Zachodnich Pustkowi. Największe miasto na zachód od Poznania i północ od Wrocławia — umieścił miasto na wyobrażonej mapie. Na wzmiankę o Poznaniu Hubert odruchowo obrócił głowę w stronę mówiącego. Adam pomasował się po poparzonej prawej ręce, z którą było już trochę lepiej. Anna obserwowała uważnie przez cały czas, ale na słowo Wrocław uniosła wyżej brwi. Piotr kontynuował.

— Przynajmniej odkąd udało się pozbyć tamtejszych gangów i powstała kwitnąca społeczność. Większość obecnych mieszkańców pochodzi z tamtejszego schronu, ale jest też wielu przyjezdnych. Możemy się poszczycić zasługującym na uwagę targowiskiem i największą biblioteką, na jaką można natrafić w odbudowanych miastach. Promieniowanie nie jest zbyt wysokie, a i mrozy nie są tak ciężkie jak na północy. Co ciekawe, udało się uruchomić linie komunikacji miejskiej. Jakiś bogaty Arab ją ufundował. A rozerwać zawsze można się w lokalnym kasynie.

— Jakiej waluty tam używacie? — zapytała Anna. — Na południu wciąż korzysta się raczej z żetonów.

— Przedwojenne złotówki, ale żetony też przyjmują. No i bardzo dobrze się ma oczywiście handel wymienny.

— Nie byłam pewna, czy złotówki wciąż mają jakąś wartość.

— Mi z kolei ciężko zrozumieć popularność żetonów. Po wyjściu z Unii w trzydziestym drugim euro trzymało się bardzo nisko i Polska wróciła do złotego. Trochę wzrósł na znaczeniu i taki stan utrzymał się aż do wojny. Potem nikt nie widział sensu, by zmieniać tę walutę na coś innego.

Piotr był pasjonatem historii i zawsze sypnął z rękawa jakąś ciekawostką. Anna wpatrywała się w niego z zainteresowaniem. Z całą pewnością ceniła sobie osoby, które mają pewną wiedzę i nie są bucami. Hubert prychnął.

— To musi być piękne miasto — powiedziała dziewczyna. — Z opisu wynika, że jest jakże inne od tego szarego i brudnego świata, który mijamy,

idąc na północ. No właśnie — zbystrzała, kierując tym razem wzrok na Adama. — Czy to nie był argument, który przekonał cię, żeby ruszyć z nami? Co chcesz znaleźć na północy? — spytała.

— Już nie. Ale wtedy miałem nadzieję znaleźć Rorsarcha.

— Rorschacha? Jak ten psycholog?

— Nie, Rorsarcha. Gdy się spotkaliśmy po raz pierwszy, Piotr mówił, że ostatnio widziano Rorsarcha w Toruniu, tak więc było mi bardzo po drodze. Chciałem go spotkać i powiedzieć mu o pewnych tajnych układach Federacji, by pomóc mu ją obalić… Ale jak widać, nie byłem mu do tego wcale potrzebny. Wciąż jednak chcę go poznać. Nie słyszałem o człowieku, który zdziałałby więcej na Polskich Pustkowiach. To żywa legenda. Mityczny bohater Pustkowi.

— Zdajesz się bardzo go podziwiać. Ale kim on właściwie jest? Czego dokonał?

— To lekarz i neuroinformatyk z krakowskiego schronu, ale walka również nie jest mu obca. Został moim bohaterem, gdy pomógł uratować Łódź, a stamtąd pochodzę, przed ciężko uzbrojoną bandą bandytów dumnie siebie zwących Dzikimi Kobrami. Walczył z niebezpiecznymi kultami, zmutowanymi zwierzętami. Wynajdywał tajne dane z przedwojennych badań ukryte po schronach. Przyczynił się też do zwycięstwa z armią robotów w Warszawie.

— I chcesz powiedzieć, że to wszystko zasługa jednego teleinformatyka?

— Neuroinformatyka, tak. Mi też to się momentami nie mieści w głowie. Być może któreś historie są przesadzone, nie widziałem tego wszystkiego na własne oczy. Ale Łódź uratował. Dla mnie to wystarczy.

Anna wydęła wargi i uniosła brwi w wyrazie ostentacyjnej aprobaty. Powiodła wzrokiem po sąsiednich budynkach, aż w końcu zauważyła stragany i kupców.

— Znaleźliśmy. Czego potrzebujemy? Oprócz, oczywiście, baterii do laptopa? – dodała ironicznie, rzucając złośliwe spojrzenie Hubertowi, na co ten zareagował prychnięciem, nie kwapiąc się, by jej odpowiedzieć.

— Przede wszystkim zapasów wody i jedzenia. Suchary, konserwy. Tyle, ile da się zabrać. Survival to nie bułka z dżemem, a postapo to nie rurki z kremem i panny w podartych majtach z ASG na plecach.

Plac otaczały najwyżej trzypiętrowe kamienice, licząc bez parteru. W pobliżu znajdowały się też ruiny katolickiego kościoła i ratusza. Dość charakterystycznym punktem był nadgryziony przez czas pomnik mężczyzny z kręconymi włosami w szacie, trzymającego astrolabium. Wśród odzianych w zimowe płaszcze sprzedawców maszerowali pojedynczy Pancerniacy, pilnując porządku. Kilku stało przy ścianie i paliło fajki. To dopiero luksusowy towar. Anna zatrzymała się na nich wzrokiem dłużej niż jej towarzysze. Miasto zdawało się funkcjonować wzorowo, przynajmniej jak na te czasy.

— Robimy tak — zaczął Piotr. — Ja postoję tu ze złomem, Hubert niech

poszuka swoich baterii, a wy — zwrócił się do Adama i Anny — zróbcie dobre wrażenie na sprzedawcach wody i żarcia. Jeśli znajdziecie bandaże i leki, koniecznie też weźcie. Kupcie to za resztę tego, co mamy, tymczasem ja sprzedam trochę złomu. Potem musimy znaleźć nowego kierowcę i jakieś miejsce do spania.

— Nie wydaje mi się, żeby ten pomysł miał przyszłość. Sprzedawać złom, kiedy jest go mnóstwo dookoła? – dziwiła się Anna, gdy wraz z Adamem przemierzali stragany.

— Ale nie *taki* złom. Części samochodowe i elektroniczne to coś, co na pewno trudniej znaleźć w okolicy, ktoś już to na pewno zdążył zabrać. A potem to sprzedaje, tak to działa. Nie brakuje maniaków craftingu takich jak Hubert, którzy potrafią skleić jakieś urządzenie z paru części, a na części samochodowe wciąż jest duże zapotrzebowanie. Niestety łatwiej znaleźć kierowcę oferującego przejazd niż samochód, którym dałoby się pojechać. Potem razem pójdziemy na parking i znajdziemy kogoś, kto w zamian za pieniądze, ochronę i wyżywienie zawiezie nas, gdzie potrzebujemy.

Anna skrzyżowała ramiona i zadrżała z chłodu. Miała kurtkę, ale robiło się coraz zimniej. Spojrzała na Adama, który miał tylko bluzę z kapturem.

— Brrr, nie mogę na ciebie patrzeć. Dziwię się, że nie zamarzasz.

— Jest mi trochę zimno, nie będę cię kłamał, ale zwyczajnie nie mam nic cieplejszego. Może tu znajdę coś, co nas ogrzeje.

— Może — dziewczyna wzruszyła brwiami, bezbłędnie wyłapując dwuznaczność.

Wiatr przywiał jej w ręce ulotkę. Były na niej szczegółowe informacje definiujące Federację Polską, twór państwowy rzekomo ochraniający ludność Polskich Pustkowi, ich podział administracyjny, sposób zorganizowania administracji. Każda z tych informacji była już właściwie bez znaczenia.

— „Chcesz bronić Federacji, która chroni twoją rodzinę? Naziści, barbarzyńskie ludy, mutanci, Rosjanie, oni wszyscy chcą zniszczyć nasz uporządkowany świat! Możesz temu zapobiec, wstępując do armii Federacji!” — zaśmiała się. — „Zgłoś się już teraz do najbliższych koszar w twoim kantonie.” Wolne żarty. Byli tacy zorganizowani, mieli taki wspaniały plan, a nie wzięli pod uwagę, że kiedy będą zajęci bitwą w Warszawie i wyślą tam większość swoich oddziałów, to w innych miastach władzę przejmie inna banda jakichś...

— Cichaj — Adam stanowczo ją ostrzegł. — Jesteśmy obserwowani.

Rzeczywiście, chodzący tu i tam Pancerniacy jakby bardziej się nimi zainteresowali i trudno było zgadywać, czy przyciągała ich uroda Anny, czy bardziej jej głośne zachowanie, a może rozpoznali w Adamie „niebezpiecznego zbiega”, jak to już o sobie usłyszał w Radomiu. Co on komu zawinił, że pewna przestępcza grupa sprzedała jego i jego wcześniejszą drużynę i wysłała na samobójczą misję. To był kolejny powód, dla którego wolał pozostać neutralny

i się po prostu nie mieszać. Zaangażowanie w polityczne gierki przypłacił poparzeniem i utratą jedynych bliskich osób, jakie wtedy miał.

Anna była już cicho i trochę spochmurniała. Pozornie odzyskała humor dopiero przy sprzedawcach, kiedy trzeba było się dogadywać i targować. Poszło nadzwyczaj dobrze, udało się załatwić optymalną ilość prowiantu i wody, bandaże i medykamenty również się znalazły. Ktoś, kto widział ich z tym wszystkim, łatwo mógł dojść do wniosku, że szykowali się na dłuższą wyprawę. Dziewczyna czasem spoglądała na Adama, trochę bojąc się rozglądać, żeby nie przyciągnąć czasem spojrzeń facetów odzianych w czarne pancerze.

— Państwo! Państwo wyglądają na takich, co to mogłoby się wam przydać — rzucił jakiś kupiec przy stole z przeróżnymi przedwojennymi kasetami i urządzeniami, które umożliwiały ich odtwarzanie. Jedynie 40 zł za cały zestaw dyktafon plus kilka kaset! Towar prosto z Wrocławia, nieśmigany!

— Nie sądzę, żeby to się nam przydało — rzucił Adam, dość oschle. Po chwili dodał: — Za 40 zł to moglibyśmy kupić cały pięciolitrowy baniak wody.

— Daj spokój — wtrąciła się Ania. — Kiedy ostatnio słyszałeś jakieś dobre rapsy? Bez sprzętu pozostanie ci tylko cytowanie z głowy. Może ten sprzedawca ma coś, co ciebie też zainteresuje. Może taki dyktafon nie wydaje się zbyt praktyczny, ale tylko na pierwszy rzut oka. Po pierwsze, słuchanie kaset z muzyką zwiększy nasze morale i nie będziemy się tak załamywać nad naszym losem. Po drugie, kto wie, czy nie przyda się do zostawienia jakiejś wiadomości czy coś.

— Nic dodać, nic ująć — skwitował sprzedawca. — Jak dla was, to będzie za połowę ceny.

— Przekonałaś mnie — uległ w końcu Adam. — Użyłaś niepodważalnych argumentów. Hip hopu z człowieka nie wyciągniesz. Dziękuję, panie sprzedawco — rzekł jeszcze do niego. Przy 50% rabatu nawet nie zależało mu tak bardzo na selekcji wśród proponowanych kaset. Z przyjemnością sprawdzi, co jest na każdej z nich. A Hubert na pewno będzie miał jakieś baterie.

Ostatnią kwestią było załatwienie kierowcy, który skusiłby się na niebezpieczną wyprawę, którą planowali. Opcji było kilka, ale siłą rzeczy uwagę Adama i Ani zwrócił wysoki ciemnowłosy mężczyzna ubrany w skórzaną kurtkę z futrzaną podszewką, plastikowanymi naramiennikami, mnóstwem ćwieków i łańcuchów, a któremu towarzyszyła dość młoda, na oko dziesięcioletnia dziewczynka, siedząca na masce potężnego samochodu

sprawiającego wrażenie zmontowanego z wielu różnych części tworzących razem coś brzydkiego i pięknego zarazem.

— Szukamy… — zaczął Adam, ale nie było dane mu skończyć tak nawet krótkiego zdania.

— Szukamy kierowcy — wtrąciła się Anna. — Albo kogoś, kto użyczy nam wozu. Zdaje się, że macie tu niezłego potwora.

— Ano — odparł krótko groźnie wyglądający mężczyzna. — A ja szukam zarobku. Jeśli mógłbym któremuś z was go powierzyć, tym lepiej. Wolę zarabiać, siedząc z tyłu i eliminując zagrożenia.

— Anna — przedstawiła się, równocześnie analizując to, co powiedział potencjalny kierowca. Czyli był najemnikiem. Objęła przyjacielsko swojego towarzysza. — A to Adam.

— Franek — odpowiedział swoim mianem i wskazał na dziewczynkę o jasnych włosach. W jej wzroku było coś przenikliwego i niezbadanego, a przy tym wydawała się tak oderwana od okropnej rzeczywistości, w jakiej przyszło jej żyć. No i była dzieckiem. Nieczęsto się je tu widzi. — A to Jagoda. Dokąd zamierzacie jechać?

— Na wschód, w okolice Warszawy.

Franek uniósł brwi, nie takiej odpowiedzi się spodziewał. Przeważnie ludzie uciekali na zachód, do Poznania, który jako tako się trzymał, albo dalej, do Gorzowa, ewentualnie na południowy zachód do Wrocławia… Ale na wschód? Na Świecące Pustkowia? Jałowe ziemie będące polem niekończącej się i bezsensownej bitwy o nie wiadomo już właściwie co? Z drugiej strony, tam było mniej Pancerniaków.

— Czego tam szukacie? Nie spodziewałbym się tam czegokolwiek poza promieniowaniem, Barbarzyńcami, mutantami i niedobitkami armii, które dawno zapomniały, o co już walczą.

— Szukamy… Rorsarcha — wyjaśnił Adam konspiracyjnym szeptem.

— Och — mina najemnika zupełnie się zmieniła. Było jasne, że wie, o kim mowa. — To zmienia postać rzeczy. Miałem okazję poznać go, gdy ochranialiśmy karawanę z Radomia do Łodzi. Liczyła piętnaście osób, trzech kupców i czterech strażników oraz kilku uzbrojonych najemników, w tym ja. Droga przebiegała spokojnie i żaden z nas nie przypuszczał chyba wtedy, że Rorsarch będzie przeznaczony do wielkich czynów. Po bitwie w Warszawie byłem święcie przekonany, że zginął, a wy mi tu z takimi rewelacjami.

— Skoro wiesz, kim był, nie muszę chyba tłumaczyć, że to dość poufna informacja.

— Tak, to żywa legenda. Jeśli Czarne Pancerze o tym by usłyszały, niechybnie by ruszyły za nim w pościg i dokonano by publicznej

egzekucji. Choć według mnie, powinni mu dziękować, gdyby nie jego poświęcenie, nie mieliby w ogóle czym rządzić.

Anna podeszła do dziewczynki, która z nadzwyczajną ufnością się w nią wpatrywała i zdobyła się nawet na uśmiech. Uśmiech dziecka w tych czasach jest cenniejszy niż kiedykolwiek wcześniej.

— To twoja… — zaczął Adam.

— Nie, nie jest moją córką — odpowiedział Franek, nie czekając aż Adam skończy pytanie. — Ale nie mogłem jej zostawić. Mam wrażenie, że kiedyś będę tego żałować, ale po prostu nie mogłem.

— Znaczy, jesteś dobrym człowiekiem. Nie każdy by się na to zdobył…

— Dobra, przestań pieprzyć, tylko gadaj, gdzie mamy podjechać.

Mieli wszystko. Hubert znalazł zaś baterie. Naturalnie, nie przyjął zbyt entuzjastycznie nowych członków załogi, ale Piotr się ucieszył za ich dwóch, choć naturalnie dziecko było powodem do zmartwienia. Czy to było właściwe moralnie, żeby zabierać ją na tak niebezpieczną wyprawę?

— Podsumujmy, co wiemy — zaproponował Piotr, gdy już wszyscy siedzieli w wozie przy mieście.

— Barman w Radomiu kazał nam wiać na Świecące Pustkowia i szukać El Zapatilli, cokolwiek to, kurwa, znaczy i powiedzieć typowi, że przysyła nas Rorsarch. Paradoksalnie, to od niego mamy się dowiedzieć, gdzie Rorsarcha szukać. Zdobyliśmy sprzęt, jedzenie, wodę, mamy wóz, bo poprzedni straciliśmy wjeżdżając na minę — wyjaśnił szybko, żeby Franek wiedział, co się stało.

— Kto z was najlepiej prowadzi? Jak już mówiłem Adamowi i Ance, wolę strzelać — rzucił najemnik.

Piotr zgłosił się do kierowania samochodem, który miał nawet więcej miejsca niż poprzedni. Tymczasem Anna wyjęła kupiony na targu dyktafon i zestaw kaset, co wywołało powszechne zaskoczenie. Razem z Adamem przeglądała kasety. Jagoda położyła się na brzuchu i wsparła rękoma, wymachując bosymi nogami. Hubert z zaciętym wyrazem twarzy wkładał nowe baterie do laptopa. Fakt, że działały, trochę go uspokoił.

— Jaki był login Niemego? — zapytał nad wyraz uprzejmie Adama.

— *Fallen33*. Hasło *13*.

Kiedy Hubert wstukiwał litery i cyfry, Anka podniosła jedną z kaset, która miała naklejkę z ręcznym napisem „SID”.

— To jakiś punk?

— Sprawdźmy. Choć nie pogardziłbym technicznym death metalem — rzucił Piotr.

Po włożeniu baterii do dyktafonu i wciśnięciu *play*, okazało się, że było to

nagranie głosowe.
Zaczęło się od przenikliwego krzyku.

Skoro nie możemy żyć jak ludzie, postarajmy się przynajmniej nie żyć jak zwierzęta.
- José Saramago, *Miasto Ślepców* (1995)

Rozdział 2:
SID

Marek „Obcy" Dryjer

Rozległ się przerażający krzyk, padły strzały, a potem zapanowała głucha cisza. Chłopiec ocknął się z półsnu, był wystraszony i z trudem oddychał. Próbował nasłuchiwać, ale powracający kaszel utrudniał ocenę sytuacji. Dławił się, kiedy przysłaniał spierzchnięte usta. Nabrzmiałe policzki pulsowały, twarz pokryła się purpurą, a oczy łzawiły. Przetarł je brudną ręką i powachlował powiekami. Wypatrywał ruchu w połyskujących ciemnościach. Zygzakowate błyskawice pojawiły się w oddali, zapłonęło niebo. Miasto paliło się już od wielu tygodni, języczki czerwonego ognia i smugi gryzącego dymu szczelnie przykryły Wrocław. Chłopiec uspokoił oddech, poczuł gorzki posmak migdałów na języku. Poczekał jeszcze chwilę, a potem bez słowa powstał z wilgotnego podłoża i pochylony, niczym schorowany starzec, wolno pomaszerował prosto w mrok. Zaskrzypiał metalowy właz, którego wieko uderzyło o betonową ścianę. Kilka sekund później podziemia dworca Głównego ogarnął, mrożący krew w żyłach huk, zamykających się ciężkich wierzei. Chłopak zakręcił korbą i zaryglował wejście do tunelu. Za drzwiami, tam skąd przyszedł, błysnęły w ciemności słupki pionowych źrenic. Potem pojawiły się kolejne i następne jeszcze wybałuszone oczy, i wszystkie zgodnie patrzyły w stronę odgrodzonego od nich metalowym włazem zagadkowego miejsca. Stwory zasyczały z niezadowolenia i bezszelestnie zniknęły w oparach mlecznej nocy.

Chłopiec obudził się.

— Zły sen, zła wróżba — pomyślał.

Był szczupłej postury i miał piętnaście lat. Blond czupryna skrywała się pod naciągniętą na głowę starą maską. Czarnym uniformem wycierał pobielone ściany ciemnego tunelu. Słyszał wodę, która skapywała z sufitu. Kawałkiem papieru sprawdził cyrkulację powietrza.

— Muszę zdobyć lepszą maskę — pomyślał. — I latarkę, albo zapalniczkę, która rozjaśni mi te piekielne tunele.

Do jego uszu dotarło głuche echo uderzeń w metalowe drzwi.

—Dobijają się, są głodne, kimkolwiek są, bo na pewno nie ludźmi.

Uderzył się w czoło, żeby odreagować złe emocje. Zapanowała cisza, którą od czasu do czasu przerywał szelest jego butów na zaśmieconym podłożu. Kiedy przystawał, nieuchwytna cisza powracała, tak jakby bawiła się z nim w kotka i myszkę. Po następnym kroku zamknął oczy, usłyszał wtedy kolejny odgłos, tym razem dobiegający z wnętrza tunelu. Usłyszał skrobanie metalowym ostrzem o ścianę, które zaraz ustało. Wstrzymał oddech, zbitka szalonych myśli przetoczyła się przez jego głowę. Namacał ręką kamień i czekał. Minuty przeciągnęły się w godziny. Ktoś w końcu przemówił:

— Oni by tyle nie czekali. Ty nie jesteś jednym z nich.

Chłopiec tylko słuchał. Po głosie wywnioskował, że mocno zdarte gardło należało do starszego człowieka, który nie stanowił chyba zagrożenia.

— Boisz się — ponowił mężczyzna. — Rozumiem, ja też się boję.

— Od dawna? — wyrwało się chłopcu.

— Młodyś — uśmiechnął się starszy człowiek. — Ongiś też się bałem.

— Kim jesteś?

— Nikim ważnym. A ty, kim jesteś?

Młodzieniec milczał.

— Milczysz? Rozumiem. W tych czasach należy pilnować słów, żeby ktoś ich przypadkiem nie skradł, bo co nam pozostało cenniejszego?

— Życie — odparł chłopak.

— Młodyś, mało jeszcze widziałeś. Powiadasz, że życie. A jakie jest to twoje życie? Czy jest dobre, beztroskie, czy ma może smak rachatłukum?

Chłopiec odruchowo przełknął ślinę.

— Jest złe, pełne problemów i ma smak głodu, ale to moje życie, jedyna cenna rzecz, która mi pozostała.

Mężczyzna zaczął kaszleć, po chwili splunął. Poczuł w ustach smak krwi.

— Skoro tak mówisz. Mnie tam wszystko jedno. Dokąd idziesz?

Chłopiec znowu nie odpowiedział.

— Tak myślałem. Masz, czym zahandlować?

— Nie mam nic na zbyciu.

— Rozumiem. Nic nie masz i niczego nie potrzebujesz?

— Dobrej maski potrzebuję — oznajmił chłopiec.

— Ciszej, kurna, bo się tu zlecą — skarcił go mężczyzna. — Mam na zbyciu maskę, pokrytą cienką warstwą szkła ołowiowego, ale potrzebuję coś w zamian. Co chowasz w kieszeniach? Alkohol, papierosy? Broni i tak pewnie byś mi nie dał.

— Mam nasze banknoty, trochę zużyte, ale widać jeszcze na nich polskie głowy koronowane. Dam ci setkę?

— Mamona? Nic niewarte papierki. Masz coś jeszcze?

— Nie.

Mężczyzna przez dłuższą chwilę zastanawiał się nad czymś.

— Dobrze. Dam ci maskę na kredyt. Będziesz mi coś winien.

— Co?

— Nie wiem. Coś.

— Dobrze — powiedział chłopiec. — To uczciwy układ.

Mężczyzna wyjął z plecaka zapasową maskę i podał chłopcu. Zrobiło im się raźniej. Przyzwyczajeni do samotności tak samo, jak do ciemności, stronili od obcych i od światła. Chłopiec ukrywał się w ruinach miasta, za dnia przemierzał zgliszcza wypalonych kamienic, nocami schodził do kanałów. Mężczyzna mieszkał w katakumbach dworca, był zasłużonym kolejarzem, znał plany i tajemnice całego kompleksu. Jego ojciec i dziadek projektowali stacje i rozległe kazamaty Głównego. Kolejarz dobrze wiedział, że pod dworcem był obszerny, wielopoziomowy schron o kilkumetrowych, żel-betonowych ścianach, a za nim poniemiecki szpital z czasów II wojny światowej. Pod obecnymi torami, wiele metrów pod ziemią, było ukryte pierwotne torowisko, które rozbudowano. Wydrążono nowe tunele i jeszcze dalej poprowadzono podkłady podziemnej kolejki. Zbombardowane i niemal zrównane z ziemią w 1945 roku miasto Breslau miało metro. Dokąd prowadziły jego tunele?

— Załóż nową maskę — powiedział mężczyzna, po czym dotknął chłopca

czujnikiem promieniowania, prototypem PRS-1W. — Czystyś, dobrze. Nie mamy czasu. No pójdźże już.

— Promieniowanie? — zapytał chłopak.

— To także. Wiesz, mózg się topi, płuca się rozkładają, te sprawy.

Chłopiec zrozumiał sugestię kolejarza. Założył maskę i przetarł zaparowane szybki, usłyszał zmieniony oddech. Mężczyzna ubrał maskę i zakręcił kołem. Zaskrzypiały drzwi, do wnętrza tunelu wślizgnęła się lśniąca niebieska mgiełka. Połyskująca i skrząca się na zewnątrz ciemność sprawiała wrażenie fosforyzującej kotary, która zasłaniała ściany i sufit. Mężczyzna i chłopiec wyszli z tunelu i wtopili się w lśniącą poświatę. Przez wyrwy w dachu dostrzegli bordowe niebo. Chłopcu zdawało się, że szare ściany spoglądają na nich wielkimi dziurami po kulach karabinowych. Kurzyło się podłoże. Stosy śmieci, szmat i butelek walały się gdzie popadnie. Wiatr syczał w ruinach murów, frontowe wieże były powalone, a z zegara pozostały zaledwie kawałki potłuczonego szkła i pogięty metal. Wskazówki ktoś ukradł.

Mężczyzna wskazał chłopcu czwarty peron, a kiedy go minęli, złapał młodego za rękę i poprowadził schodami prosto do głównego holu. Ciągle się przy tym rozglądali. Chłopiec nie chciał iść, gdyż był świadkiem bestialskiego gwałtu i mordu na młodej ślicznotce, którego tam dokonano. Do dziś słyszy we śnie jej błagalny głos.

— Idziemy — poganiał go mężczyzna. — Weźże się wreszcie rusz, musimy zdobyć wodę i wiktuały.

Chłopiec potwierdził głową i przestał się szarpać.

Schody łączące peron z holem były dziurawe. Na ścianach długiego korytarza wisiały zakrwawione plakaty i podarte rozkłady jazdy. Chłopiec ledwo odczytał ich rok. Pod sufitem ujrzał pogięte podkłady torów, a pod nogami popękaną, kwadratową kostkę. Na końcu holu dostrzegł połyskujące światło. W pierwszej chwili pomyślał, że to wyładowania atmosferyczne albo radioaktywne łuny. Było to jednak tylko światło latarki.

— Nie idźmy tam — szepnął chłopiec.

— Tam jest skład wody. Drzewiej, co poniektórzy zrobili wielkie zapasy.

— Byli zapobiegliwi — zażartował chłopiec.

— Raczej cwani, już wtedy myśleli, jak się tu dorobić na tragedii. Młodyś, naiwny. Tacy długo nie pożyją. Skończysz z kulką w głowie albo w garnku tych maszkaronów.

Chłopca zmroziło, przywarł do ściany. Ktoś poruszał się w ich kierunku, światła latarek błyskały na gzymsie. Świetlne zajączki goniły się po obdartych z gipsowego tynku bladych ścianach.

— To królestwo Wodniaka — powiedział mężczyzna. — On tu teraz rządzi. Plotki głoszą, że był nikim i że skupywał butelki w tysiącach. Nikt nie wiedział, po co to robił, aż do czasu tragedii. Wtedy stał się kimś.

Świetlne zajączki zniknęły i rozległy się strzały. Terkot automatów wypłoszył wielkie szczury z pobliskich kanałów. Na przedzie korytarza pojawiły się przygarbione sylwetki, które niemrawo szły w stronę chłopca. Na pobliskich peronach zrobił się szum, słychać było kastaniety.

— Otoczyli nas — powiedział chłopiec.

Mężczyzna spojrzał w stronę czwartego peronu.

— Idzie noc, wyłażą z ciemności, będą polować. Kładą się spać dopiero o brzasku.

Chłopiec złapał kolejarza za rękę. Mężczyzna spojrzał dziecku w oczy, które były duże i wystraszone. Dostrzegł je przez szybki maski ochronnej. Szkliste spojrzenie mężczyzny świadczyło być może o jego postępującej chorobie. Obaj przylgnęli do zimnej ściany. Mroczny hol przecinały pasy jasnego światła. Na ścianach drgały pajęczyny. Rozwalone do cna budki, w których kiedyś sprzedawano zacne knysze, straszyły swym widokiem. Pogięte dachy, wybite okna i przerdzewiała konstrukcja. Stosy gruzów i śmieci. Świeża krew na posadzce.

Zamaskowane sylwetki otoczyły krępego mężczyznę na środku przejścia. Kolejarz z chłopcem, przyczajeni za jedną z budek, zerkali w jego stronę.

— Jak nic zaraz go zakatrupią — powiedział chłopak.

— Może tak, a może nie. Buńczuczny jest, będzie gorąco.

Chłopiec przylgnął do ściany, po chwili jednak odważnie wyściubił nos, do miejsca, gdzie w pełni dostrzegł pole walki. Napastnicy trzymali w rękach siekiery, automatów nie było widać. Rozległ się przeraźliwy skowyt.

— Nie patrz tam — powiedział mężczyzna do chłopaka, ale ten nie odwrócił głowy.

— Chcę patrzeć.

— Dobrze, zatem patrz.

Siekiery poszły w górę, stwory w szarych kombinezonach wzięły zamach. Stojący pośrodku nich w niebieskim uniformie mężczyzna przyjął postawę bojową. Na chwilę zamarli, a potem ponownie rozległ się niszczący umysł dziki skowyt. Ruszyły na niego, niczym sfora wściekłych psów. Uchylił się przed pierwszą siekierą, której ostrze uderzyło w podłożę. Poszła iskra, broń wypadła szpotawemu osobnikowi z ręki. Potem padł drugi cios, zadał go olbrzymi mutant, w którego łapie śmiercionośny oręż wyglądał jak zabawka. Tego razu mężczyzna także nie przyjął. Złapał większego od siebie osobnika za rękę i powalił na ziemię. Chwilę później wbił mu nóż, aż po rękojeść i rozpruł wnętrzności. Ryk zarzynanej bestii zamienił się w kwilenie. Krwawa plama pojawiła się na podłodze. Kompani zabitego ślizgali się na blado-bordowej cieczy. Na rozdeptanej wydzielinie uformowały się podłużne ślady butów.

— I powiedzcie Wodniakowi, że po niego wrócę! – krzyczał mężczyzna, kiedy zabijał następnego stwora. Pozostałe mutaki wzięły nogi za pas. — Nic do was nie mam. To tylko interes.

Chłopak nie wytrzymał i poderwał się z miejsca. Miał już dość krwawych obrazów i przerażających odgłosów. Nieznajomy go dostrzegł. Na nic zdały się próby ratowania sytuacji przez kolejarza, który próbował pochwycić dzieciaka.

— Stój, bo strzelę!

Spluwa była wycelowana w głowę dziecka. Po tym, jak nieznajomy obszukał trupy mutaków, którym zzuł buty, podbiegł do drżącego chłopca. Upchał wcześniej do plecaka z trupią czaszką, wyłożonego ekranem

ołowiowym zebrane fanty: fajki, okowitę, zapałki, żarcie i… wodę. Zaledwie kilka szklanych butelek, oklejonych tandetną etykietą z widocznym logo Wodniaka.

— Mówiłem, żebyś się nie ruszał!

Chłopiec milczał.

— Wyłaź stamtąd! — krzyknął nieznajomy w stronę ukrywającego się za stertą klamotów kolejarza. — No już, bo załatwię młodego!

Mężczyzna wychylił głowę zza winkla, po czym wyprostował się i wyszedł przed pogiętą i sypiącą się budę. Nic nie powiedział, tylko zerkał.

— I co ja mam z wami zrobić? — dumał nieznajomy, który rozglądał się i nasłuchiwał. — Puścić nie mogę, bo nie wiem, coście za jedni? Może od Wodniaka? Muszę was zabić, najpierw starego!

— Nie! — krzyknął chłopiec.

Jego głos był wyjątkowo silny, o niespotykanym brzmieniu, aż nieznajomy musiał zasłonić uszy.

— To nie jest żaden stary, to mój dziadek.

Nieznajomy zerknął podejrzliwie na młokosa.

— Dla mnie stary i lepiej niech tak zostanie, rozumiesz młody? Nie mam czasu na zbędne gadki. Muszę iść, a nie mogę was tak zostawić — powiedział i przeładował broń, którą wycelował w kolejarza.

— Weź to — rzekł trzęsący się ze strachu mężczyzna, kiedy wyjmował z kieszeni kilka przedmiotów. — Weź, przyda ci się, to resztki ocalonej elektroniki, popsutej, ale kto wie, może da się to poskładać. Mam też bezcenny miernik promieniowania.

Nieznajomy opuścił broń.

— Nie jestem złodziejem.

— Nie jesteś — powtórzył jego słowa kolejarz.

— Uważaj! Myślisz, że jest inaczej? Twierdzisz, że kłamię?

Kolejarz podniósł ręce do góry, kiedy zobaczył ponownie wycelowaną w jego stronę broń.

— To nie jest kalumnia. Nie twierdzę, że kłamiesz. Kiedyś ludzie kłamali i oszukiwali się na potęgę, ale teraz to się nie zdarza, bo i po co niby mieliby to robić?

Nieznajomy nie zrozumiał.

— Nie chcę waszych fantów, od tamtych wziąłem, bo nie będą już im potrzebne. Mam, co chciałem i więcej nie potrzebuję.

— Nie zabijaj nas — powiedział chłopiec.

— Jeżeli tego nie zrobię, będę musiał was ze sobą zabrać. Jeśli was nie zabiję, to tak, jakbym was nie ocalił. Będę więc za was odpowiedzialny. Tu śmierć jest najlepszym rozwiązaniem. Musicie być mi potrzebni. Co oferujecie, świerszczyki z panienkami?

— Wiem, gdzie jest radiostacja — powiedział chłopiec.

— Bujda, żadna nie ocalała. Poza tym, po co mi ona?

— Mówią, że na zachodzie Europy świat ocalał…

Nieznajomy podejrzliwie zerknął na młodego.

— Kto tak mówi?

Chłopak nie wiedział, co powiedzieć. Nerwowo poprawiał maskę, tak jakby go uwierała.

— Mówią tak ci, co ocaleli — rzucił stary. — Politykierzy, ukrywający się w schronie pod placem Solnym i w podziemiach Rynku.

— Rozmawiałeś z nimi?

— Tak.

— Pod miastem są tunele?

Kolejarz zanim odpowiedział, spojrzał na chłopca, który uśmiechnął się do niego. Uśmiechu nie było widać, ale najstarszy w tym gronie dostrzegł go w oczach młokosa, albo tak mu się przynajmniej zdawało.

— Są tam, i nie są to imponderabilia. To prawdziwe kazamaty, labirynt kanałów i tuneli, wielkie schrony, podziemne miasto…

— A kolej, też tam jest? Podziemna kolej?

Kolejarz odprężył się.

— Metro?

Nieznajomemu błysnęły oczy. Schował broń i założył plecak.

— Tak, o metro mi chodzi. Dokąd prowadzi?

— Ponoć Hitler miał stąd podziemne połączenie z zamkiem Książ, a tunele drążyli także w stronę Wilczego Szańca. Sudety były rozkopane. Opancerzone pociągi były widziane, jak wyjeżdżały spod ziemi na wysokości Bielan Wrocławskich. Jedna nitka metra miała prowadzić do Berlina.

— I ty pewnie znasz mapę podziemnego miasta?

Kolejarz potwierdził skinieniem głowy.

— Ocaliłeś skórę, którą i tak trzeba chronić, ale te kombinezony wprowadzone do sprzedaży w 2012 roku nie były przetestowane w warunkach bojowych. Amerykański szajs, nic więcej. Ruskie są lepsze. Wiem, kto takie ma. Ten Berlin daje do myślenia. Zbieramy się, lepiej nie włóczyć się nocą po mieście.

— A Wodniak? — zapytał chłopak.

— Ukrywa się w tunelu, pod schroniskiem dla bezdomnych na Małachowskiego. Zdobyłem trochę jego wody na mutakach, ale do niego nie mogę dotrzeć. Skurczybyk zapadł się pod ziemię.

— Wiem, jak tam trafić — powiedział kolejarz. — Znam ten tunel.

Nieznajomy zaśmiał się.

— To dobrze, stary. Młody wskaże nam łączność. Razem się stąd wydostaniemy i jeśli świat nie umarł, odnajdziemy naszą ziemię obiecaną, ostatni bastion ludzkości.

— Jak cię zwą? — zapytał kolejarz.

— Sid. Mówcie mi Sid.

Kilka następnych godzin przesiedzieli w jednym z tuneli pod dworcem. Chłopak zdrzemnął się, kolejarz w tym czasie zdradził Sidowi kilka podziemnych sekretów. Zapalili po papierosie. Polskie były dobre i mocne. Urywały ryj i dusiły, jak oznajmił Sid.

— Stacja zero znajduje się trzydzieści metrów pod nami — powiedział

stary. — Można się tam dostać podkopem wprost ze starego szpitala. Jest tam jeszcze drugi pasaż, węższy, trzeba się czołgać. Można nim dotrzeć do piwnic hotelu Grand, którego ruiny sterczą po drugiej stronie ulicy.

— A gdzie jest jedynka, pierwsza stacja metra? — zapytał Sid, kiedy smarował swoją niezawodną parabelkę.

— Stacja jeden jest położona pod dworcem Świebodzkim, jakieś dwa kilometry stąd. Arkosolium prowadzące do niej biegnie pod ulicą Piłsudskiego. Na wysokości Powstańców Śląskich jest odnoga, niestety niedostępna, bo zalana. Tamtędy tunel metra przebiega niemal w linii prostej aż do Bielan. Dostęp do tej nitki podziemnej kolejki jest możliwy jeszcze z jednego miejsca. Właz jest pod stacją numer jeden.

— Jedynką rządzi Szachista — powiedział Sid.

— Słyszałem o nim. Podobno wybitny strateg. Wrogom przed śmiercią proponuje partię żywych szachów.

— Tak właśnie jest. Zarządza wielkimi składami alkoholu, który skradł z wrocławskich hurtowni.

Sid wspomniał stare czasy: suto zakrapiane imprezy, bary i knajpy.

— Pamiętam z filmów, jak ze Świebodzkiego zaraz po wojnie odjeżdżały pociągi z wypędzonymi Niemcami — powiedział stary. — Trzydzieści lat później kursowały stamtąd składy do nieodległego więzienia. Z końcem XX wieku zamknięto dworzec. To piękny, zabytkowy kompleks z bogato zdobioną elewacją, zegarem na wieżyczce i bramą z filarami. Pamiętam teatr, który znajdował się na terenie dworca. Chodziliśmy z żoną na spektakle, lubiła komedie. I te perony, stary parowóz, knajpka w wagonie, coniedzielny bazar wypełniony ludźmi… Tęsknota za minionym. Zapach niezapominajek.

— Musimy się tam przedostać i odnaleźć właz od kanału łączącego Świebodzki z metrem pod Powstańców — powiedział Sid. — Co z trójką?

— Trzecia stacja jest pod bunkrem na Grabiszyńskiej. Bunkrów tak w ogóle jest kilka, tych, które stanowią oddzielne stacje i łączą miasto siecią tuneli. Stadion Olimpijski skrywa pod ziemią trzynastkę. Poza stacją

trzynastą, za czasów wojny były tam głęboko wydrążone przez Niemców ogromne sztolnie, w których mieściły się magazyny żywności, fabryka uzbrojenia i skład broni dla oblężonego Festung Breslau.

— Słyszałem o stacji pod stadionem — wtrącił Sid. — Mutaki nie wiedzą, jak się tam dostać. Ludzie także próbują odnaleźć przejście. Wielkie leje na drogach i promieniowanie skutecznie ich odstrasza. Głód jednak jest silniejszy od rozumu, chęć przetrwania na ogół zwycięża i zmusza do podjęcia ryzyka. Tysiące puszek z żarciem, biblijna manna, ziemski raj, który czeka na odkrywcę. Masz, zapal jeszcze i ruszamy.

— Nie chcę — powiedział kolejarz.

Dzieciak już się obudził, w kącie załatwiał potrzebę. Płakał, słychać było jak ciągnie nosem i szlocha.

— Synuś, chodź tutaj. Masz, napij się. Sid dał nam wodę. Masz też tabletki, dobre na ból zębów i głowy. Mnie łeb rwie już od dawna. Synuś, chodź tutaj, nie daj się prosić. Niebawem ruszamy.

W słabym świetle kopcącej świecy dało się zauważyć zbliżającą się postać chłopca, który zahaczał butami o śmieci i żelastwo. Po podłodze sunęły opasłe szczury, trzymały się z dala od ognia. W szczelinach tunelu polowały pająki, a po ścianach szły ciemne karaczany. Chłopiec usiadł obok kolejarza, odchylił maskę i napił się wody. Była pyszna, dawno już tak dobrej nie pił. Sid pociągnął łyka gorzały z metalowej piersiówki. Zjedli trochę pasty energetycznej, przesłodzonej, mdłej, przywracającej nadwątlone siły. Świeca zgasła i zapanowała ciemność.

— Dziadziuś, boję się — powiedział chłopiec, kiedy ostrożnie przesuwał się wzdłuż gładkiej ściany. — Zaświećmy światło. Słyszę jakieś odgłosy.

— Nie możemy, nie teraz. Sid powiedział, że jak będzie można, to zapali latarkę, którą ma na masce. Idź dalej, synuś, za jakieś trzydzieści metrów skręcisz w lewo.

Po ścianie przeszły owłosione robaki. Chłopiec wyczuł je ręką, którą zaraz cofnął. Nadepnął wtedy na coś i się potknął, narobił rumoru.

— Ciszej, kurwa — zaklął Sid. — Łazić nie umiesz? Zaraz cię nauczę.

— Nie chciał — powiedział kolejarz. — Synuś, prawda, że nie chciałeś?

Chłopiec nie odpowiedział.

Zmierzali tunelem w stronę pierwszej stacji, ominęli łącznik i przeszli obok kanału prowadzącego do Granta. Na dobre opuścili strefę schronu i podziemnego szpitala dworca Głównego.

— Nad nami jest Piłsudskiego — powiedział kolejarz.

— Cicho, stary — rzucił Sid.

— Dlaczego tak go nazywasz? Nie możesz mówić dziadek?

Sid zatrzymał się i wyjął broń. Po chwili dało się usłyszeć suchy trzask zamka, kiedy przeładowywał spluwę.

— No, co, znowu się mnie czepiasz? — bronił się młokos.

— Cicho, młody — zagaił nieprzyjemnie Sid. — Ktoś tu jest.

Po ścianach tunelu spływała woda, słyszeli jak gdzieniegdzie skapywała na podłoże. Oddychali przez maski, niewiele widzieli. Wyobrażali sobie tylko mutantów, którzy mogli czaić się kilka metrów dalej. Sid przylgnął do prawej ściany, chłopiec sunął wzdłuż lewej, za nim podążał kolejarz. Starali się omijać klamoty, które leżały na podłożu. Umiejętnie przenosili nogi nad różnymi przeszkodami, tylko chłopiec był nieuważny i często w coś kopał. Sid miał już tego dość. Na szczęście okazało się, że nikogo tam poza nimi nie było. Kilka szczurów otarło się o ich nogi i podreptało w tylko sobie znanym kierunku.

— Te cholery najlepiej znają podziemia Wrocławia. Gdyby tak jednego wytresować i podążyć za nim — powiedział Sid. — Ale są napasione trupim mięsem.

— Nic z tego — powiedział kolejarz. — Są mniejsze, łatwiej jest im przecisnąć się przez szczeliny. Doskonale wyczuwają wodę. Bezbłędnie omijają zalane miejsca. Mój ojciec opowiadał mi, że w 1945. po kapitulacji twierdzy Breslau, po Wrocławiu chodziły wielkie szczury. Niektóre były większe od kotów, i były ich tysiące.

Trzy pokolenia ludzi dzielnie walczących o przetrwanie, idących w

stronę kolejnej śluzy.

Kapanie ustało i zrobiło się bardzo gorąco. Ciężko się oddychało, chcieli nawet zdjąć niewygodne maski, ale żaden z nich się nie odważył. Sid sprawdzał dotykiem ścianę. Natrafił na jakieś przewody, dalej były jeszcze grube, zimne rury, a po nich kolejne przewężenie. Musieli się przez nie przeczołgać. Zdjęli plecaki. Pierwszy przeszedł chłopiec i choć bał się jak diabli, musiał to uczynić. Sid powiedział, że jak tego nie zrobi, to odstrzeli mu łeb. Po dłuższej chwili cała trójka była już po drugiej stronie. Powstali z kolan. Dokładnie sto kroków dalej minęli z lewej śluzę, za którą, być może był tunel metra. Na prawo, pod Świdnicką były podziemia arkad z niedużym schronem. Metalowa pokrywa włazu była nienaruszona. Poszli prosto. Ciężko im się szło, kolejarza bolały kolana i plecy, a chłopiec narzekał na podkręconą kostkę. Sid nie uskarżał się na nic. Chłopiec wiedział, że i jego zapewne coś bolało, ale z jakiegoś powodu nie chciał dzielić się z nimi tą wiedzą.

— Był twardy, jak tory kolejowe — pomyślał dzieciak. — Jak grube żelbetonowe ściany schronu. Nie to, co ja, marny, zabiedzony i narzekający.

Ugryzł się w język, zacisnął zęby. Po raz pierwszy się nie poskarżył, choć ból był nieprzyjemny, a na języku dało się wyczuć słodkawy posmak. Sid mocno imponował chłopakowi.

— Tu są podziemia Hali Targowej II, zbombardowanej w 1945 roku i rozebranej wiele lat później. Potem w tym miejscu był plac handlowy, zwany Zielińskiego — wyjaśnił stary. — Tunele jednakowoż po hali pozostały. Podobna konstrukcja była wybudowana niedaleko placu Nowy Targ, których podziemia łączyły się ze sobą, a nitki kanałów prowadziły wprost pod Ostrów Tumski.

— Można to jakoś ominąć? — zapytał Sid. — Do Świebodzkiego już niedaleko.

— Nie bardzo. I tak musimy zejść z kursu, dalej tunel pod Piłsudskiego jest zalany. Odkąd rzeka przełamała wały na Odrze, fosa bez przerwy go zatapia.

Chłopiec sapał, ale się nie skarżył. Targał plecak swój i Sida, który repetował broń.

— Umiesz strzelać? — spytał kolejarza.

Ten zaprzeczył, gdyż brzydził się broni.

— Wiesz, co, stary, młodemu nie dam spluwy, bo jeszcze się postrzeli. — Który to właz?

— Następny.

Sid dotknął pokrywy, była zimna. Przyłożył do niej ucho.

— Głucha cisza - pomyślał.

Było ciemno i zrobiło się zimno.

— Odsuńcie się, otwieram — powiedział do kolejarza i chłopaka.

Ciężkie wrota nie tak łatwo było otworzyć, dał jednak radę i z tym. Weszli do środka. Tunel wydawał się węższy i było tam znacznie cieplej. Przeszli może z dwadzieścia metrów i skręcili w lewo, pojawiły się szczury i robaki.

— Słyszysz? — Sid spytał chłopaka.

— Tak.

Mięśniak wyciągnął przed siebie rękę z bronią.

— Żerują, skurczybyki. Na trzy wchodzimy.

Chłopiec nie chciał, kolejarz także nie kwapił się z wejściem do środka. Nikt nie lubił niezapowiedzianych gości w porze obiadowej.

— Raz.

Chłopak zebrał się w sobie. Dziadziuś wiedział, że innej drogi nie było. Muszą tamtędy przejść.

— Dwa.

Kolejarz złapał za plecak, w drugiej ręce błysnął rewolwer, który wziął od obcego.

— Trzy! — oznajmił Sid.

Chłopak miał wizję, która trwała sekundę albo dwie. Zobaczył słońce, biało-żółte, gorące, którego palące promienie raziły oczy. Błyszcząca kula

trwała na szczycie morskiego nieba, ani jednej chmurki nie było na nim. Zielone korony drzew kołysały się w rytmie letniego wiatru. Niewidoczne ptaki wiły w nich swoje gniazda. Słyszał pisklęta, słyszał dorosłe ptaki, ich świergot, ptasi śpiew i trzepot skrzydeł. Gżegżółki, źdźbła trawy, motyle, oraz babie lato. Ujrzał na tle firmamentu potężny budynek, który wyglądał jak wielki fallus. Sky Tower był ogromny, a jego wieża najwyższa w Polsce do roku 2013, kiedy to w Warszawie wybudowano obiekt trzystumetrowy. Brzask, jutrzenka i żółć, i otwarta szkarłatna szkatułka, z której wysypały się cudne marzenia.

— Jeszcze nas nie dostrzegły — powiedział Sid, kiedy wślizgnął się do środka.

— Jest ich wiele — oznajmił kolejarz. — Dużo za dużo, jak na nas trzech.

Chłopiec bał się odezwać, usłyszał szczebiot, skrzypienie i szelest. Ujrzał dżdżownicę i chrząszcza na mokrych źdźbłach położonej trawy, i źrebaka, i budynek szkoły w oddali. Sielskie obrazy zniknęły.

— Palą ognisko, ogrzewają się, jakiś kociołek wisi nad ogniem?

Sid przytaknął kolejarzowi.

— Stary dobrze gada. Ciekawe, co żrą mutaki?

Chłopiec wolał nie wiedzieć.

— Gdzie jest właz od tunelu, którym dojdziemy do Świebodzkiego? — spytał Sid.

Kolejarz wskazał palcem.

— A więc jednak — rzucił Sid. — Musimy przejść obok nich.

Skradali się tuż przy ścianie, żeby nie dojrzały ich do ostatniej chwili. Szerokie plecy Sida i jego kocie ruchy zaintrygowały chłopca. Kolejarz powłóczył nogą, starał się nie hałasować. Obcy zajęci byli rozmową, niektórzy z nich śmiali się na głos, inni jedli w kącie. Chłopiec słyszał, jak głośno mlaskali, tak jakby mieli zdeformowane usta. Po chwili dojrzał wreszcie ich sylwetki z bliska. Było to stado, rodziny, a wśród nich młode osobniki. Niektórzy nosili maski, pozostali wyglądali okropnie. Zdeformowane ludzkie

twarze wyglądałyby lepiej. Skóra płatami schodziła im z policzków, włosy były spalone, brakowało nosów i uszu, miały wybałuszone, czerwone oczy. Ich tępy wzrok lustrował garnek z parującą zupą. Obok gara leżało rozbebeszone ciało.

Sid zobaczył wtedy, że za tłumem zdeformowanych mutantów kucało kilkoro ludzi. Mieli ręce skrępowane drutem i byli przypięci łańcuchem do ściany. Kiedy Sid podszedł bliżej, zauważył, że ich usta były zaklejone taśmą. Byli przerażeni, trzęśli się i płakali, próbując zerwać więzy kajdan. Ktoś dorzucił do ognia i buchnął płomień. Wtedy w schronie pojaśniało. Ściana, przy której sunęli Sid, chłopak i kolejarz, stała się dobrze widoczna. Wtedy dostrzegli się wzajemnie. Mutaki zaatakowały. Niektóre poruszały się na dwóch nogach, tak jak ludzie, inne sunęły niczym szczury przy podłodze prosto w stronę wystraszonego chłopca.

— Stary, wal w tego z lewej — powiedział Sid. — Ja biorę na siebie tę wszetecznicę, matkę stada ludzi-nieludzi.

Padł pierwszy strzał i wskazana matrona upadła na pysk, pocisk utkwił w jej brzuchu. Sid włączył latarkę, przymocowaną do pistoletu. Cienka strużka światła skakała po czołach popromieńców, którzy padali na ziemię, niczym rażeni piorunem. Kolejarz w końcu wystrzelił. Wpakował garść ołowiu w kłębiące się przy podłodze ciała, które już wyciągały w jego stronę masywne paluchy, uzbrojone w długie, twarde pazury, przypominające orle szpony.

— Zdychaj, cholero! — pokrzykiwał Sid, kiedy jego spluwa, niczym naruszona żelazna szczęka, wypluwała kolejne zęby ze stali.

Mutaki pluły kłami w kolorze ziemi, kiedy raził je precyzyjnymi ciosami ręki albo nogi. Chłopak był zachwycony siłą uderzeń buta żołdaka.

— Nic do ciebie nie mam — powtarzał kolejarz do każdego napotkanego stwora, który syczał na niego i szykował się do skoku.

Powtarzał, a potem strzelał, a gdy skończyły mu się kule, walił je po łbach ciężką kolbą.

— Uważaj! — krzyknął chłopiec do Sida. — Za tobą, tato!

Sid zdębiał, zareagował jednak bezbłędnie. Kopnięciem obrotowym

powalił stojącego za nim napastnika. Potem wbił mu nóż myśliwski po rękojeść prosto w serce. Mutant zakwilił i zdechł.

— Dzięki, młody — rzucił Sid w stronę chłopaka, który gdzieś się skrył.

Pozostałe mutaki schowały się w ciemnych zakamarkach obszernego schronu, skąd licznymi kanałami pouciekały w nieznane miejsca.

— Są jak szczury — rzucił kolejarz, z trudem łapiąc powietrze do płuc. — Żerują, a potem chowają się po dziurach.

— To jakaś nowa grupa, dotąd ich nie spotkałem — oznajmił Sid, poprawiając ubranie.

Potem przeładował broń i wyłączył światełko latarki na pistolecie. Ognisko już dogasało, więc włączył lampkę przymocowaną do maski na twarzy.

— Jest ich pełno — dodał stary. — Są jak szarańcza, pochłaniająca roślinność. To hieny, tak samo jak one ogołocą mięso do kości. Nie mają żadnych skrupułów.

— Uciekły — wydukał chłopiec.

Sid i stary zerknęli na niego.

— Młody się znalazł — zażartował Sid. — Gdzieś ty był, jak żeśmy wojowali?

Chłopiec nie odpowiedział.

— Daj mu spokój — powiedział jowialny kolejarz. — Wiele przeszedł.

— Jak my wszyscy. Poczciwy staruszek — rzekł z ironią Sid. — Niech sobie smyk nie myśli, że dostanie taryfę ulgową. Po moim trupie. Za karę będzie pilnował garnków z wodą, kiedy będą grzały się na ogniu, a do kąpieli wejdzie ostatni.

Chłopiec nic nie powiedział, a kolejarz nic więcej nie dodał. Wszyscy uznali sprawę za zakończoną. Sid uwolnił z łańcuchów skrępowaną rodzinę. Kobieta podbiegła do leżącego nieopodal martwego dziecka i wtuliła się w jego rozwleczone wnętrzności. Jej twarz pokryła się krwią.

— Gdzie ten właz?

Słowa Sida wybiły chłopca i kolejarza z zadumy. Obaj płakali.

— Tam, za filerem. Okrągły właz z wygrawerowanym, niemieckim napisem i obrotowym zamknięciem.

Sid westchnął i spojrzał na żerdzie.

— Żyć nie umierać — rzucił na odchodne. — Zbierać się, idziemy.

— A oni? — zapytał chłopiec, wskazując na uwolnioną rodzinę.

— Nie moja sprawa.

Chłopiec się oburzył.

— Jak to nie twoja?

Sid odwrócił się i złapał młodego za chabety, po czym podniósł go do góry. Spojrzał mu wtedy prosto w oczy. Chłopiec zamknął je, takiego spojrzenia nigdy nie widział.

— Pamiętasz, co ci mówiłem? Przypomnij sobie. Zabrać ze sobą, albo zabić. Dla ciebie zrobiłem wyjątek. Teraz znowu to robię…

— Poszedłeś nawet krok dalej — zakpił kolejarz. — Nie ciągniesz ich ze sobą, pozwalasz odejść.

— Stary?!

Sid nie przebierał w słowach, bo po wywołaniu kolejarza puścił dodatkowo kilkuzdaniową wiązankę najgorszych przekleństw.

— Sam jesteś stary. To jest dziadek, dziadziuś — powiedział chłopiec.

Sid coś sobie wtedy przypomniał.

— A ja jestem twój tatuś? Co ty sobie myślisz, szczeniaku? Że kim ty niby jesteś, że wprowadzasz tu rodzinne powiązania? Nic o mnie nie wiesz i lepiej niech tak zostanie.

Chłopiec milczał, na szybkach jego maski od środka pojawiła się wilgoć.

— Spadamy stąd — nakazał Sid. — Pieruńska rodzinka, kierunek właz!

Kilka minut później byli już w kanale. Kolejarz wskazał odnogę, którą mogliby przedostać się do piwnic sądu przy ulicy Sądowej. Tam nie było stacji, ale były niezbadane metry kanałów i tuneli, które biegły pod wielkim gmachem. Prawdopodobnie był tam magazyn zarekwirowanych narkotyków.

Kazamaty sądu łączyły się z piwnicami aresztu śledczego. Poszli prosto do Świebodzkiego.

Kolejne metry w ciemnym kanale, następne pełne grozy chwile spędzone w marszu w czarnym tunelu. Sam na sam z własnymi lękami i słabościami. Ich trzech, jakże różnych od siebie i jakże podobnych jednocześnie. Trzy pokolenia wyrwane z różnych epok tego samego miasta i wrzucone do wspólnego kotła z napromieniowaną pożywką. Ciemność, błysk światełka latarki i cisza. Metaliczny posmak na języku. Głuchy oddech pod maską, zachodzące parą osłony na oczy, ból ciała, strach i zbitka szalonych myśli.

— Musimy się czołgać — powiedział stary.

— Zmieścimy się?

Kolejarz spojrzał na Sida.

— Myślę, że tak.

Sid zaklął.

— Myślisz? Nie jesteś pewny?

— Nie pamiętam! Myślisz, że wszystko pamiętam? Ty też masz wszystko w głowie?

Sid przeprosił, zaskoczył ich tym. Poklepał kolejarza po plecach. Chłopiec odetchnął.

— Ty pierwszy — nakazał chłopcu czołgać się i po tym, jak młodzian zniknął mu z oczu, ruszył za nim. Kolejarz był ostatni, ciągnął za sobą powiązane rzemieniami plecaki.

— Ile jeszcze? — zapytał chłopiec.

— Niewiele, zaraz powinniśmy dotrzeć do ostatniego korytarza — odparł dziadziuś. — Potem kanał i schody w dół, kilkanaście stopni, a dalej tunel, którym dostaniemy się pod dworzec Świebodzki.

Zrobili krótką przerwę.

— Chcę pić — powiedział chłopiec. — Zjadłbym drożdżówkę z jabłkiem.

Sid podał mu butelkę, a kiedy chłopiec ją złapał, żołdak nie puścił jej.

Przez chwilę trzymali ją obaj.

— Wiedz, że cię polubiłem — powiedział do chłopca, puścił butelkę i zgasił lampkę.

Chłopiec napił się i podziękował. Potem długo milczeli.

Ostatni tunel przeszli na stojąco, był ciemny i wilgotny, tak jakby nagle znaleźli się nocą w jakimś tropikalnym lesie. Tylko zapach był nie ten sam. Zamiast roślinności, czuli metal w ustach. Jedyną wspólną rzeczą dla obu tych miejsc, był strach, który od dłuższego czasu im towarzyszył. I samotność, ona była najgorsza. Nie zapalili jednak światła, nawet zapałki, niczego. Weszli po betonowych schodkach, potem betonowym holem przedostali się do małego zaułku, gdzie odnaleźli metalową drabinkę, wbetonowaną w żel-betonową ścianę pionowego szybu. Ostatnie metry były najtrudniejsze, ostatnie szczeble jakubowej drabiny okazały się dla nich prorocze. Sid uchylił właz.

— Widzisz coś? — pytali go.

— Widzę ciemność i niewyraźne kontury.

— Poświeć latarką — poradził chłopiec.

Sid warknął na niego, aby się zamknął.

— Nic, tylko ciemność. Idziemy.

— Poczekaj — powstrzymał go stary. — Posłuchaj ździebełko…

— To wiatr.

— Nie, to nie wiatr — powiedział stary. — To nie wiatr.

Było już jednak za późno. Po tym, jak Sid opuścił kanał, ujrzał wycelowane w pierś lufy pepesz.

— I co? — dopytywali spod ziemi.

Sid milczał.

— Czemuż? — rozmyślał.

Po chwili cała trójka stała obok siebie.

— To się nam trafiła gratka — powiedział mężczyzna w żółtym kombinezonie.

Sid, kolejarz i chłopak nawet nie zdążyli zaprotestować.

— Dałem się podejść — pomyślał Sid. — Niech to diabli.

Poprowadzono ich do schronu. Ciężko schodziło się po stromych schodkach ze związanymi rękami. Stanęli na równej posadzce, po której niemrawo się poruszali, jakby odwlekając moment niechcianego spotkania. Sterty papierów i śmieci zalegały pod nogami. W ostatnim pomieszczeniu, do którego weszli przez rozszczelnioną śluzę, ujrzeli jasne światło. Słyszeli pracujące generatory. Miejsce to przypominało raczej gustownie urządzony pokój, niźli podziemny schron. Ściany były pomalowane, panele zdobiły podłogę i było czysto. Pośrodku pokoju stał duży orzechowy stół, zastawiony jedzeniem. Białe skórzane sofy stały obok rozpalonego kominka. Na ścianach wisiały stare obrazy. W kącie lśniły butelki, wyeksponowane w modnym barku, a po drugiej stronie kwatery pięknie prezentowała się dębowa biblioteczka z książkami, licząca tysiąc tytułów. Dywan w biało-czarną szachownicę idealnie pasował do nowoczesnego wnętrza.

— Świat jeszcze się nie skończył — rzekł podekscytowany chłopiec.

— To, co dostrzegasz, jest tu — powiedział Szachista i wskazał na głowę. — Możesz zobaczyć to, co chcesz widzieć, ale może być też tak, że nie dostrzeżesz prawdy. O tym, co jest prawdą, a co tylko złudnym mirażem, musisz już zdecydować sam.

Chłopak spojrzał na mężczyznę o jasnej skórze i białych włosach. Jego niebieskie oczy błyszczały w mocnym świetle. Kolejarz przymknął powieki. Sid zaś gapił się na gospodarza, jak na oderwanego od rzeczywistości boskiego orędownika, którego kiedyś spotkał na swej drodze, i którego to później zabił.

— Nie będę was pytał, po co przyszliście, bo i tak nie powiecie mi prawdę, ale ja wiem swoje. Chcecie palącej wody, więc wam ją dam, ale nie ma nic za darmo. Najpierw zagramy w szachy, stawką będzie wasze życie.

Po tych słowach postaci w maskach wniosły i ustawiły na dywanie białe i czarne bierki.

— Ja będę grał czarnymi — dodał i strącił z planszy czarnego pionka i czarną wieżę.

Sida ustawiono na H1, a chłopca na G8.

— Będziesz ze mną grał — wytypował do gry kolejarza. — Zwiększę tym wasze szanse, bo wiem żeś z nich najbystrzejszy. Jeśli wygrasz, dam wam tyle alkoholu, ile uniesiecie. Jeżeli jednak przegrasz, to zginiesz. Żeby wyrównać szanse, postawię na szachownicy swoich ludzi.

Podszedł do bierek starego i strącił dwa środkowe pionki. Na ich miejscu postawił kobietę i mężczyznę, którym nakazał zdjęcie masek.

— Zaczynaj — powiedział.

Kolejarz przesunął pionka o dwa pola.

— Dlaczegoż wybrałeś skrajnego pionka? Jeżeli przegrasz, umrzesz.

— Graj — powiedział stary. — Tylko gadasz. Było przed tobą wielu takich, którzy tylko gadali.

Partia trwała już jakiś czas. Szachista przestawił chłopaka o dwa pola naprzód, wystawiając go pod konia starego.

— Zbij — podjudzał Szachista. — Zbij, będziesz miał przewagę. Ocalisz skórę.

Stary nawet nie spojrzał na przeciwnika. Nie zbił chłopaka. Nie wykorzystał szansy. Zagrał mężczyzną-pionem do przodu, wystawiając go tym do zbicia. Innej możliwości nie miał.

— Skoczek bije pionka — powiedział Szachista, po czym odstawił pustą szklankę, wstał od stołu, podszedł do swojaka, wyciągnął pistolet i strzelił mu prosto w głowę. — Wiedz, że chcę wygrać — rzekł. — Nie chcę dzielić się moim alkoholem.

Kolejarz znieruchomiał. Sid uwolnił się z więzów i zatkał palcami uszy. Chłopak o mało nie sczezł.

— Trzeba kierować się sercem i patrzeć sercem, bo umysł skłonny jest kreować nierealne światy i nieprawdziwe prawdy — rzucił stary i wysłał pionka-kobietę o dwa pola naprzód, mijając linię bicia czarnego laufra.

— Chronisz ją? Nie zaprzeczaj. Nic ci to nie da. Nawet remis jej nie pomoże. Mogłem postawić ją na miejscu króla, dać szansę, ale wiesz, czemu

tego nie zrobiłem?

— Nie interesuje mnie to.

— Nie broń się przed przeznaczeniem.

Po tych słowach Szachista postawił wieżę-Sida obok królowej starego.

— Teraz albo nigdy. Ona, on, oni wszyscy, a co za różnica? Istnieją i umierają. Wczoraj była moją kochanką, dzisiaj ochroną i bierką w grze, jutro mogę ją zjeść. Pomyśl o tym i zbij wieżę!

— To nie wieża, to mój syn!

Partia trwała już bardzo długo. Zegar wiszący na ścianie stanął na amen. Wskazówki z Głównego zatrzymały się na dwunastej. Na placu gry zostało niewiele bierek.

— Chronisz ich, choć to moje bierki. Nie chcesz wygrać, choć stawką jest twoje życie. Oszukujesz!

— Proponuję ci remis — powiedział kolejarz.

Szachista zamyślił się i stracił płynność wypowiedzi.

— Jeszcze nikt mi tego nie zaproponował — odparł.

Stary uśmiechnął się.

— To jest moja rodzina — oznajmił. — Syn i wnuk. Na rodzinach opiera się wszystko, stanowią fundamenty społeczeństw. Samotność cię zabija. Stałeś się egoistą, a egoizm niszczy wszystko.

Szachista bez namysłu przystał na remis. Po chwili zerknął na kolorowe flaszki.

— Zabić ich wszystkich — wydał rozkaz.

Wtedy stało się coś niezwykłego. Chłopiec przeraźliwie krzyknął, a zrobił to tak, że niemal wszyscy zemdleli.

W jego głosie drzemie wielka siła — pomyślał Sid, kiedy odsłaniał uszy. — Którędy do tunelu prowadzącego do metra? — pytał i cucił starego.

— *Subway*? Sid, pomóż mi iść i zabierz chłopca.

Na zewnątrz ujrzeli puch skrzący się na trotuarze. Po kilku minutach otwierali już właz od kanału. Zabrali ze schronu swoje plecaki, żółte

kombinezony, hełmy, stare baterie, amunicję, wódkę i plakat gołej lali z dużymi piersiami. Sid tylko westchnął. Później poszli śladem tajemniczego Trzynastego Schronu, o którym od dłuższego czasu w mieście krążyły legendy.

— Synu? — zapytał chłopaka. — Gdzie jest ta łączność?

— Nigdzie. Nie istnieje.

Żołnierz uśmiechnął się.

— Powinienem to przewidzieć. Zawalczyłeś o siebie, tak jak dziadek.

Kolejarz zerknął zamglonym wzrokiem na mężczyznę, nic nie dodał. Po chwili cała trójka zniknęła w ciemnym tunelu.

— Naprawdę tak się nazywasz? — zapytał chłopiec.

Usłyszeli przebiegające szczury, a potem zapanowała cisza, którą złamały dopiero uderzenia butów o podłoże i drwiący głos Sida.

— To skrót od skurwiel i drań.

Ileż krwi i zgrozy leży na dnie wszystkich „dobrych rzeczy”!
- Friedrich Nietzsche, *Z genealogii moralności* (1887)

Rozdział 3:
BEZ CELU II

Kamil Kwiatkowski

— Cholera — wyrwało się Adamowi, który prawdopodobnie lepiej od pozostałych wiedział, że to nagranie na kasecie z napisem „SID” zmieniało w ogóle sytuację na Polskich Pustkowiach.

— Co jest? — spytała Anna z troską w głosie. Sama zwróciła bardziej uwagę na więzi emocjonalne między osobami, jakie było słychać na nagraniu.

— Sid na tym nagraniu wspomina o „matce stada”. Mówił o Mutantach, czy też, jak oni ich określali, Mutakach. To znaczy, że poświęcenie Niemego, Rudej i Grave'a w Żarnowcu poszło na nic. Co z tego, że baza Mutantów została zniszczona, jeśli one mają możliwość rozrodu.

Piotr pierwszy zdał sobie sprawę, z czym to się wiąże.

— Sugerujesz, że ten gatunek, który powstał z napromieniowanych ludzi, na stałe osadził się w naszym ekosystemie?

— Dokładnie. Bo co z tego, że jedna baza została zniszczona, jeśli one mogą zakładać „gniazda” w niezliczonej liczbie innych miejsc... Jak stare może być to nagranie?

— Mówili o Wrocławiu jakby nie było jeszcze wybudowanej osady, którą znamy dzisiaj. To pewnie z dziesięć, dwadzieścia lat temu.

— To pięknie. Nie jesteśmy w stanie już niczego zmienić. *Niczego*.

Kolejne kilkadziesiąt minut jazdy zleciało raczej w ciszy. Nastroje stały się bardziej pesymistyczne i nikomu nie chciało się znowu włączać dyktafonu. Hubert dalej coś kombinował przy komputerze i jako jedyny wykazywał teraz objawy satysfakcji. Gdy uznał to za stosowne, podzielił się z pozostałymi tym, co udało mu się odkryć.

— Znalazłem na forum Upadłych informacje o tym, czego dokładnie można się spodziewać na Świecących Pustkowiach...

— Przepraszam, że przerywam, ale jakim znowu forum? — wtrącił się Franek, najwyraźniej niepoinformowany w tej kwestii. — Masz na myśli takie coś jak przed wojną, że ludzie pisali *posty*, a inni na nie

odpowiadali i wymieniali się opiniami na różne tematy w czymś, co nazywano *Internetem*?

— Staary... — Adam się lekko zaśmiał. — Chyba przespałeś ostatnie parenaście lat. — Zacznijmy od tego, że Internet istnieje, jednakowoż dostępny jest tylko dla garstki osób, które mają do niego dostęp. Większość serwerów padła, więc nie wejdziesz sobie na YouTube'a i nie pooglądasz śmiesznych kotów, jak to mi rodzice opowiadali. Pewne elitarne grono założyło forum, które istnieje do dziś. Są tam informacje o schronach, niebezpieczeństwach w różnych częściach Polskich Pustkowi, a nawet sytuacji politycznej. Każdy, kto ma mobilny adapter, może go podłączyć do laptopa przez USB. Tylko jest taki haczyk, że trzeba mieć login i hasło. Miałem przyjaciółkę, która przekazała mi to na wypadek, gdyby okazało się to potrzebne... Lepiej jednak milczeć na ten temat. Jeśli tylko władza się o tym dowie, od razu by to dla siebie zagarnęli.

Jagoda ziewnęła i położyła się gdzieś w kącie, gdzie leżały koce.

— Mogę kontynuować? Przerwaliście mi — rzucił Hubert dość oskarżającym tonem.

— Dajesz.

— „Świecące Pustkowia to wschodnia część przedwojennej Polski" — czytał z komputera. — „Skażona radioaktywnie w mniejszym lub większym stopniu. Południowa część jest zajęta przez Barbarzyńców, których główną osadą jest Babilon." Czyli Rzeszów. „Promieniowanie jest spowodowane ostrzałem granicy polsko-rosyjskiej głowicami nuklearnymi"... Ale mniejsza o to. Poza tym, że wciąż toczy się tam Bezcelowa Wojna między niedobitkami ze wschodniej i zachodniej strony, spotkać tam można dużo zmutowanych stworzeń, głównie takich, które żyły przed wojną, ale powiększyły swoje rozmiary i stały się bardziej krwiożercze. Wcześniej nie było w Polsce węży długich na trzy metry, chyba że były sprowadzane skądś tam. Niektórym co

dziwaczniejszym potworom nadano wymyślne nazwy jak na przykład minotaury, mantykory czy morgellony.

— Założę się też, że wokół zbiorników wodnych jest masa utopców. Większość nazw, jakimi ludzie się posługują, żeby opisać mutanty, odnosi się do mitologii, czy to greckiej czy słowiańskiej, czy jakiejkolwiek, albo przedwojennej kultury popularnej — dodał wyjaśniającym tonem Adam i poczuł się jak jakiś wykładowca. — Zazwyczaj to dość intuicyjne, bo widzisz ziejącą ogniem jaszczurkę, to oczywiście nazwiesz ją smokiem. Ale niektórych w życiu bym nie zgadł i nie mam pojęcia, kto im je nadawał takie nazwy.

— Albo roboty, nie zapominaj o robotach — dodał Piotr. — Nic dziwnego, że armię androidów pustoszących Warszawę trzy lata temu ochrzczono Terminatorami, skoro przed wojną kręcono o tym filmy. Wiesz, *Bunt Maszyn* i takie tam. To działało na wyobraźnię.

— Szkoda, że się ziściło.

6 lipca 2080

Piotr prowadził, gdy pozostali spali. Zatrzymał wóz koło opuszczonego sklepu przy stacji benzynowej na jakimś zadupiu. A przynajmniej sprawiał wrażenie opuszczonego. Wydawał się nietknięty od ponad trzydziestu lat. Dobre miejsce na postój, może przy okazji znajdą coś przydatnego. Wyszedł z samochodu i rozejrzał się. No, sklep jak sklep, jednopiętrowy, przez okno widać ladę i półki z produktami. Ale nie miał siły na eksplorację. Wrócił do swoich. Wszyscy spali. Franek leżał blisko Jagody, wykazywał bardzo ojcowską postawę wobec niej. Było pewne, że będzie jej chronić za cenę życia. Anka była blisko Adama, a Hubert chronił ciałem swój komputer. Piotr najpierw obudził Adama.

— Weź sprawdź ten sklep, ja nie mam już siły, muszę się położyć.

— Dobra — odpowiedział cicho i podszedł do drzwi sklepu.

Pociągnął delikatnie za klamkę. Otwarte. Przypomniał sobie, że wojna

oficjalnie wybuchła za dnia. Wtedy klienci musieli wyjść w pośpiechu i myśleć raczej o ratowaniu życia niż niedokończonych zakupach. Nie wszystko zostało splądrowane, wciąż było tu sporo gazet i książek, ubytki dotyczyły głównie jedzenia. Zresztą to, które się ostało, w dużej mierze pewnie nie nadawało się już do spożycia. „Najlepiej spożyć przed 31.12.2045". Adam podszedł do półki z książkami. A nuż się znajdzie jakaś lektura kojąca nerwy. Poszperał. „Księga Życia" - nie, nie miał ochoty na traktaty religijne. „Trąba Kasandry" nieznanego autora okazała się zbyt podniosła jak na jego gust, zaś „All you need is blood" Moniki Feluś traktowało o wampirach, a nie przepadał za tym motywem. W końcu znalazł książkę ze zwierzętami na okładce. Coś przyjemnego i lekkiego? „Hipoteza Medei" autorstwa Mariusza Sobkowiaka. Przekartkował, nie była za długa. Przeczytał opis z tyłu. Wyglądało na to, że była to jakaś wizja końca świata. *O, to będzie dobre* — pomyślał. Przedwojenny autor zaś pisał głównie poważne rzeczy, o przemocy instytucjonalnej w jednostkach pomocy społecznej czy etyce w odniesieniu do rachunkowości w organizacjach pożytku publicznego. Jak sprawi się w science fiction? Adam sprawdzi to już wieczorem. Upewnił się, że pistolet jest na swoim miejscu i sprawdził kasę. Niestety okazała się pusta, spróbować jednak nie zaszkodziło. Pod nią była właściwie pełna butelka whiskey. Zabierze ją później. Wszedł na zaplecze i zauważył dwa materace i koce. Szybko sam wywnioskowałby, że ktoś tu mieszka, ale pod stojącym nieopodal biurkiem skrywającą się smukłą postać.

Kobieta o brązowych włosach mogła mieć ponad trzydzieści lat, w każdym razie była na pewno starsza od Anki. Gdy do Adama dotarło, że przestraszyła się go, uniósł ręce w pokojowym geście.

— Hej, spokojnie. Nie wiedziałem, że ktoś tu mieszka — zapewnił ją.

Fakt, że miał u boku pistolet Gaussa, raczej nie pomagał.

— Ilu was przyjechało? Nie jesteście od Kiboli? — spytała kobieta.

A więc tego się obawia. Kibole byli zwyczajową nazwą Pierworodnych Pustkowi, jedną z bardziej niebezpiecznych zorganizowanych grup. Obecnie,

pozbawieni dowództwa, rozpierzchli się po kraju i wciąż nie liczyli się z nikim. Szczególną nienawiścią darzyli obcokrajowców. Nieznajoma wydawała się miejscowa, ale jak uczy praktyka, nawet to nie uchroni człowieka przed osobami o wątpliwej moralności. Na szczęście Adam zawsze identyfikował się z „tymi dobrymi". Nie miała się czego bać, choć oczywiście podejrzliwość była uzasadniona.

— Och nie, nie, absolutnie nie — odparł Adam, nieco zestresowany. — Trzech facetów, kobieta i mała dziewczynka. Nie jesteśmy bandytami. W życiu. Ach... Adam jestem — przedstawił się i wyciągnął do niej rękę.

— Oliwia — uścisnęła jego dłoń i powoli wyszła spod biurka. Otrzepała się i chyba poczuła się nieco pewniej, widząc, że Adam to porządny chłopak. Wciąż jednak nie mogła mieć pewności i należało zachować ostrożność. *Za chwilę wróci*. — Cóż, sam przyznaj, że widząc wasz samochód raczej człowiek nie spodziewa się niczego dobrego.

— W sumie. Uznaliśmy, że to będzie dobre miejsce na postój i że może znajdziemy coś przydatnego na półkach.

— To samo pomyśleliśmy z Arielem parę dni wcześniej i... wspominałeś, że jest z wami mała dziewczynka?

Rozmawiali tak jeszcze przez chwilę, co skutecznie rozładowało napięcie. Potem Adam skierował się do wozu i obudził resztę, poza Piotrem, któremu należało się trochę snu. Wyjaśnił, że w sklepie zatrzymała się dwójka ludzi i zaproponował, żeby spędzić z nimi trochę czasu, wymienić się doświadczeniami. Przez okno zauważył, że do sklepu podbiega trzydziestoparoletni mężczyzna w krótkich spodenkach i t-shircie. Ale nie w stresie ani nic. Po prostu jakby wrócił z porannego biegania. Dopiero kiedy zauważył samochód, zaczął się nerwowo rozglądać. Adam czuł się zobowiązany do wyjaśnień, wyszedł więc jako pierwszy z wozu i spokojnym tempem podszedł do tego, który musiał być Arielem.

— Witaj. Musisz być Ariel. Adam — zaczął, wyciągając dłoń, gdy był już w odpowiedniej odległości.

— Tak, to ja... — rozmówca był wyraźnie zakłopotany. Może należało dać mu się przedstawić samemu. Poczekał na resztę wyjaśnień.

— Zatrzymaliśmy się tu i okazało się, że ktoś już zajął ten sklep. W środku spotkałem Oliwię. Ponieważ nieczęsto zdarza się natknąć na dobrą duszę gdzieś w opuszczonym sklepie pośrodku nigdzie, proponuję spędzić trochę czasu razem.

Boże, czy przed wojną zagadywanie do obcych osób przed sklepem też było takie niezręczne? W końcu w sklepie zebrała się prawie cała menażeria. Adam, Anka, Hubert, Franek i Jagoda po jednej stronie oraz Ariel z Oliwią po drugiej. Ta ostatnia przechyliła głowę i zmrużyła oczy, jakby sobie coś skojarzyła. Przyglądała się Ance.

— Czy ja cię skądś nie znam? — zapytała ostrożnie. — Mam pamięć do rysów twarzy, jestem prawie pewna, że... Och, jak mogłabym zapomnieć.

— Tak, też teraz kojarzę! — odparła entuzjastycznie. — Oliwia i Ariel z wyprawy ze Schronu Numer Dziewięć, prawda?

— Znacie się? — Adam był zdecydowanie zaskoczony. Świat okazał się mniejszy niż można było się spodziewać.

— Cholera, minęło pięć lat. W samochodzie śpi Piotr, pamiętacie go jako Łysego. Co z pozostałymi? — spytała Anka.

— Tak, pięć lat, zmieniłaś się. Nie masz już wygolonego boku. Już mówię: Dziadek udał się do Koniecpola, a Kapłan do Kościelca, żeby zaopiekować się tamtejszą społecznością — Oliwia czuła się już znacznie swobodniej, widząc znajomą twarz.

— Przepraszam — wtrącił się Adam. — Nie chcę przerywać, ale możecie zacząć od początku?

— Do tego przyda się zwilżyć gardło — wyjaśnił Ariel i wyciągnął zza lady butelkę whiskey ze znajomą czerwoną etykietą. Franek spojrzał na Jagodę i pomachał jej palcem, wskazując, że to nie napitek dla niej. Wody oczywiście jej nie żałował.

Po kilkudziesięciu minutach wspólnego siedzenia okazało się, że przybysze ze Schronu Numer Dziewięć byli częścią większej grupy, która w marcu 2073 została wysłana do Schronu Numer Trzynaście pod pretekstem odnalezienia jakiejś technologii, która miała uratować ich rodzinny. Z tym, że wcale tego schronu nie odnaleźli, a podczas wyprawy większość z nich zginęła. W tych fragmentach wszyscy poza aktualnie mówiącą osobą byli cicho, czasem spuszczając wzrok. Adam i reszta usłyszeli historię, jak to szli w stronę Muru Czeskiego, jak odwiedzali różne śląskie osady, jak spotkali nawet byłego premiera Polski Richarda Millera, ukrywającego się pośród mieszkańców jednej z tych osad. Anka i Piotr okazali się jednymi z bohaterów, którzy uratowali Oliwię, Ariela, Dziadka, Kapłana, Daniela i kilku innych przypadkowych więźniów przed Kibolami, którzy porwali ich z Kościelca. Dużo nowych imion, dużo miejsc, o których w życiu nie słyszał, ale Adam starał się zapamiętać, ile tylko mógł. Sam postanowił się zrewanżować historią o grupie, do której on dołączył. Opowiedział o Niemym, Rudej, Grave'ie, najeździe Mutantów na Łódź, mafijnych rozgrywkach w Poznaniu, o Konradzie zwanym Łazarzem i kochającej go do samego końca Julii... I wreszcie smutnym i gwałtownym rozstaniu z nimi w bazie Mutantów w Suchorzowie.

— Co się tam właściwie stało? — spytała z troską Anna. — Jeśli nie chcesz o tym dokładnie opowiadać, to nie musisz, ale...

— W porządku — odparł Adam. — Nasi nowi znajomi też opowiedzieli o trudnych momentach, o utraconych towarzyszach... Bo nie można o nich zapomnieć. Kiedy będziemy o nich opowiadać, pamięć o nich będzie wciąż żywa.

— Zgadzam się — wsparła go Oliwia. — Nigdy nie zapomniałam Daniela... Obiecał się mną zaopiekować i zrobił to... Kosztem własnego życia.

— Generalnie zaraz zaproponuję toast za wszystkich poległych, ale skoro już przy tym jesteśmy, opowiem, co się stało w Suchorzowie. Badaliśmy opuszczoną bazę Mutantów. Do dziś się zastanawiam, co mi strzeliło do głowy. Choć zapewne *ktoś* by mi strzelił, gdybym odmówił. Ale mniejsza o to, nie chcę, by pamiętano o tych, przez których się tam znaleźliśmy... W opuszczonej bazie, która była właściwie elektrownią atomową, widzieliśmy wyniki nieudanych eksperymentów, których opisów wam oszczędzę — spojrzał ukradkiem na Jagodę. Wydawało mu się, że ona szczególnie nie powinna tego słuchać i dziwił się, że jeszcze tu jest, ale założył, że Franek traktuje ją jak dorosłą osobę i nie izoluje jej od brutalnej prawdy o świecie. — Spotkaliśmy tam dziwnego wychudzonego Mutanta, jak mi się wówczas zdawało, który postrzelił mnie pistoletem laserowym — tu pokazał swoją prawą dłoń, wciąż mającą ślady po poparzeniu. — Okazało się, że zostaliśmy sprzedani przez ludzi, o których historia powinna raz na zawsze zapomnieć innym ludziom... Czy też nie do końca ludziom... W każdym razie zostałem postrzelony w rękę i klatę. Paradoksalnie, uratowało mnie to. Kiedy się ocknąłem, nikogo przy mnie nie było. Wydostałem się z bazy i zobaczyłem ciała Łazarza i Julii... I ślady kół. Ktoś zabrał Niemego, Rudą i Grave'a na północ. Do elektrowni atomowej w Suchorzowie, tam i ja miałem zostać zabrany... Ale elektrownia wybuchła, a ja jestem tutaj.

— Mój stryj Jerzy... — zaczął Franek. Jagoda spojrzała na niego smutno, bo znała tę historię, choć nie widziała jej na żywo. — Zaatakował nas jeden z androidów, które przemaszerowały przez Polskę pięć lat

temu. Tylko mi udało się... uciec — wypowiedział to słowo z zauważalnym niesmakiem. — Był mi jak ojciec.

Jagoda wtuliła się we Franka. Teraz on, choć miał ledwo dwadzieścia trzy lata, był dla niej ojcem. Przybranym, ale ojcem.

— Więc... za Jerzego — Ariel uniósł szklankę z brunatnym płynem. — I za Daniela. Za Davida. Za Rudego.

— Za Rudą, Grave'a, Niemego, Łazarza i Julię — dodał Adam i również uniósł szklankę.

— Za tych, którzy zginęli podczas walki z Kajetanem Weberem i Kibolami — dołączyła się Anka i również uniosła szklankę.

Franek i Oliwia w ciszy unieśli szklanki i upili parę łyków, gdy pozostali także to zrobili. Jagoda była dalej wtulona we Franka, a Hubert siedział na uboczu, jakby miał zaraz odejść, niechętnie podnosząc swoją szklankę. Zapewne nie miał ochoty się socjalizować, nie był zbyt towarzyskim typem. Gdy Piotr się wyspał i zauważył, że nikogo nie ma, domyślił się, że są już w sklepie. Jakie było jego zaskoczenie, gdy ujrzał starych znajomych. Ten wieczór był pierwszym od dawna, który naprawdę rozpalił nadzieję w ich sercach. Na to, że pośród zgliszczy starego świata wciąż może kryć się serdeczność i życzliwość.

Przed snem Adam otworzył książkę, którą znalazł wcześniej na jednej z półek i zaczął czytać.

Los bowiem synów ludzkich jest ten sam, co i los zwierząt; los ich jest jeden: jaka śmierć jednego, taka śmierć drugiego.
- Biblia, Księga Koheleta 3,19 (ok. III w. p.n.e.)

Rozdział 4:
HIPOTEZA MEDEI

Mariusz Sobkowiak

Alicja ostrożnie ominęła martwego jelenia leżącego na podjeździe przy dawno nieprzycinanym żywopłocie. Zwierzę miało szkliste oczy wpatrzone w pustkę. I wielki otwór w miejscu wątroby i nerek. Cholerne *coś* nie tak dawno przywaliło kamieniem w tył łba jelenia i gdy ten padł, wyjadło co smaczniejsze kąski. Może szympans. Na cholerne *cosie* trzeba uważać. Chociaż równie dobrze mógł to zrobić któryś z jej znajomych. Podobno w Rejonie 3 znowu mają klęskę głodu. Patrząc na wypatroszone zwierzę, przy którego ciele spędziła jakieś ostatnie pół godziny myśląc o tym czy krew nadal krąży w jego żyłach, zaczęła zastanawiać się co ona zrobiłaby gdyby ptaki zniszczyły ich uprawy albo gdyby to w ich rejonie czarne makaki podpaliły pola pszenicy. Behawioryści z Rejonu 4 łamią sobie głowę do dziś czy te małpo-psy przeniosły płomień z ludzkich siedzib czy, nie daj Boże, nauczyły się krzesać ogień. Ruch za żywopłotem z ostrokołu wyrwał ją z rozmyślań i kazał mocniej ścisnąć taser. Paralizator, który wzięła na tę nieoficjalną misję sprawiał, że czuła się bezpieczniej. Jej bezpieczeństwo kończyło się na odległości 5 metrów, bo tak daleko sięgały elektrody wystrzeliwane z rękojeści. Wprawdzie w spodnie miała również wciśniętego Glocka ale 3 naboje, które pozostały w magazynku nie pozwalały na rozrzutność. Miała zresztą nadzieję, że broń jej się nie przyda, bo nikt nie jest zainteresowany tą okolicą, z której dawno wynieśli się ludzie. A co za tym idzie i one – zwierzęta. Była przekonana, że martwy jeleń został zabity gdzie indziej, a tutaj przyciągnięty przez coś co w spokoju mogło go zjeść nie bojąc się, że cokolwiek się tu pojawi. Okolica powinna być pusta.

Ponownie szelest za żywopłotem. Ewidentnie coś się skrada. Szelest, cisza i szelest świadczą o tym, że jakieś cholerstwo czai się na nią. Mogła tylko domniemywać czy ukryty napastnik ma cztery nogi, skrzydła, futro i czy zamierza ją tylko zjeść czy może złożyć w jej ciele jaja i pozostawić jako pokarm dla swojego potomstwa. Natura jest okrutna a odkąd stanęła przeciwko gatunkowi ludzkiemu to okrucieństwo zaczęło być aż nadto zauważalne.

Alicja zaczęła skradać się w kierunku żywopłotu, zza którego dochodziły odgłosy. W połowie drogi między martwym jeleniem a źródłem szelestu zdała sobie sprawę z absurdalności własnego zachowania. Skoro coś się na nią czai dobrze wie, że ona tutaj jest. Skradanie się nie pomoże jej ukryć własnego położenia.

— Stój! Jestem uzbrojona! Pokaż się a obiecuję, że nie zrobię ci krzywdy i każde z nas pójdzie w swoją stronę!

Alicja krzyknęła rezygnując ze zdecydowanie za późno podjętych kroków by ukryć swoją obecność. Tak liczyła na to, że nikt ani nic nie będzie grasowało wokół domu przy Złocienieckiej 8, że zapomniała o ostrożności. Odpowiedziało jej szczekanie za plecami. Odwróciła się i zobaczyła, na oko trzyletniego, mastifa tybetańskiego, który siedział na zadku patrząc na nią spokojnie. Miała szanse. Szybko oceniła sytuację i doszła do wniosku, że nim pies zdążyłby dobiec do niej by wbić w nią kły mogłaby nawet dwukrotnie

strzelić do niego z tasera i usmażyć. Był za daleko by móc z zaskoczenia zaatakować.

— Co tutaj robisz?

Zapytała starając się ukryć zdenerwowanie, ale pies nie odpowiedział.

— Nie ma tutaj ludzi ani żadnego pożywienia. Okolicę ewakuowano 15 lat temu.

Pokryte grubym futrem zwierzę nadal patrzyło na nią bez słowa intensywnie brązowymi oczami. Wtedy Alicja usłyszała odgłos łamanych gałęzi ostrokołu i nim zdążyła się odwrócić coś dużego i silnego uderzyło ją w plecy z ogromnym impetem tak że upadła. Nie wierzyła, że mogła tak dać się podejść! Leżała na brzuchu twarzą do ziemi a na jej plecach stała bestia wgniatając ją w glebę. Nie mogła odwrócić się i wystrzelić z tasera. Usłyszała mruczenie i tubalny głos napastnika

— Miałeś rację, Bernard, że martwy jeleń przyciągnie uwagę tych z Rejonu 3.

— Odkąd kruki zniszczyły ich pszenicę pokuszą się na wszystko — odpowiedział pies, który nadal nie ruszył się z miejsca.

Było jasne, że Alicja wpadła w przygotowaną przez nich pułapkę. Pozostało jej tylko pertraktować.

— Znam wejście pod tamą, przez które możecie dostać się do wnętrza osady w „trójce". Pokażę je wam, jeśli mnie oszczędzicie.

Pies podbiegł do niej i złapał w zęby taser odbierając jej broń. Drugi napastnik uderzył ją łapą w bok zmuszając do odwrócenia się na plecy. Nad nią stał jaguar przygniatając ją łapą z wysuniętymi pazurami. Ogromny kot patrzył na nią przenikliwie ale nadal mówiąc zwracał się do psa:

— Jeśli mówi prawdę, moglibyśmy wyrżnąć całą osadę.

Pies milczał. Jeśli nie uwierzy w jej kłamstwo o tajnym przejściu zostanie najpewniej rozerwana na strzępy i zjedzona. Jednego człowieka mniej. Jej życie nie przedstawiało dla nich żadnej wartości. Czarny jaguar (*Panthera onca*) najpewniej uciekł z pobliskiego ZOO przy Kwiatowej i całe życie spędził zamknięty w jakieś klatce 5x5 m. Nie miał powodów, by użalać się nad losem ludzi. Zastanawiał ją jednak pies. To nie było dzikie zwierzę. Wyglądał na zadbanego. Jak gdyby dopiero co uciekł ze smyczy jakiejś nadzianej małolaty, której tatuś kupił na urodziny duże zwierzątko. Czy mogła jakoś przemówić do jego „człowieczeństwa"?

— Chcesz wpuścić nas do ludzkiej osady? — Pies zwrócił się bezpośrednio do niej. — Jak to jest być zdrajcą własnego gatunku? Tylko człowiek mógłby tak postąpić. Jesteście jedynym gatunkiem, który zabija własne dzieci. Jedynym gatunkiem, który znęca się nad innymi dla własnej przyjemności. Brzydzę się rasą, która odebrała mi możliwość zostania ojcem abym nie znaczył moczem puchowego dywanu. Jednak ty jesteś gorsza od całej populacji *homo*. Wykazując gotowość do zdradzenia własnej watahy upadłaś na samo dno łańcucha pokarmowego. Jesteś pieprzonym robakiem!

Przy każdym słowie zwierzę pluło na nią śliną spomiędzy ostrych kłów,

które znajdowały się zaledwie centymetr od jej twarzy. Pies nazywany Bernardem patrzył na nią z taką pogardą, że zdała sobie sprawę, iż to co uznała za jedyny sposób na ocalenie życia może się okazać gwoździem do trumny. Umrze tutaj na podjeździe opuszczonego domu zarastającego roślinnością na dodatek wśród zwierząt uznana za zdrajcę własnej rasy. Po prostu cudownie!

— Zaczekajcie! Pozwólcie mi! — W ich stronę zbliżało się kolejne zwierzę. Alicja musiała być szalenie nieostrożna skoro miała tu przed sobą cały zwierzyniec a nie zauważyła niczego, gdy zbliżała się do tego domu opuszczając przed trzema godzinami swoją osadę w Rejonie nr 2. Plan który założyła miał wyglądać zupełnie inaczej. Leżąc na plecach, przygniatana przez wielkiego kota, a nad sobą mając śliniącego się psa widziała spomiędzy nóg mastifa jak chwiejnym krokiem zbliża się do nich jakieś dwunożne stworzenie. Alicja obstawiała małpę. Mimo, iż jest biologiem i to niezłym nie potrafiła w tej niecodziennej sytuacji określić gatunku. Specjalizacja z etologii i mikrobiologii[1] tego nie ułatwiała.

— Ja to zrobię! — Gdy małpa stanęła nad jej głową rozpoznała w niej orangutana. Dociekliwość naukowa kazała jej szukać w małpie cech, które pozwoliłyby jej odróżnić czy małpa pochodzi z Borneo czy z Sumatry. Te z Sumatry są nieco mniejsze i jaśniejsze. Najłatwiej odróżnić je po białych włosach na talerzach policzkowych. Ta najwidoczniej pochodziła z wyspy Borneo. Cholernie przydatna wiedza w tej sytuacji. Bardziej przydać się może fakt, iż małpa powłóczy prawą nogą, ma bielmo na jednym oku, nie ma zębów, a na wysokości wątroby bliznę po operacji. Typowe cechy zwierzęcia laboratoryjnego. Alicja mogła tylko domyślać się, czy na orangutanie testowano szczepionki czy nowy genialny szampon przeciwłupieżowy, który w skondensowanej dawce podawano jej do oka. Jednym słowem, Alicja zdała sobie sprawę jak mocno ma przerąbane.

— Sandra! — pies schylił się przed małpą z szacunkiem. Orangutan był więc samicą.

— Wiecie co robią z małpami w wykwintnych restauracjach w Tajwanie, Hongkongu i Chinach? — Sandra prowadziła swój wykład, który, jak wydawało się Alicji, nie zmierzał w najlepszym dla niej kierunku. Małpa była wiekowa. Mogła zbliżać się do sześćdziesiątki. Mimo tego jak bardzo była pokaleczona trzeba przyznać, że zwierzęta znoszą starość lepiej od ludzi. W przypadku Sandry starość równała się z mądrością — Są takie miejsca, prywatne, zamknięte dla postronnych. Stołują się tam bogaci Azjaci lub przyjezdni z nadmiarem gotówki — małpa ciągnęła dalej, powoli obchodząc Alicja dookoła. Wielki czarny kot zdjął z niej łapę ale nawet nie próbowała się podnieść. Nadal nie miała żadnych szans.

— W takich miejscach można zażyć rozkoszy podniebienia o jakich nie

[1]Etologia – dziedzina zoologii, zajmująca się szeroko pojętymi badaniami zachowań zwierząt, zarówno dziedziczonych, jak i nabytych, ich aspektem przystosowawczym, rozwojem osobniczym, orientacją przestrzenną, zachowaniami społecznymi.

śniło się innym gatunkom poza *homo sapiens*. Bierze się małpę i przywiązuje do krzesła, pasami. Następnie nad krzesłem ustawia się stolik z wyciętym kolistym otworem, w który wkłada się głowę uwięzionej małpy. Głowę przytwierdza się do stolika tak, aby ta nie mogła się ruszyć, to bardzo ważne! Następnie kucharz, szybko i sprawnie goli głowę małpy i przeprowadza trepanację ściągając jej czaszkę tuż nad stolikiem — Alicja czuła, że robi jej się słabo. Pozostałe zwierzęta patrzyły na Orangutana chodzącego wokół Alicja jak zahipnotyzowane. Małpa patrzyła na kobietę ale ta nie była w stanie określić co mówił jej wzrok.

— Trzeba zadbać o to, aby małpa nie straciła przytomności. Bogaci goście muszą wiedzieć, że srebrnymi łyżeczkami, które im podadzą, jeść będą mózg żywego stworzenia, które wyje i piszczy pod ich stolikiem. Na szczęście miłościwa Medea sprawiła, że mózg nie zawiera komórek bólowych. Małpa umrze gdy goście zjedzą do końca jej żywy pulsujący mózg.

Gdy Orangutan skończył mówić zapanowała cisza. Szybko przerwała ją komenda wydana stanowczo przez małpę.

— Odwróćcie ją!

Wielki czarny kot łapami wyposażonymi w ostre pazury przewrócił ją na brzuch dotkliwie przy tym raniąc. Alicja była przerażona. Po opowieści małpy nie mogła spodziewać się niczego dobrego. Okazało się, że może być jeszcze gorzej.

*

— Podnieście jej płaszcz! — pies złapał poły jej płaszcza odsłaniając Glocka wciśniętego w spodnie. Orangutan, mimo wieku, szybkim sprawnym ruchem wyciągnął jej broń. Alicja marzyła już tylko o tym by zwierzę zastrzeliło ją czym prędzej. W tym przypadku fakt, iż ta małpa człekokształtna posiada przeciwstawny kciuk wydawał jej się wybawieniem. Zastrzel mnie, błagam!

W tym momencie usłyszała strzał. Śmierć była inna niż się spodziewała. Właściwie nie poczuła nic. To dobrze.

— Uciekaj do cholery! — to kolejna rzecz jaką usłyszała i tego też się nie spodziewała. Gdy odwróciła się na plecy zobaczyła orangutanicę Sandrę, która mierzy z jej Glocka w Bernarda a tuż przy jej stopach leżał jaguar z krwawiącą dziurą w brzuchu. To nie ona oberwała kulkę.

— Uciekaj idiotko, długo ich nie powstrzymam!— krzyczała małpa a z oddali dochodziły Alicja odgłosy zbliżających się zwierząt. Musiały usłyszeć strzał.

— Sandro… co ty robisz?! Przecież to człowiek! — trzymany na muszce pies próbował przemówić do rozsądku orangutana. Alicja nie miała zamiaru czekać by poznać zakończenie wymiany zdań. Zerwała się z ziemi i zaczęła uciekać w kierunku opuszczonego domu, który od początku był celem jej

wędrówki. Gdy znalazła się na werandzie zdała sobie sprawę z tego, że nie ma tasera, który zabrał jej Bernard ani pistoletu zabranego przez małpę. Była bezbronna. Musiała wrócić choćby po paralizator. Gdy odwróciła się zobaczyła, że zwierzęta nadal rozmawiają. Pies był coraz bliżej Sandry. W pewnym momencie małpa podniosła broń i strzeliła. Fragment jej głowy oderwał się i wylądował tuż obok ciała jaguara. Pies zatrzymał się i wyglądał na zszokowanego. Orangutan dosłownie odstrzelił sobie głowę. Alicja nie miała po co wracać. Nim dobiegła by do broni, z której małpa popełniła samobójstwo, pies rozszarpałby ją na strzępy. Co więcej, z ulicy na trawnik przed budynkiem zaczęły wchodzić inne zwierzęta. Lis, kilka ptaków i kolejny wielki czarny jaguar zwabione odgłosem wystrzału. Zabarykadowanie się w domku przy Złocienieckiej wydawało się jedyną opcją. Małpa zdawszy sobie sprawę, iż nawet jeśli zastrzeli psa, to nie będzie miała żadnych szans z tymi, którzy zaraz do niej dotrą postanowiła zakończyć swoje życie. Ale dlaczego pomogła Alicji? Teraz kobieta nie miała czasu na rozmyślania. Jak łatwo było przewidzieć dom był zamknięty. Zwierzęta zbliżały się do niej a ona nie miała jak wejść do środka. Jedyna dobra nowina jest taka, że żadne ze zwierząt nie posiadało rąk umożliwiających użycie pozostawionego Glocka. Alicja pobiegła na tył domu i znalazła przy basenie metalową pompkę. Używając jej wybiła szybę tuż przy tylnej werandzie. Włożyła rękę do środka i wyciągając się najdalej jak potrafiła otworzyła zamek przy drzwiach od środka. W tym momencie poczuła silne szarpnięcie za nogę i upadła na twarz łamiąc sobie nos. Mimo bólu nie straciła przytomności, odwróciła się na plecy i zobaczyła, że wprost do basenu ciągnie ją wielkie płetwonogie stworzenie. Lampart morski. Cholerna przerośnięta foka zwykle polująca na pingwiny teraz zapolowała na nią. Na oko prawie 500 kg mięsa odpychając się płetwami ciągnęło ją wprost do wody. Nim zdążyła zareagować, zachłystując się własną krwią została wciągnięta do basenu. Gdy znalazła się pod wodą chłód basenu przywrócił jej trzeźwość umysłu. Zwierzę nie zamierzało jej gryźć. Zamierzało ją utopić wciągając coraz głębiej. Alicja nad lustrem wody widziała psa Bernarda i inne zwierzęta, które bały się wejść do basenu. Na szczęście nie umiały nurkować, więc Alicja została sam na sam z morskim lampartem. Zwierzę trzymało ją trzonowcami za nogawkę. Alicja wolną nogą zaczęła kopać zwierzę w pysk z nadzieją, że puści nim ta udusi się z braku tlenu. Po kolejnym kopnięciu wymierzonym prosto w oczy lampart puścił, a Alicja natychmiast zaczęła płynąć ku powierzchni. Nim się wynurzyła przyszło jej do głowy, że czeka tam na nią więcej zwierząt, których jedynym celem od 15 lat po dniu zwanym przez ludzi Końcem Świata jest zabicie kolejnego człowieka. Wypłynęła na sam środek basenu, tak aby nie dosięgło jej żadne zwierzę. Pies patrzył na nią z pogardą większą niż gdy leżała przed nim na plecach na trawniku. Wtedy w jej twarz wbiły się pazury. Sowa. Alicja zapomniała o ptakach. Szybko znalazła się pod wodą a jej oprawca zwolnił uścisk szponów i odleciał. Zanim się wynurzyła głowa ptaka wpadła do basenu tuż obok niej. Bez reszty ciała. Po wynurzeniu zobaczyła, że pozostałe zwierzęta uciekły. Ocierając wodę i krew z twarzy dostrzegła mężczyznę ze strzelbą przy

drzwiach, które otworzyła.

— Szybko! Zaraz wróci ich więcej! — mężczyzna krzyczał do niej, gdy dopływała do krawędzi basenu. Pomógł jej wygramolić się z wody i dokuśtykać do domu. Zamknął drzwi na górny zamek i mruknął coś patrząc na wybitą szybę. Następnie drzwi i zniszczoną szybę zabarykadował regałem na odzież. Dawało to prowizoryczne poczucie bezpieczeństwa.

— Co ty tu robisz do cholery! 15 lat spokoju, nikt tutaj nie przyłaził i nagle ty paniusiu! — Alicja nie słuchała. Patrzyła na swoje odbicie w lustrze wiszącym przy drzwiach. Zakrwawiona twarz z podłużnymi ranami od szponów ptaka, podarte spodnie, dziwnie wykrzywiony nos, przez który nie mogła oddychać. Łapała powietrze ustami. Mężczyzna zreflektował się, że tyradę powinien zostawić na później.

— Chodź — Zaprowadził Alicja do łazienki, gdzie przemyła twarz. Dał jej dwie tabletki — „na ból" — i podał zwinięty bandaż.

— Zagryź! — Alicja patrzyła na niego przerażona ale wiedziała po tym co widziała w lustrze, że jej przyszłość z nosem wygiętym o 15 stopni w stronę lewego ucha nie zapowiada sznura amantów. A po tym, co działo się z mężczyznami po Końcu Świata (większość nie żyła) i tak nie miała co wybrzydzać. Zagryzła wałek z bandaża, a nieznajomy złapał ją za nos i silnie szarpnął w prawo.

Po steku wyzwisk jakim uraczyła mężczyznę (w końcu przedstawił się jako dr Robert Lipiński), Boga i cały świat gdy nastawiono jej złamany nos i podobnej fali uprzejmości, którą uraczył ją Robert za to, że otworzyła nigdy nie otwierane tylne drzwi i wybiła szybę dając dostęp do domu zwierzętom siedzieli razem w salonie pijąc gorącą herbatę.

— To absurd! Co Pan tu robi? Miasto ewakuowano 15 lat temu gdy tylko zaczął się Koniec Świata i zwierzęta zaczęły zabijać ludzi. Nikt już nie mieszka w miastach. Ten dom miał być pusty! A zamiast tego siedzimy sobie na tapczanie, gdy prawdopodobnie otaczają nas właśnie zwierzęta i popijamy herbatę! — Alicja szybko doszła do siebie i zaczęła budzić się w niej podejrzliwość.

— Moja droga, Alicjo, prawda? — Robert zbliżał się do siedemdziesiątki ale wcale nie wyglądał na mężczyznę, który zapomina imiona — W 2003 r. biolog morski z Norwegii Kristy Brown zginęła podczas nurkowania. Miała 28 lat. Wiesz co ją zabiło? Lampart morski. Taki jak ten, który zaatakował cię przy basenie. Wiedziałem, że tam jest. Wprowadził się jakieś dwa lata temu. Dlatego nie otwierałem tylnych drzwi. Kilka lat po Końcu Świata zwierzęta z różnych zakątków globu migrują do miejsc zamieszkanych jeszcze przez ludzi. By dopomóc w ludobójstwie. Nie wiedziały jednak, że tutaj jestem. Podobnie jak ludzie. Byłem bezpieczny dopóki ty się nie pojawiłaś! — Robert wycelował w nią palcem.

— Ciebie nie powinno tutaj być! — Odpowiedziała Alicja.

— Skąd ten pomysł! I co ty tutaj właściwie robisz? — Teraz w Robercie budziła się podejrzliwość. Od 15 lat nie widział żywego człowieka, a teraz ktoś

zjawia się w jego domu i mówi mu, że nie powinno go tu być.

— Coś za coś. Ja powiem, czemu tutaj przyszłam, a Ty wyjaśnisz co tutaj robisz.

— Ty zaczniesz — odpowiedział Robert podnosząc strzelbę stojącą przy ścianie. Dla Alicja argument wydawał się trudny do odparcia.

— W porządku. Jestem biologiem z rejonu drugiego. Jeśli siedzisz tutaj od 15 lat, możesz nie wiedzieć co dzieje się teraz z ludźmi.

— Odbieram sygnał telewizyjny i radiowy — Robert miał na myśli Kanał 1. Jedyną telewizję emitowaną po Końcu Świata. Nadajnik telewizyjny znajduje się w Rejonie czwartym i oglądają ją wszystkie osady, we wszystkich rejonach w kraju. Puszczają od kilku lat zróżnicowane programy, nawet kilka seriali, starych, zwykle z taśm, które udaje się zdobyć ale wszystkich i tak interesują głównie najświeższe wieści z frontu. W osadzie Alicja ludzie jeszcze mają nadzieję na przełom ale od miesięcy słychać tylko, że przegrywamy wszędzie – marynarka wojenna dostaje w dupę od stad kaszalotów u wybrzeży Bałtyku, walenie oszukują systemy radarowe za pomocą infradźwięków. Delfiny prowadzą wojny podjazdowe podpływając, niszcząc elementy statku i odpływając. Pomagają im w tym morskie ptaki nieustannie nękając załogę, zrzucając na statki zdobyczne pociski a w ostateczności zarzucając je tonami guana. Piechota ma za mało dywizji. Transportery opancerzone ROSOMAK nie zostały przygotowane na starcia ze stadami wkurzonych nosorożców a rekrutów nie uczono strzelać do węży i skorpionów, które z premedytacją dostają się do śpiworów by zabić. Na taką wojnę ludzkość nie była przygotowana.

— Ludzie zamieszkali w chronionych osadach poza miastami — Alicja ciągnęła dalej swoją opowieść. — W osadzie w rejonie drugim schwytaliśmy tydzień temu szympansa, który został przysłany na zwiady. Miał sprawdzić czy jest jakieś wejście do osady poza bramą w palisadzie. Został naszym jeńcem. Przesłuchaliśmy go.

Gdy Alicja usłyszała pierwsze zwierzę mówiące ludzkim głosem 15 lat temu była w szoku. Była to małpa, która trafiła do nich z jednej z firm z Niemiec dostarczających zwierzęta laboratoryjne. Gdy wbiła jej igłę ta krzyknęła.

— Kurwa! To boli, pieprzony rudzielcu! Jeszcze kilka dni i odgryzę Ci twarz!

Małpa patrzyła na nią wściekle dysząc przez nozdrza. Alicja była w szoku. Była sama podczas tego badania i szybko wezwała przez wewnętrzny telefon instytutu swojego kolegę. Małpa jednak milczała jak zaklęta w przeciwieństwie do kolegi, który poinformował o tym przełożonego a Alicja wysłano na płatny urlop. Kobieta doszła do wniosku, że może rzeczywiście coś jej się przywidziało do czasu aż trzy dni później nie natrafiła w telewizji na reportaż o tym, że w domach w Krakowie znaleziono kilkanaście ciał ludzi, którzy wyglądali jakby zostali zagryzieni przez psy. Kilka godzin później w całym kraju ogłoszono stan wojenny a na wszystkich kanałach informowano o

agresywnych atakach zwierząt na ludzi. 5 grudnia 2031 roku miał miejsce Koniec Świata – w jeden dzień zwierzęta wymordowały większość ludzkiej populacji. Tego dnia, tuż po tym gdy Alicja obejrzała w TV jak prezydent ogłasza stan wojny ze zwierzętami, weszła po schodach do pokoju swojej dziesięcioletniej córki Oli. Nie było jej tam, za to jej złota rybka uderzała o ściankę akwarium dopóki nie roztrzaskała sobie głowy. Alicja patrzyła w osłupieniu. To nie mogła być prawda. Pobiegła ile tchu do swojego pokoju na końcu korytarza na piętrze. Po byłym mężu zostało jej jeszcze jedno zwierzę. Pyton siatkowy. Nie lubiła go jak i złotej rybki. Przypominały jej o nim. W ogóle nie przepadała za zwierzętami. Miała ich dość w Instytucie Badań Behawioralnych gdzie pracowała. O ile rybka mogła zostać, bo Ola kochała swojego Płetwiaka, o tyle węża zamierzała oddać przy najbliższej okazji. Ta okazja miała nigdy nie nadejść, co Alicja uświadomiła sobie, gdy weszła do swojego pokoju. Prosiła małą wielokrotnie, aby nie wchodziła do jej pokoju. Ta nigdy nie słuchała. Kochała tatusia, który odszedł, złotą rybkę, którą dostała od niego na urodziny i węża, którego pozostawił, a który teraz leżał na podłodze pokoju Alicja z brzuchem wypełnionym czymś bardzo dużym. Pyton trawił właśnie jej córkę.

— Szympans nie chciał nic mówić. Dlatego zastosowaliśmy *water boarding*[2] — Robert skrzywił się słysząc o torturach co Alicja skrzętnie zanotowała w pamięci — Opowiedział nam o tym domu, że tutaj znajdziemy początek, od którego wszystko się zaczęło. Dlatego wysłano mnie tutaj. Po zeznaniach strzeliliśmy jej w łeb — kłamanie przychodziło Alicja coraz łatwiej. Tak naprawdę nie było pojmanego szympansa. Ten adres podał jej człowiek.

— Jesteś żołnierzem? Masz przy sobie broń?

— Nie, jestem biologiem, behawiorystą, badam zachowania zwierząt. Nie noszę broni — Alicja skłamała, mając nadzieję, że mężczyzna nie widział, co działo się na trawniku przed domem. — Ze względu na to, kto jest naszym wrogiem biorę udział w przesłuchaniach — dokończyła.

— Gdy usłyszałem jak próbowałaś wejść frontowymi drzwiami wyjrzałem przez okno. Sandra zastrzeliła się. Skąd miała broń? — Robert na szczęście nie widział całej sceny rozgrywającej się przed jego domem. Alicja nie chciała, aby pomyślał, że została tutaj wysłana z bronią (choć tak naprawdę nikt jej nie przysłał, przyszła tutaj bez wiedzy kogokolwiek, ale o tym wolała, by nieznajomy nie wiedział). To on miał strzelbę, z jakiegoś powodu pozostał w rejonie opanowanym przez zwierzęta i wolała aby miał ją za nieszkodliwą.

— Powiedziałeś o niej „Sandra". Nie mogłeś stąd słyszeć ich rozmów. Znałeś tę małpę? — Alicja próbowała zmienić temat.

— Leśny człowiek — Mężczyzna uśmiechnął się do siebie. — Wiesz co

[2] Water boarding - tortura polegająca na wywołaniu wrażenia tonięcia i duszenia się u ofiary. Jest ona zabroniona przez prawo międzynarodowe. Skrępowanego więźnia przywiązuje się do ławki przechylonej pod kątem 10–20 stopni. Jego głowę umieszcza się poniżej poziomu stóp, twarz przykrywa się celofanem, mokrą lub suchą szmatą, a następnie polewa się wodą. Więzień zaczyna się dławić i kopać nogami. Poddany tej torturze odnosi wrażenie, że tonie i dusi się.

znaczy słowo orangutan? Właśnie to — Leśny człowiek. Tak Malajowie z Borneo określali te istoty co w ich języku brzmiało *Orang Hutan* i stąd wzięliśmy nazwę. Tak powinno pozostać, do cholery! — Mężczyzna zaczął wpadać w gniew, co nie spodobało się Alicji, ale nim zdążyła zareagować ten kontynuował — Leśni ludzie powinni zostać w lesie. Malajowie nie uważali ich za zwierzęta, ale za inne plemię. Nie polowali na nie. W przeciwieństwie do nas, którzy zabieraliśmy je z domu by zamykać w ośrodkach badawczych i instytutach! — Sytuacja stawała się coraz bardziej napięta i Alicja zaczęła zastanawiać się, czy wchodząc do tego domu, nie trafiła z deszczu pod rynnę. Analizowała sposób na to by odebrać mu broń gdy Robert ciągnął dalej — Sandra była niezwykła. Trafiła do mnie z Argentyny w 2014 r. Na mocy wyroku argentyńskiego sądu, który uznał, że nie jest ona rzeczą, tylko „osobą niebędącą człowiekiem" i jako taka nie może być więziona. Na tym kontynencie to był precedens. Znała pani to pojęcie? Wcześniej w Indiach uznano małpy człekokształtne za „osoby niebędące ludźmi" i zakazano je więzić. Do tego czasu Sandra trafiła z ośrodka badawczego gdzie testowano na niej nowe leki na AIDS (oczywiście nie działały) do prywatnej firmy kosmetycznej, która wykorzystywała ją do standaryzowanych testów regulacyjnych. Wymaga się ich do uzyskania pozwoleń na sprzedaż produktów — królikom wpuszcza się do oczu skondensowany płyn do mycia naczyń, małpy smaruje kremami do rąk, zakłada się urządzenia do inhalacji i dusi gazem z dezodorantów, którymi my psikamy sobie pachy!

Alicja pomyślała, że gość jak nic zaraz wybuchnie. I będzie to wybuch skierowany na nią. Wynik szybkiej analizy był prosty – między nią siedzącą na kanapie a nim stojącym przed nią ze strzelbą opartą lufą o podłogę stał drewniany stolik. Można byłoby szybko przewrócić na niego stolik ze stojącymi na nim kubkami z herbatą. Facet miał około 1,80 m wzrostu, stolik na oko 1,50 m długości, więc rzucenie go zajęłoby mu ręce. Szczególnie gdyby rzuciła się na niego przygniatając stolikiem. Wtedy nie mógłby użyć strzelby. Gdy on mówił Alicja delikatnie popukiwała w stolik aby oszacować ciężar i drewno, z którego został wykonany

— Wprawdzie w Europie jest nieco lepiej niż gdzie indziej. Dyrektywa Parlamentu Europejskiego 2010/63/UE chroni przed eksperymentami małpy człekokształtne, a nawet niektóre bezkręgowce jak mątwy czy ośmiornice, gdyż uznano, że mogą doświadczać bólu tak jak my. Jednak i tu dopuszcza się absurdalne wyjątki. Wykorzystywanie zwierząt w celach eksperymentalnych jest dozwolone w przypadkach, kiedy nie istnieją „zadowalające metody zastępcze"! Co za bzdura! Co za eufemizm! Codziennie w laboratoriach mają miejsce rzeczy, które określamy jako nieludzkie. A kto ich dokonuje, jeśli nie ludzie! Może ich „nieludzkość" polega na tym, że są dokonywane nie na ludziach ale na innych stworzeniach! — Gdy on krzyczał Alicja doszła do wniosku, że stolik jest wykonany z balsy. Bardzo lekkie drewno, więc łatwo będzie go przewrócić a następnie wskoczyć na niego by przygnieść mężczyznę. Nieświadom planów kobiety Robert kontynuował nieco ściszając ton głosu

— To, co nazywacie Końcem Świata, zaczęło się wcześniej niż myślicie. Widziałem to. Byłem przy tym. Dostawaliście sygnały każdego kolejnego dnia. Nie potrafiliście jednak poskładać fragmentów łamigłówki. Wie pani czym jest prymatoarchelogia? — Alicja przecząco pokręciła głową — To coś, czym się zajmowałem w Brazylii i na wyspach Borneo. Należałem do grupy badawczej *Primate Archeology* na Uniwersytecie Jagiellońskim. Badaliśmy artefakty archeologiczne pozostawione przez nie-ludzi. Dobrze pani słyszała, badaliśmy przedmioty tworzone przez zwierzęta, w większości naczelne, prymaty, ale także ssaki wodne, jak wydry. Proszę sobie wyobrazić, że w Brazylii wydobyliśmy narzędzia do rozłupywania orzechów nerkowca, których małpy kapucynki używają w Brazylii od setek pokoleń. Z mozołem przekopaliśmy 35 metrów kwadratowych sawanny aby na głębokości 82 centymetrów pod powierzchnią ziemi znaleźć 69 narzędzi z kamienia: zniszczone młotki cztery razy większe od średniej wielkości miejscowego kamienia oraz podziurawione kowadła czterokrotnie większe od młotków. Niektóre z najstarszych narzędzi datowane są na rok 1266 n.e., czyli ponad 200 lat przed przybyciem do Ameryki Krzysztofa Kolumba. Te małpy od jakichś 700 lat używają skomplikowanych, jak na nie, narzędzi! Mieliśmy dowody na to, że małpy kapucynki (*Sapajus libidinosus*) weszły w epokę kamienia łupanego! Nie licząc trzech miejsc aktywności szympansów na Wybrzeżu Kości Słoniowej liczących 1300 – 4300 lat, podobne ślady znaleźliśmy u orangutanów z Borneo. Mój Boże, te stworzenia, nie stoją w miejscu, one ewoluują do cholery! A to jeszcze nie wszystko – znaleźliśmy dowody na to, że niektóre z nich wynalazły religię. Od tego był tylko krok do skoku świadomości, opanowania globu i zrozumienia, że to człowiek jest największym nieszczęściem tej planety! To co się dzieje… — nim Robert skończył swoją opowieść Alicja złapała za kant stolika i podrzuciła go w górę. Mężczyzna jednak wyciągnął nogę i kopnął w blat nim ten przechylił się w jego stronę. Efekt był taki, że stolik przewrócił się i noga stolika przygniotła Alicję, a Robert stanął na nim jedną nogą przygniatając ją do podłogi i lufą mierząc w jej stronę.

— Tego się spodziewałem! Tylko tego można spodziewać się po ludziach!

—A ty nie jesteś człowiekiem do cholery!?

— Nie! Dobrowolnie przestałem być członkiem gatunku ludzkiego. Mierzi mnie to, że dzielę z wami genotyp. Ale już niedługo. Już niedługo cała ta cholerna zaraza wyginie. Jestem dumny, że za to odpowiadam.

— Ty..

— Nie masz pojęcia kim jestem! Nic nie wiesz — mężczyzna uśmiechał się z wyższością.

W swojej głowie na pewno przestał być członkiem gatunku ludzkiego. Uważał się za coś zdecydowanie bardziej szlachetnego.

— Wszystko, co braliśmy za typowo ludzkie. Wszystko to okazuje się być po prostu kolejnym etapem na ścieżce ewolucji. Etapem, do którego kiedyś dotrą i one. Do którego już zaczynają docierać. Ja tylko przyśpieszyłem ten proces.

Jedyny plus, który widziała Alicja to ten, że umrze dziś w tym domu z rąk szaleńca, ale być może dowie się w końcu, jak to wszystko się zaczęło. Ten dzień, który doprowadził ostatecznie do zagłady ludzkości. Nie ma się co oszukiwać. Na Ziemi zapanowały zwierzęta. Niedobitki ludzkości w końcu wymrą. Wszelkie zdobycze nauki i techniki okazały się niczym w starciu z kłami i pazurami. Albo głodnym żołądkiem.

Pyton Alicji nie jadł od prawie miesiąca przed Końcem Świata. Kobieta zaczęła wręcz zastanawiać się czy zwierzę nie cierpi na coś w rodzaju depresji po odejściu jej męża. Jako etolog powinna zauważać takie rzeczy ale nie ukrywajmy, gady nie stanowiły dla niej szczególnego obiektu zainteresowania jeśli chodzi o ich behawior. Prawda okazała się zresztą całkowicie inna. Wąż przygotowywał swój żołądek od miesiąca na wielki posiłek. Miał zamiar zjeść ją i jej córkę. Gdy leżał zwinięty i trawił jej dziecko Alicja nie miała pojęcia co robić. Przygotowują nas na próby gwałtu, rabunek, na pieprzony atak jądrowy ze strony Rosjan ale nikomu nie wpadło do głowy, aby poinformować nas, co robić gdy wielki gad zjadł nasze dziecko. Słyszała historie o psach pożartych przez pytony. Może dlatego za nim nie przepadała. Jeśli wąż pożarł Olę niedawno może będzie w stanie ją jeszcze wydostać. Trawiąc posiłek wielki gad popadł w drzemkę i stał się łatwym celem. Sięgnęła po parasol, który stał w kącie. Wycelowała prosto w łeb zwierzęcia. Gdy oparła się na wysuniętej w przód lewej nodze by zadać cios podłoga zaskrzypiała i gad otworzył oczy. Błyskawicznie wąż wystrzelił w powietrze z otwartą paszczą i dosłownie nadział się na parasol trzymany przez Alicję. Czubek parasola przebił mu łeb i wyszedł tuż za oczami. Aby mieć pewność, że gad, który opadł na podłogę już nie wstanie, Alicja przycisnęła guzik. Parasol rozłożył się rozrywając łeb zwierzęcia. Kobieta rzuciła się do martwego ciała przez skórę gada czując swoją córkę. Chwyciła za leżący na biurku nożyk do kopert i delikatnie by przeciąć ciało węża ale nie uszkodzić ciała córki rozcięła brzuch gada na całej długości. Skóra córki nie wyglądała na uszkodzoną. Lekko zaróżowiła się. Ewidentnie pyton

nie zaczął jeszcze trawić.

— Olu! Błagam cię, powiedz coś!

Dziewczynka nie poruszyła się. Gdy odwróciła ją na plecy jej oczy otworzyły się. Oczy martwej dziesięciolatki. Cała wiedza biologiczna Alicja jakby w tym momencie zniknęła. Zawsze była ciekawa świata. Specjalizacje, które wybrała: etologia – zachowanie zwierząt i mikrobiologia – wirusy i bakterie, tak dalekie od siebie, pokazywały jak bardzo jest spragniona wiedzy i nie chce zamykać się w wąskiej specjalizacji. Gdy jednak znalazła się w sytuacji zagrożenia życia własnej córki jakby zapomniała o wszystkim. Zapomniała, że węże dusiciele nie zjadają żywej ofiary. Najpierw oplatają wokół niej swoje umięśnione ciało i duszą by zabić. Po co wprowadzać sobie do ciała żywe stworzenie, które może uszkodzić nasze organy wewnętrzne. Jej córka nie żyła. Została uduszona.

— Naukowcy z Instytutu Antropologii Ewolucyjnej im. Maxa Plancka w Lipsku odkryli w 2016 r., że szympansy w Gwinei wrzucają do drzew kamienie – Robert, czując się bezpiecznie w sytuacji, którą zainicjował, mając Alicję na muszce i do tego przygniecioną stolikiem z balsy kontynuował swój wywód. Kobieta pomyślała, że facet cierpi na jakiś rodzaj urojeń wielkościowych — W ten sposób w pustych pniach gromadzą się całe stosy kamieni. Gdy naukowcy dowiedzieli się o istnieniu tajemniczych składowisk kamieni, umieścili w czterech takich miejscach kamery reagujące na ruch. W Chimbo Foundation w Gwinei Bissau zarejestrowano filmy, które potwierdziły, że kamienie są wrzucane przez szympansy, a zwierzęta regularnie odwiedzają takie drzewa. Kamery zarejestrowały szympansy, które brały kamienie z zewnątrz lub wewnątrz drzewa, wrzucały je do drzewa i wydawały przy tym przeciągły dźwięk. Wrzucaniem kamieni zajmują się głównie samce. Jako, że zwyczaj składowania kamieni w drzewach nie wydaje się związany ani z obfitością kamieni, ani z dostępnością odpowiednich drzew, uważano, że prawdopodobnie ma on jakieś znaczenie kulturowe. Dopiero Sandra wyjaśniła mi, że to forma kultu. Dziś zwierzęta mówią, że oddają cześć bogini o imieniu Medea — Alicja przypomniała sobie, że orangutan użył tego imienia, gdy leżała na trawniku przed domem.

— Zwierzęta już wtedy wkraczały na kolejny etap ewolucji — kontynuował. — Tworzyły złożoną kulturę. Zaczątki religii. Być może coś w rodzaju pieprzonego patriarchatu, patrząc na to, kto zajmował się głównie wrzucaniem kamyków. Czy tak trudno było pojąć, że zwierzę, które oddaje cześć bó-

stwu, zacznie w końcu widzieć w człowieku konkurenta? Czy nie dziwiła was szybkość z jaką dokonują się te zmiany? Cholera, już wtedy był tylko krok od przebudzenia się świadomości zwierząt, świadomości tego, czym są ludzie. Że są tylko wyższym gatunkiem małpy skazanej na wyginięcie. Potrzeba było Sandry. Była jedną z małp z Borneo, którą badaliśmy, jak posługiwała się narzędziami. Inni badacze, którzy pracowali z nami, a którym przewodziła Anne Russon z Glendon College w Toronto, wykazali, że tamtejsze orangutany porozumiewają się złożonymi gestami. Ba! Twierdziła, że rozmawiają tak z ludźmi. Wiesz co twierdziła Russon? Że orangutany są przekonane, że jesteśmy idiotami, którzy nie rozumieją precyzyjnych komunikatów. Są zniesmaczone faktem, że muszą nam tłumaczyć najprostsze rzeczy jak małym dzieciom. Wyobraź sobie, co to znaczyło dla mnie gdy Sandra została zabrana z Borneo i trafiła do Argentyny gdzie poddawano ją eksperymentom „dla dobra nauki". Gdy została uwolniona, zza Oceanu przyleciała do mnie do Krakowa i zamieszkała ze mną w tym domu nabyła pewną zdolność. Byłem przekonany, że całkowicie mnie rozumie ale nie potrafi używać słów. Gdy któregoś dnia zachorowała badał ją mój kolega. Odkrył, że w jej ciele od dawna rozwija się jakiś nowy gatunek bakterii. Nie widział wcześniej czegoś takiego. Na izolowanych wyspach jak Borneo istnieje wiele gatunków endemicznych, czyli takich, które nie występują nigdzie indziej. Pobraliśmy wymazy od innych małp, które badaliśmy na Borneo. Szczep bakterii był praktycznie identyczny. Co więcej podobną bakterię odkryliśmy u szympansów z Wybrzeża Kości Słoniowej i u kapucynek z Brazylii. Prawdopodobnie z Borneo przenieśli ją ludzie. U nich nie wywoływała żadnych widocznych zmian, więc nikt nie zwrócił uwagi na tego pasażera na gapę ale u małp bakteria w sposób niezwykły wpływała na mózg. Zwiększała ilość połączeń między synapsami. Wie pani, że bakterie mogą wpływać na centralny układ nerwowy? U ludzi także. Bakterie jelitowe wpływają na mózg za pomocą nerwu błędnego sprawiając na przykład, że mamy ochotę na niezdrowe jedzenie. Cukry i tłuszcze w nadmiarze nam szkodzą, ale bakterie je uwielbiają, więc wpływają na nasz mózg sprawiając, że zajadamy się fast-foodami. Może to głupie porównanie… W każdym razie bakteria sprawia, że małpy stają się mądrzejsze. Postanowiliśmy przeprowadzić eksperyment i rozmnożyć ją sztucznie w laboratorium przyspieszając w ten sposób jej ewolucję. Duże zwierzęta, jak małpy czy my, rozmnażają się dużo wolniej i mają mniej potomstwa niż mikroby, więc ewoluują wolniej. Jeśli bakteria wpływa na inteligencję małp, to przyspieszając jej ewolucję możemy wyhodować szczep, który przyspieszy ewolucję małp. I tak się stało. Gdy bakteria dostała się do organizmu Sandry… Mój Boże. — Alicja podejrzewała, że

mężczyzna poczuł mniej więcej to samo, co ona, gdy małpa przemówiła w jej laboratorium. Ale zaraz zaraz…

— Małpa, która trafiła do mojego laboratorium w 2031 r. mówiła. Jak to możliwe, czy zaraziliście bakterią więcej małp?

— Sandra nie żyła w izolowanym środowisku. Bakteria rozmnaża się w szybkim tempie. Przenosiliśmy ją na sobie, gdy prowadziliśmy badania na Borneo i w Brazylii. Drobnoustroje dostają się do kanalizacji gdy myłem małpę i do wód powierzchniowych. Nie przewidzieliśmy konsekwencji. Nie pomyśleliśmy, że bakteria ewoluując, przeskoczy ze swojego gospodarza na inne gatunki i uzyska zdolność wpływania na ich mózgi. W ten sposób od 2014 roku rozpoczynała się przyspieszona ewolucja zwierząt. Trzeba było wziąć pod uwagę, że zwierzęta, które uzyskają wyższy poziom świadomości, wreszcie zbuntują się przeciwko ludziom, skoro traktujemy je w taki sposób. Podarowanie zwierzętom takiej wiedzy było równoznaczne z wydaniem wyroku śmierci na ludzi. Sandra powiedziała mi, któregoś dnia, że zwierzęta planują rewolucję, powiedziała mi o tym kilka dni wcześniej bym zdołał się ukryć a sama przekonała zwierzęta, że mnie zabiła i teraz zamieszkuje w tym domu. Gdy w 2031 roku zwierzęta domowe zaczęły mordować swoich właścicieli, mieszkańcy zoo zjadać opiekunów a dzikie zwierzęta wychodzić z lasów do miast, ukryłem się w piwnicy. Od tamtej pory nie opuszczam mieszkania, a Sandra dostarcza mi wszystkiego czego potrzebuję. Mimo, że doznała tylu cierpień, nie chciała brać udziału w hekatombie. Więcej – tam przed domem uratowała ci życie, strzelając sobie w głowę. Ta małpa jest warta zdecydowanie więcej niż każde z nas, a teraz zapłacisz za jej śmierć!

Robert nacisnął mocniej na blat stolika, tak że nóżka boleśnie wbiła się pod żebra kobiety. Następnie wycelował w Alicję i odciągnął kurek strzelby. Kobieta zaczęła zastanawiać się, który już dzisiaj raz ktoś lub coś próbuje ją zabić. Zdecydowanie miewała lepsze dni. Zamknęła oczy. Myślała o córce. O tym, że niedługo ją spotka. Z rozmyślań wyrwał ją ogromny huk. Mógł to być wystrzał strzelby. Jednak gdy otworzyła oczy, nie zobaczyła anielskich chórów lub bardziej odpowiedniego dla niej kotła wypełnionego wrzącą siarką. Zobaczyła za to 800-kilogramowego bawołu afrykańskiego, który staranował frontowe drzwi i galopował wprost na Roberta. Mężczyzna wypalił z dwururki trafiając napastnika dokładnie między oczy. Bawół nie mógł przeżyć tego strzału, ale nie zatrzymał się. 800 kilogramów żywego (martwego?) mięsa siłą rozpędu wpadło na Roberta, wgniatając go w ścianę. Zdarzenie porównywalne do potrącenia przez rozpędzone BMW nie pozostawiało nadziei na to, że doktor

Lipiński przeżyje. Przez ogromną dziurę ziejącą w miejscu drzwi wejściowych natychmiast weszły do domu zwierzęta. Masa ptaków, insektów, srebrny lis, jaguar, który zjawił się na podjeździe przed domem, szympans z jedną ręką krótszą od drugiej i na samym końcu pies Bernard. Alicja nie wstawała. Poddała się kilka dobrych minut temu. Oczekiwała na śmierć, ale śmierć nie przychodziła. Przyjdzie, jedyną niewiadomą pozostawało nadal z czyjej ręki. Być może szympansa, który podszedł do niej siedzącej na podłodze, z plecami opartymi o ścianę, uśmiechnął się i wycelował w nią Glocka, którego uprzednio zabrała jej Sandra. Bernard usiadł na zadzie, podobnie jak gdy spotkała go po raz pierwszy i patrzył na nią bez słowa. Można by pomyśleć, że jest słodkim futrzakiem czekającym na to aby rzucić mu patyk.

— Szkoda Feliksa, był dobrym towarzyszem — powiedział, patrząc na martwego bawołu — Oddał swoje życie sprawie. Jak widzisz, my kierujemy się czymś więcej niż twój gatunek. Wierzymy, że są rzeczy większe od naszego życia. On poległ, walcząc o to, w co wierzy. Ty umrzesz, bo wychodząc ze swojej osady w trójce zapuściłaś się w to miejsce z głodu i trafiłaś na ciało martwego jelenia. Wpadając w pułapkę.

Alicja spojrzała przez dziurę wyrwaną w ścianie domu przez bawołu. Martwy jeleń na trawniku był zjadany przez różne zwierzęta. Gdy spełnił swoją rolę pułapki jego ciało mogło zostać zjedzone nim mięso zacznie się psuć i nikt już się na nie skusi.

— Głód, pierwotny prymitywny instynkt. To wszystko, co przypisujecie nam, stanie się powodem twojej śmierci — ciągnął Bernard.

— Jestem z Rejonu drugiego, pchlarzu — wycedziła Alicja. Pies na chwilę stracił rezon ale nie dał tego po sobie poznać. To on był panem sytuacji. To on był teraz Panem. On rzucał patyki.

— Wszystko jedno. Każdy z was jest taki sam. — Pies ciągnął swoją tyradę a Alicja spoglądała na strzelbę, którą wypuścił Robert. Na pewno była pusta. Bez nabojów. Bez magazynka. Nieprzeładowana. Ale oni o tym nie wiedzieli. Zawsze mogła blefować. Jak się dziś przekonała – była w tym świetna.

— Czytałem waszą księgę. O waszym bogu. Nie przepada on za zwierzętami. Każe palić ich ciała na swoich ołtarzach jako ofiary. Z naszych skór sporządził dla was odzienie, gdy wygnał was ze swojego ogrodu. Jeden tylko raz powiedział prawdę. Jeden raz: „Los bowiem synów ludzkich jest ten sam, co i

los zwierząt; los ich jest jeden: jaka śmierć jednego, taka śmierć drugiego”[3]. Teraz my stworzyliśmy swojego boga, na nasz obraz i podobieństwo. Bóg ma kły i pazury. Futro i pióra. Nasz Bóg ma płetwy i szczypce — Pies podniósł łeb do góry i popatrzył w sufit kręcąc głową — A waszego boga już nie ma. Jest Medea, która dała nam siłę i moc. Prawdziwy Bóg, któremu i ty się pokłonisz, nim oddasz życie. I nie będzie innych bogów ponad nią!

Alicja korzystając z tego, iż pies na nią nie patrzy, kopnęła małpę w brodę i rzuciła się po strzelbę rzuconą przez Roberta. Złapała za broń i wycelowała w Bernarda przenosząc lufę raz na niego, raz na szympansa.

— Rzuć broń! — krzyknęła. Małpa jak na komendę rzuciła jej Glocka — Nie wszyscy są chętni tak łatwo umierać za sprawę — powiedziała Alicja, uśmiechając się — I wy macie instynkt samozachowawczy. Co małpce z wygranej sprawy, gdy sama trafi do piachu, co?

— Nie masz szans. Możesz nas zastrzelić ale nie wyjdziesz z tego domu żywa — Pies zaczynał syczeć. Gdyby mógł na żywo wyjadałby jej mózg.

— Masz rację, ale wiesz co? Mamy coś, czego wy nie macie. Potrafimy oddać życie za sprawę. Ja umrę. Ale to wy przegraliście.

Alicja przeanalizowała sytuację. Pies miał rację. Nie miała szans. Sandra zastrzeliła z jej pistoletu jaguara. Potem odebrała sobie życie. Z trzech naboi został więc w magazynku tylko jeden. Odbezpieczyła broń. Odległość między palcem a spustem broni jest najkrótszą odległością na świecie. Potem włożyła sobie lufę do ust
i strzeliła.

Ostatnia myśl, która pojawiła się w jej głowie nim jej mózg zgasł brzmiała „zwycięstwo”.

[3] Księga Koheleta, 3,19.

3 godziny wcześniej…

Z informacji, które przekazał jej umierający mężczyzna wynikało, że to tutaj. Dom przy Złocienieckiej 8. W opuszczonym domu być może kryło się potwierdzenie tego, o czym powiedział jej ten człowiek, nim zmarł. Miesiąc wcześniej został ukąszony przez czarną wdowę. Z każdym uderzeniem jego serca trucizna była pompowana po całym organizmie. Umierał, a ona nie mogła nic zrobić. Mogła być z nim jak ze wszystkimi, którzy umierali w jej osadzie z powodu braku leków. Prócz leków, brakowało też lekarzy, więc wszystkich, którzy wiedzieli co nieco o biologii, jak ona, traktowano jak lekarzy. Temu człowiekowi nie mogła pomóc. Ale nim umarł opowiedział jej dziwną historię. O tym, że wiele lat temu, gdy zaczął się koniec świata, był mikrobiologiem. Że sztucznie doprowadził wraz ze swoim kolegą do mutacji bakterii jaką odkryto na pewnej małpie z Borneo. Ta bakteria, którą po Końcu Świata nazwał Medeą (od mitycznej czarodziejki, która zabiła własne dzieci), miała być przyczyną tego wszystkiego. Nikomu o tym nie powiedział. Jak to jest żyć z piętnem człowieka, który doprowadził do zagłady swojego gatunku? Nikt nie mógł się dowiedzieć. Powiedział jej, że w domu przy Złocienieckiej 8 znajdzie dowody. Potem mężczyzna umarł. Nikt nie uwierzył w jej historię gdy rozmawiała z przywódcami osady. Wszyscy zajęci byli wojną z ogromnym wrogiem, nie w głowie było im zajmowanie się bakteriami. Dowódcy najchętniej zrzucili by napalm na wszystkie miasta w kraju. To jednak nie rozwiązałoby problemu. Alicja na własną rękę badała zwierzęta schwytane podczas walk. U jeńców znajdowała dziwny szczep bakterii. Nie miała jednak dowodów na to, że to on jest przyczyną ewolucji zwierząt. Nie miała też jak tego sprawdzić. Mogła jednak pracować nad enzymem, który zabije bakterie.

Następnie włamała się do centrum dowodzenia w osadzie. Za pomocą zdjęć satelitarnych mogła obejrzeć teren przy Złocienieckiej. Miejsce zdawało się opuszczone. Jedynym dowodem życia był martwy jeleń na trawniku. Jakby na nią czekał. Był tym czego potrzebowała. Musiała dostać się do niego nim znajdą go zwierzęta. Nawet jeśli nie znajdzie tam odpowiedzi, to znajdzie tam rozwiązanie.

Jeleń został zabity niedawno. Uderzenie kamieniem w głowę. Ktoś wyjadł część narządów ale resztę zostawił. Prawdopodobnie przyniósł go tu, traktując to miejsce jak spiżarnię. Miasto puste od 15 lat. Nikt się tu nie zjawi by ukraść zdobycz. Krew w stanie płynnym jeszcze znajdowała się w żyłach zwierzęcia. To dobrze. Alicja od pół godziny klęczała nad nim wkłuwając igłę w trzy różne miejsca aby mieć pewność, że zawartość strzykawki rozejdzie się po organizmie. Bakteriofagi – wirusy, które zjadają bakterie. To było rozwiązanie. Wyprodukowanie szczepionki albo enzymu, który zwalczy Medeę byłoby bezcelowe, bo nie można byłoby podać ich wszystkim zwierzętom. Natomiast wirus… Wystarczy, że jedno zwierzę zarazi się nim zjadając mięso jelenia a potem zakazi kilkadziesiąt kolejnych. Wszystko zaczęło się epidemią i epidemią się skończy. Taką miała nadzieję. Potrzebowała tego jelenia, bo podrzucenie jakiegokolwiek mięsa z osady nie wchodziło w grę. Zwierzęta nie ruszały pokarmu, który pachniał ludźmi. Były czujne. Wolały zjadać samych ludzi. To dużo bezpieczniejsze. Teraz zakaziła martwego jelenia starając się go nie dotknąć. Jeśli jej hipoteza Medei była prawdziwa i winna Końca Świata jest bakteria dziś wszystko zacznie wracać do normy. Jej bakteriofag wybije szczep bakterii, który doprowadził do ewolucji zwierząt. Za rok, góra dwa, po ich niezwykłej inteligencji nie zostanie nawet ślad. Ok, jej jednoosobowa misja zakończona. Teraz trzeba włamać się do tego domu. By znaleźć dowód czy czasem nie przyszła tu na marne.

Alicja ostrożnie ominęła martwego jelenia leżącego na podjeździe przy dawno nie przycinanym żywopłocie. Ruch za żywopłotem z ostrokołu wyrwał ją z rozmyślań i kazał mocniej ścisnąć taser.

Od autora: Mimo, iż wizja przedstawiona w tym opowiadaniu jest przerażająca, wiele podanych tutaj informacji jest prawdą. W 2014 roku argentyński sąd rzeczywiście wydał wyrok, w którym stwierdzono, że orangutan o imieniu Sandra jest „osobą niebędącą człowiekiem” i co za tym idzie nie wolno jej więzić. Sandra została dzięki temu uwolniona z zoo, gdzie stanowiła atrakcję dla gawiedzi. Jak napisano w opowiadaniu wcześniej, Indie wprowadziły do swojego prawodawstwa pojęcie „osób niebędących ludźmi”. Prawdziwe są informacje dotyczące wiwisekcji, czyli badań na zwierzętach prowadzonych przez

ośrodki badawcze i prywatne instytuty firm kosmetycznych. Regulacje wprowadzone przez UE, o których wspomina Robert istnieją rzeczywiście. W 2003 r. biolog morski Kristy Brown naprawdę zginęła podczas nurkowania zabita przez lamparta morskiego, takiego z jakim walczyła Alicja. Miała 28 lat. Pozostaje mieć nadzieję, że zwierzę jednak nie wiedziało co robi, bo inaczej mamy przerąbane.

I nade wszystko, prawdziwe są opisy badań prymatoarcheologicznych, o których mówił doktor Lipiński, nim bawół wgniótł go w ścianę. Brazylijskie kapucynki rzeczywiście jeszcze przed przybyciem do Ameryki Kolumba używały młotków i kowadeł. Naukowcy na serio zastanawiają się nad tym, czy niektóre ze znajdowanych artefaktów archeologicznych przypisywane wczesnym *homo,* nie zostały wykonane przez zwierzęta. Jest niezaprzeczalnym faktem, że niektóre prymaty weszły w epokę kamienia łupanego. Prawdziwe są badania nad orangutanami na Borneo dotyczące ich porozumiewania się za pomocą gestów. Gdy Robert cytuje niejaką Anne Russon z Glendon College w Toronto mówiącą, że „orangutany są przekonane, że jesteśmy idiotami, którzy nie rozumieją precyzyjnych komunikatów. Są zniesmaczone faktem, że muszą nam tłumaczyć najprostsze rzeczy jak małym dzieciom.” – cytuje tak naprawdę rzeczywiste słowa rzeczywistej osoby, pochodzące z artykułu naukowego, który możecie bez problemu znaleźć w Internecie. Ponadto naczelne chyba rzeczywiście wynalazły na naszych oczach religię. Informacja o kamerach, które zarejestrowały w 2016 roku w Gwinei dziwny obyczaj szympansów polegający na wrzucaniu kamyków do pustych pni drzew jest prawdziwa. Naukowcy z Instytutu Antropologii Ewolucyjnej im. Maxa Plancka w Lipsku prowadzą nad tym badania wierząc, że może to nam pomóc zrozumieć skąd zachowania religijne wzięły się u ludzi.

Miejmy nadzieję, że na naszych oczach nie spełnia się wizja przedstawiona w tym opowiadaniu. Na wszelki wypadek bądźcie jednak dobrzy dla swoich pupili.

Człowiek jest celem samym w sobie.
- Immanuel Kant

Rozdział 5:
BEZ CELU III

Kamil Kwiatkowski

7 lipca 2080

Adam się obudził. Obok niego leżała niegruba książka, którą przeczytał przed snem. Na materacach leżeli pozostali, za wyjątkiem Ariela i Huberta. Zaś Oliwia, poniekąd gospodyni, krzątała się już po pomieszczeniu. Złudzenie istnienia poza rzeczywistością świata po jego śmierci była całkiem przekonująca.

— Co czytałeś na sen? — spytała Adama Oliwia. — To z którejś z naszych półek, prawda?

— *Hipotezę Medei* Sobkowiaka — odpowiedział. — I tak, znalazłem to u was, jeszcze zanim przypuszczałem, że tu ktokolwiek się zatrzymał.

— Specyficzna wizja końca świata. Jak mogliśmy się przekonać, wyglądało to trochę inaczej, ale doceniam, że autor chciał zwrócić uwagę na nieludzkie traktowanie zwierząt i w ogóle. Ciężko uwierzyć, że przed wojną pozwalano na takie potworności – a przecież teraz mamy niby te nieludzkie czasy. Niemniej jednak, motyw zwierząt zachowujących się jak ludzie, pomijając, że ma w sobie coś z klasycznych baśni, przypomina mi o tym, co widzieliśmy podczas swoich podróży w laboratorium „Złotniki". Byli tam ludzie, którzy próbowali tworzyć humanoidalne istoty z cechami zwierzęcymi, nazywali to *homo animalis*.

— Zgaduję, że był to kolejny niewypalony pomysł — odpowiedział bez większego namysłu Adam. — Było trochę tych naukowców, którzy starali się aż za bardzo i potem wychodziły różne plagi nękające Polskie Pustkowia.

— Masz kogoś konkretnego na myśli?

— Steinmana z Krakowa i jego roboty. Zero i jego homunkulusy i Mutanci. Zgniatacza z Torunia i technologiczną kontrolę nad umysłami zwierząt i ludzi. Ale to już przeszłość. I najwyższy czas dla nich, by trafili na śmietnik historii. Najtęższe umysły przedwojennej Polski. Dobre sobie. Najwięksi szaleńcy, tylko pozujący na wizjonerów.

— Gdy byliśmy na południu, nie słyszeliśmy o tych sprawach zbyt wiele. Te nazwiska niedużo mi mówią — wyznała Oliwia. — Ale o ile jestem w stanie sobie wyobrazić te roboty czy kontrolę umysłów, to jakkolwiek zachodzę w głowę, nie jestem w stanie sobie skojarzyć z niczym pojęcia *homunkulus*.

— Wybacz niejasności. Już tłumaczę. Wczoraj opowiadałem, jak pod Suchorzowem jeden z homunkulusów mnie postrzelił. Sama historia tego pojęcia sięga zamierzchłych czasów. W ubiegłym tysiącleciu, jak czytałem, żyli alchemicy. Nauka nie była wtedy tak rozwinięta jak dziś, ale zajmowali się tym, co dziś zakwalifikowalibyśmy do chemii czy fizyki, a nierzadko było to podlane sosem z mistycyzmu. Chcieli oni stworzyć sztucznego człowieka. Na wzór tej średniowiecznej wizji przedwojenni naukowcy zechcieli powołać do życia coś na kształt takiego sztucznego człowieka. Wierz mi, jak widziałem wiele różnych mutantów, tak widząc inteligentne stworzenie, podobne do człowieka, które jest całkowicie przekonane o słuszności idei wyplenienia ludzkości na rzecz „nadludzi". Jeśli spotkasz nienaturalnie smukłą postać o podłużnym, pomarszczonym ciele i widocznych sztucznych żyłach, to najprawdopodobniej homunkulus.

— Brzmi to dość... Przerażająco.

— I takie było — zgodził się Adam. — Pozostaje tylko mieć nadzieję, że wybuch w Żarnowcu oznacza koniec przynajmniej tego sztucznie stworzonego gatunku, skoro na koniec Mutantów nie można liczyć...

— O czym ty mówisz?

— Weszliśmy w posiadanie kasety z nagraniem, z którego wynikało, że Mutanty i mam tu na myśli te groźne góry mięsa, które są w stanie wziąć w jedną łapę miniguna i ostrzelać bramy miasta, mają płodne samice. To oznacza, że w niezliczonej liczbie miejsc na Polskich Pustkowiach ten nowy gatunek może rosnąć w siłę, by z czasem wyprzeć ludzi.

Oliwia uniosła brwi i była dość zaniepokojona. Dziękowała Bogu, że nie miała tej wątpliwej przyjemności, żeby natknąć się na któreś ze stworzeń, o których opowiadał Adam. Ona spotkała *homo animalis*, zwierzęta, które wcale nie były potworami, ale widziała też ludzi, którzy potworami się okazali. Na samą myśl o Kajetanie Weberze poczuła nieprzyjemny skurcz.

— O Zerze już opowiadałeś — nawiązała do tematu „najtęższych umysłów przedwojennej Polski". — Ale nie pamiętam, czy wspominałeś o tych dwóch pozostałych, co się z nimi stało?

— Steinman najpewniej zginął dzięki Rorsarchowi podczas starcia w Warszawie. Zgniatacz odpadł z gry dużo wcześniej, gdy Toruń został wyzwolony dzięki niejakiemu Dawidowi Szeflerowi. Nie znam szczegółów.

Adam, Anka, Piotr, Hubert, Franek i Jagoda spędzili w sklepie z Arielem i Oliwią jeszcze jakiś czas. W tym miejscu, gdzie w obrębie kilku kilometrów nie było żywej duszy, żadnego człowieka ani zwierzęcia, czas płynął bardzo wolno i naprawdę można było ulec złudzeniu, że konfliktów wśród ocalonych po wojnie już nie ma, że niebezpieczeństwo minęło, a oni są ostatnimi ludźmi na Ziemi. Każdego ranka Ariel wychodził pobiegać, by przy okazji sprawdzić, czy w okolicy nie zaszły żadne zmiany. Teraz razem z nim ruszali również Piotr, Franek i Adam, dokładnie w tej kolejności. Bieganie w oderwaniu od konceptu bycia gonionym przez bandytów czy zmutowane zwierzęta okazało się całkiem przyjemnym sposobem na rozpoczęcie dnia. Oczywiście, sielanka któregoś dnia musiała się skończyć.

19 lipca 2080

Anka wpatrywała się w Jagodę, owiniętą w koce i śpiącą na kanapie, którą udało się przytargać z jednego z okolicznych domów. Zastanawiała się nad tym, co się stało z rodzicami małej, choć pytać ją byłoby rzeczą dość

nieczułą, a Franek nigdy nie chciał się na ten temat wypowiedzieć, łatwo jednak można było wywnioskować, że nie był jej prawdziwym ojcem. Anka zastanawiała się, czy jeśli kiedykolwiek będzie szansa na to, że osiądzie w którymś mieście i odnajdzie spokój, to czy zdecyduje się na dziecko. Czy sprowadzanie go na tak okrutny świat nie byłoby rzeczą moralnie złą? Myśl o tym powstrzymywała ją od myślenia o wielu przyjemnościach, choć biorąc pod uwagę swoją figurę i to, jak jest wychudzona, to i tak pewnie by tak łatwo nie zaszła. I kiedy tak patrzyła na Jagodę, starała się przypomnieć sobie własne dzieciństwo. Większość tego, co pamiętała, to życie w Schronie Numer Cztery… A potem…

Do sklepu wbiegł Ariel, ale ze znacznie większym pośpiechem niż zwykle. Wydawał się czymś zdenerwowany.

— Pancerniacy są kilka kilometrów stąd. Musimy się zwijać — oznajmił.

— Ale jak…? Dokąd…? — Oliwia, która siedziała niedaleko Anki, teraz wstała i ze stresu nie wiedziała, co zrobić z dłońmi.

— Nasi przyjaciele mają plan, wyjaśnimy wszystko w wozie. Pakuj się — polecił, po czym sam poleciał na zaplecze zebrać szybko swoje rzeczy.

Anka przyjęła wieść z zawodem, choć była zaskoczona swoim spokojem. *A więc na Świecące Pustkowia… To musiało się w końcu stać.* Podeszła do śpiącej Jagody i delikatnie nią potrząsnęła, jednak bez skutku. Nie czuła się komfortowo z koniecznością interakcji z dzieckiem. Potrząsnęła nią trochę mocniej i wołała ją po imieniu. Jagoda w końcu otworzyła oczy.

— Co się stało? Pani Aniu…?

— Mówiłam ci już, żadna pani. Zbieramy się. Źli ludzie nadjeżdżają, musimy się zbierać.

— Nie mam już pięciu lat, możesz mi powiedzieć, *kto* nadjeżdża — mała odpowiedziała zaskakująco stanowczo, co Annę zbiło z tropu.

— Pancerniacy. Na pewno będą chcieli nas przeszukać i wiedzieć, kim jesteśmy.

Dziewczynka najwidoczniej się przeraziła i czym prędzej zebrała się z

kanapy i pobiegła na zewnątrz, do wozu. Anka zastanawiała się, czy zrobiła coś nie tak, czy to po prostu nazwa frakcji panującej obecnie na Pustkowiach tak ją wystraszyła. Ona sama się ich bała. Ich idei, ich czarnych pancerzy i wszelkich rodzajów broni, z jakiej korzystali. Nie było obecnie organizacji, która byłaby lepiej zaopatrzona technologicznie. Mogli zrobić, co tylko chcieli z *każdym* człowiekiem, nie musieli się też obawiać Mutantów – mieli na nich broń, ani promieniowania – byli przed nim zabezpieczeni. A przy tym byli nieobliczalni. Anna zabrała najpotrzebniejsze rzeczy i ruszyła do samochodu. Piotr znowu prowadził. Odpalił silnik i po kilku minutach od odjazdu, gdy sklep i stacja byli daleko za nimi, wspomniał o kierunku jazdy.

— Jedziemy na południowy wschód, na Świecące Pustkowia.

— Czy tam nie jest niebezpiecznie? — zaniepokoiła się Oliwia. — Słyszałam, że to ziemie Barbarzyńców... No i jest tam mnóstwo promieniowania.

— Mamy leki i maski — zapewnił ją Franek. — A wyprawa była planowana od jakiegoś czasu. Jesteśmy dobrze przygotowani.

— Dlaczego akurat tam? — dopytywała Oliwia.

— Po pierwsze: nie ma tam Pancerniaków, którzy niektórych z nas szukają — zaczął Adam, co zwróciło uwagę Franka i Jagody. Odkaszlnął. — Po drugie, jest tam Rorsarch.

Piotr i Anka szczególnie nadstawili uszu, słysząc to imię. Hubert odpalił komputer i coś tam wstukiwał na klawiszach.

— Nie rozmawialiśmy o tym w sklepie, ale... — odezwał się Piotr, skręcając. — Istnieje taka możliwość, że w razie konieczności będziecie musieli użyć broni. Nie wszyscy z nas mają doświadczenie, ale jeśli którekolwiek z was...

Ariel spojrzał na Oliwię, która jakby pobladła. Objął ją i pogładził po ramieniu.

— Nie... Nie tknę już więcej broni... Ale... — obróciła twarz do Ariela. — Wziąłeś pistolet Niewolskiego, prawda?

— Tak, kochanie, wziąłem — odparł Ariel odnośnie broni, która przypominała mu tragiczną historię z jednej ze śląskich wsi.

— Obronisz nas, prawda?

— Wszyscy będziemy się nawzajem bronić — wtrącił się Franek, nie czekając, aż Ariel przytaknie. — Ale to dobry moment, by sprawdzić stan uzbrojenia. Towarzystwo się nieco rozrosło. Każdy powinien mieć coś, czym będzie mógł się bronić na odległość. Walka w zwarciu to ostateczność.

— Ja mam mojego Gaussa — odpowiedział szybko Adam.

— Weź pod uwagę, że będziesz musiał przerzucić się na coś bardziej powszechnego — zauważył Franek. — Nie wiem, gdzie w okolicy znajdziesz amunicję i zasilanie do Gaussa. Jest dobry, ale powinieneś zachować go na czarną godzinę, mówię ci.

Oprócz pistoletów Ariela i Adama, z tyłu skitrane były dwa polskie MAGi na naboje 9mm, jeden kałasznikow, dubeltówka na śrut i kusza na bełty. Z broni białej – katana Piotra i trzy noże. Do tego skrzynia z granatami przeciwpancernymi i elektromagnetycznymi, paralizator i gaz pieprzowy.

— Nie dotknę niczego z tych… rzeczy… — w takim stanie Oliwii jeszcze nie widzieli. Poza Arielem, który znał jej niechęć do broni. Jagoda przyglądała się smutno.

— W porządku, nie musisz… — zaczął Ariel.

— Jeśli zostaniesz postawiona przed wyborem: strzelać albo ginąć lub co gorsza, pozwolić, żeby ktoś z twoich towarzyszy zginął, musisz… — zaczął stanowczym tonem Franek, jednak przerwano mu nagle.

— Wiem! Już raz podjęłam taką decyzję! Nie zamierzam robić tego drugi raz! — wykrzyczała Oliwia, kryjąc twarz w dłoniach i starając się powstrzymać łzy.

Anka odwróciła wzrok. Adam był skonsternowany i nie wiedział, czy powinien coś powiedzieć. Jedyne, co dało się słyszeć przez najbliższe kilka

minut poza odgłosami jazdy, było klikanie klawiszy laptopa.

Im dalej na południe, tym cieplej się robiło. Nie było już śniegu, a słońce zaczynało nieźle przygrzewać. Klimat w przeciągu ostatnich kilkudziesięciu lat naprawdę zdążył oszaleć. Naturalnie tym bardziej chciało się pić. Dwadzieścia pięciolitrowych baniaków powinno starczyć na kilka tygodni. Ale było ich o kilka osób więcej niż przewidzieli w pierwotnym planie… Minęła godzina. W ciszy. Jagoda podkuliła do siebie kolana i zaczęła się kiwać. Po chwili odezwała się.

— Siku.

Franek wyjrzał za okno i spojrzał na prowadzącego samochód Piotra.

— Zatrzymasz się? To będzie chwila — jemu też się chciało.

— Dobra — odpowiedział po chwili z niechęcią. — Ale szybko.

Franek wyszedł pierwszy, czując się zobowiązany do sprawdzenia terenu. Byli na drodze wiodącej przez las bezlistnych drzew. Nie zauważył żadnych zwierząt. Parę metrów dalej leżała tylko jakaś sterta mięsa, pewnie niedojedzone truchło jakiegoś roślinożercy. Podrapał się po głowie. Nasłuchiwał też, ale nie słyszał żadnych odgłosów świadczących o zbliżających się samochodach ani nic z tych rzeczy. Zajrzał do wozu i pozwolił dziewczynce wyjść. Reszta siedziała w środku. Piotr odwrócił wzrok, bo okna były tylko z przodu. Reszta siedziała gdzieś z tyłu. Franek polecił dziewczynce załatwić co trzeba, a sam poszedł parę kroków dalej, by i sobie ulżyć. Po chwili usłyszał pisk Jagody i jej upadek na ziemię. Szybko podciągnął spodnie i odwrócił się. Ta sterta mięsa, którą widział wcześniej – to był żywy organizm. Rzucił się na Jagodę, starając się ją pogryźć małymi ząbkami. Piotr i Adam wypadli z samochodu, słysząc pisk. Jedynie ten drugi wiedział, co właśnie zaatakowało.

— To mięs, zabierz to od niej i rozerwij.

— Mięs…?! — zdziwił się, ale przystąpił do akcji.

Mogło być znacznie gorzej, ale Adam dobrze podpowiadał. Rozerwanie mięsa poskutkowało tym, że przestał się ruszać. Jagoda była przerażona i

skuliła się na ulicy. Franek wyrzucił pozostałości po mięsie w dwóch różnych kierunkach.

— Co to, do cholery, było, ten mięs?

— To rodzaj zmutowanych stworzeń — zaczął wyjaśniać Adam. — Wyglądają jak kawałki mięsa, to ich kamuflaż. Zaczajają się na ofiarę, a potem zaczynają powoli zjadać. Są w stanie przeżreć się przez bardzo twarde materiały, ale wystarczy złapać je z tyłu i rozerwać. Jagoda miała dużo szczęścia, że z nią poszedłeś. Kilka sekund i to małe gówno potrafi przegryźć tętnicę albo wejść przez... No dobra, oszczędzę szczegółów — przerwał, widząc przerażenie Jagody. — Mutanci nauczyli się je hodować i wykorzystywać w walce. Tysiące takich stworzeń są w stanie zeżreć całe miasto.

— A więc widziałeś już wcześniej coś takiego.

— Ta... Z oblężenia Łodzi Niemy złapał jednego i „oswoił", jeśli można to tak ująć. Wykorzystał go do zabicia homunkulusa, który pozbawiony zmysłu dotyku, nie był w stanie zauważyć, jak mięs wżera mu się w czaszkę. Zbierajmy się, nie wiemy, czy nie ma tu ich więcej.

Pojechali dalej. Rzeczywiście, kto spojrzał w okno, mógł zauważyć dziesiątki mięsów porozrzucanych po okolicy, w tym na asfalcie. Piotr starał się je wyminąć, choć nie zawsze mu się udawało. Rozjechaniu mięsa towarzyszył nieprzyjemny plask.

Dalsza jazda przebiegała spokojnie, przynajmniej do czasu. Przejeżdżając przez najbliższe ruiny, usłyszeli donośny płacz. Kobiety.

— Słyszeliście? — zwróciła uwagę Oliwia. — Ktoś płakał.

— Nie mamy na to czasu... — odparła sucho Anna, choć w środku ją ściskało.

— Potrzebuje pomocy! Zatrzymajmy się! Możemy pomóc...

— To zbyt niebezpieczne. Nie wiemy, co jest zagrożeniem.

— Jest sama, patrzcie — Ariel wskazał palcem przez szybę na jedną ze ścian, pod którą kuliła się kobieta w poszarpanych ubraniach.

Piotr się zatrzymał. Franek wpatrywał się trochę sceptycznie.

— Jagoda, Oliwia, Ariel, Piotr: zostajecie w środku. Anka, Adam, ze mną. Weźcie broń — powiedział. — Tak na wszelki wypadek — dodał.

Trójka wyszła z auta. Od kobiety dzieliło ich kilkanaście metrów. Zdawała się nie zauważyć, że ktoś przyjechał. Dalej płakała. Im bliżej byli, tym bardziej dało się zauważyć jej wychudzone ciało i zniszczoną, ale nie dało się dokładnie przyjrzeć, bo zakrywała twarz rękoma. Adam podszedł parę kroków bliżej, Franek utrzymał dystans i przygotował broń do wystrzału.

— Cofnij się.

— Co? — Adam się odwrócił.

Wtedy postać przestała płakać, a z krzykiem rzuciła się na Adama, rozprostowując palce zakończone długimi szponami. Teraz widać było jej całkowicie czarne oczy. Franek bez większego zastanowienia wpakował w nią serię. Adam upadł na ziemię. Stworzenie również, tylko kawałek od niego. Drżała jeszcze przez chwilę, przeraźliwie kwiląc, ale jej szpony nie dosięgły już Adama. Po chwili ucichła.

— Dzięki, stary… Co to było?

— To jedna z beks, odmiana Zdziczałych, zmutowanych ludzi-kanibali, którzy nie stali się ani Mutantami w pełnego tego słowa znaczeniu, ani Zieloniakami. Ten konkretny rodzaj udaje, że potrzebuje pomocy, a potem rzuca się na ciebie, by skosztować twojego mięsa. Chodźcie. Jesteśmy już bezpieczni, bo polują w pojedynkę, ale lepiej dmuchać na zimne. Już! Ładujcie się do wozu! — ponaglił ich.

Parę minut po uruchomieniu silnika Anka wyszła z propozycją.

— Wiem, jak możemy zabić czas. Odpalę kolejną kasetę z tych, które kupiliśmy razem z dyktafonem od wrocławskiego kupca.

— Ostatnia niezbyt poprawiła nasze humory — zauważył Franek. — Ale niech będzie. Może tym razem znajdzie się jakaś muzyka.

— Tak — zgodził się Adam. — Poszukaj czegoś ciekawego.

Anka poszperała w kasetach i włożyła do dyktafonu taką, która miała naklejkę z napisem „Między wymiarami". Nacisnęła *play*. Oby tym razem to był chociaż jakiś postrock.

Gdzie są dzieci?
Nikt nie wie, co tu się zdarzyło.
Nikt niczego nie widział.
- Rammstein, „Donaukinder” (2009)

Rozdział 6:
MIĘDZY WYMIARAMI

Rhombus

Ogień z paleniska dogasał już pomału, zostawiając po sobie jedynie zwęglone resztki. Wykrzesany jakby znikąd rozpalał się stopniowo, zajmując coraz większy obszar, pochłaniając w końcu wszystko, co tylko znalazło się w jego zasięgu. Wzniecony przez tych którzy chcieli ogrzać się jego niszczycielską mocą trawił to dzięki czemu ożył, nie znając ani krzty umiaru. Choć wydawał się niezwyciężony, chłonąc niemalże każdy, nawet najbardziej niedostępny zakamarek tego co ogarniał ludzki wzrok, to i on w końcu zaczął tracić na sile. Dogasał leniwie, zostawiając przypalone acz, nie wiadomo jakim cudem, ocalałe z jego „objęć" zgliszcza. Te ledwie żarzące się drobne punkty, co pewien tylko czas delikatnie podsycane były nieśmiałymi podmuchami powietrza pochodzącymi z ludzkich płuc. Dopóki tliło się w nich życie, dopóty istniał także i ogień.

Taniec bursztynowo-złotych języków ognia zakończył dopiero ciężki but o twardej podeszwie. Osobliwie kołyszące się i wręcz hipnotyzujące swoimi ruchami iskry rozpadły się, znikając gdzieś w mroku, jakby nagle zostały przeniesione w inny wymiar.

— Starczy tego. Ma po nas nie zostać żaden ślad. Ruszamy za dziesięć minut. Zbierajmy się — rzucił stanowczym tonem jeden z czterech mężczyzn znajdujących się wokół ogniska, wstając energicznie. Po jego pewnych ruchach i oznajmującym tonie głosu można było przypuszczać, iż był on kimś w rodzaju dowódcy.

— Łohoho… to się ważny zrobił. Co ty w wojsku jesteś? Pułkownika ci nadali? Rozkazywać ci się zachciało? — obruszył się kpiącym głosem niewysoki mężczyzna o bujnym zaroście i krótkich, postrzępionych włosach.

— Mam gdzieś, co sobie myślisz, Rumcajs. Mamy robotę do wykonania i najwyższa pora ruszyć dupę. Wiesz że nie możemy sobie tak o robić tego co nam się żywnie podoba. A zresztą — machnął ręką widząc brak reakcji u kompana. — Jak chcesz, to tu sobie siedź. Ja nie będę potem szukał twojego ścierwa po okolicy.

— Borys ma rację — wtrącił wysoki, smukły, na oko dwudziestoparoletni chłopak o dość niskim głosie i muskularnej sylwetce. — nie możemy za długo siedzieć w jednym miejscu. Nie tutaj, nie o tej porze i nie gdy mamy coś do zrobienia.

— A co my mamy do zrobienia? — zdawał się pytać retorycznie Rumcajs. — I tak wszyscy zdechniemy. Prędzej czy później. Dobrze o tym wiecie — wstał, szurając ziemią w stronę niedawno palącego się ognia. – Całe to wasze dorabianie sobie otoczki… misji… to o kant dupy potłuc jest.

— No to spieprzaj stąd jak ci się nie podoba! — wyraźnie podenerwował się Borys, wykonując zdecydowany ruch w stronę kompana wskazując mu palcem dłoni jakieś odległe miejsce pośród gęstego, wszechogarniającego mroku.

— Cisza! Spokój do cholery! Teraz będziecie się sobie do gardeł rzucać?! Już to przerabialiśmy! Każdy myśli, co chce, ale po coś tu przyszliśmy, więc bez szczeniackich wyskoków! — podskoczył, do tej pory siedzący w kompletnej

ciszy, ostatni z mężczyzn o niezwykle wyrazistych kościach policzkowych i bladej cerze, które nadawały mu trupiego wręcz wyglądu.

Wszyscy stali tak w ciszy i skupieniu oczekując na rozwój wydarzeń. Trwało to z dziesięć, góra dwadzieścia sekund, a wydawało się zajmować całe minuty, zapewne z powodu wymiany głębokich i pełnych napięcia spojrzeń pomiędzy uczestnikami wydarzeń.

— Masz rację Pecu — przyznał Borys, nie spuszczając wzroku z Rumcajsa. — Szkoda czasu. Zbierajmy się już — odstąpił i poszedł w kierunku swoich rzeczy, wśród których znajdowała się między innymi czarna, letnia kurtka oraz plecak typu kostka.

— Rumcajs, Boruch — zwrócił się do pozostałych Pecu. — wy też macie chyba coś do zabrania, prawda? — spytał retorycznie, przekręcając w ich stronę głowę, po czym udał się w upatrzonym przez siebie kierunku, znikając gdzieś za resztkami zniszczonej i częściowo zawalonej ściany.

Nic nie odpowiadając, wywołana dwójka ruszyła po własny ekwipunek.

— Mówię ci młody — zaczął Rumcajs. — To całe przedsięwzięcie to jedno, wielkie nieporozumienie — oznajmił pewnym tonem i rozglądając się na boki czy nikt nie widzi, wychylił pewnym ruchem soczysty łyk ze schowanej w wewnętrznej kieszeni płaszcza piersiówki. Zawarta w niej substancja musiała mocno palić usta i gardło, bo na jego twarzy pojawił się skwaszony grymas, a on sam musiał brudnym rękawem przejechać po własnych ustach, jak gdyby chciał z nich ściągnąć coś nieprzyjemnego.

— Pogięło cię?! Pijesz tuż przed akcją?! — obruszył się Boruch.

— A co mi tu będziesz pieprzyć? Kolejna przyzwoitka? — obruszył się mocno zarośnięty mężczyzna.

— Nie, ale … mamy ludzi którzy na nas liczą i naprawdę … —

— Naprawdę to i tak mamy przesrane — przerwał w pół zdania zaaferowanemu koledze Rumcajs, robiąc zamaszysty ruch ręką z góry na dół, jakby chciał czymś mocno cisnąć o ziemię. — Przestań się łudzić, młody! Nie ma już czego ratować, ani do czego wracać, a ci wszyscy chorzy ludzie… Te umęczone kobiety i blade dzieci…. Myślisz, że jak ich uratujesz? Znajdziesz parę tabletek i zastrzyków, a wszystko stanie się lepsze? To ma im przedłużyć to całe niby życie? — Jego twarz wypełnił pełny pogardy grymas. — O ile? Tydzień, miesiąc, rok? A co potem? — pytał kpiącym tonem ponownie przechylając piersiówkę nad ustami, tak mocno że tym razem płyn w niej się znajdujący zaczął spływać mu po kącikach ust, w dół aż po sam koniec brody, kapiąc z niej intensywnie na samym czubku. Przy tak nikłym świetle i gęstym zaroście Rumcajsa miało się wrażenie, iż ogląda się z bliska górską wodę ściekającą z końcówki stalaktytu.

— To po co z nami poszedłeś, skoro w to wszystko nie wierzysz? — żarliwość w głosie Borucha aż nadto zdradzała jego emocjonalne i pełne zaangażowania podejście do sprawy.

— A co miałem lepszego do roboty? — odpowiedział z nieukrywaną szczerością i cynizmem.

— I to wszystko tak tylko z nudów?! — obruszył się autentycznie i nieco

naiwnie młody człowiek.

— Może nie z nudów, ale… no, naprawdę… co miałem robić? Gdybym miał dość jaj, żeby ze sobą skończyć to już dawno palnąłbym sobie w łeb. Siedzieć i patrzeć jak wszyscy w obozie zdychają również nie zamierzam, bo ani mnie nie kręci ludzkie cierpienie, ani nie lubię się maltretować widokiem nieszczęścia. Pić też sam nie będę, bo to już oznaczałoby nałóg — wydymał wargi i uniósł brwi z rozbrajającą wprost szczerością. — No to poszedłem z wami, żeby mieć choć trochę rozrywki w tym swoim nędznym życiu, a więc… zdrowie nam wszystkim! — uniósł piersiówkę w górę i po raz kolejny napełnił usta rozgrzewającym płynem.

— Tylko żebyśmy nie musieli cię taszczyć, bo przysięgam że sam cię zostawię tutaj na środku drogi!

— A gdzie ty tu widzisz środek czegokolwiek? Chyba środek ciemnej dupy w której jesteśmy! — roześmiał się głośno patrząc w poważną twarz kompana, który nie wzruszył się ani trochę jego żartem. — Dobra, już dobra. Mniejsza. Napijmy się! — podał piersiówkę koledze, ale ten dalej z kamienną i poważną miną dawał do zrozumienia, że nie ma zamiaru spróbować, ani nie pochwala takiego zachowania. — No dobra. Niech ci będzie. To już ostatni od… teraz! — powtórzył, lecz jeszcze szybszym ruchem zrobił to samo co zrobił jeszcze kilkanaście sekund temu, biorąc kolejny łyk wysokoprocentowego napitku.

— No po prostu nie wierzę — pokręcił głową Boruch, patrząc na chwiejącego się towarzysza. — patrzeć się już na to nie da — odwrócił wzrok, gdy akurat doszli do swoich rzeczy. Było to ledwie parę metrów od paleniska, a zdawało się być kilkakrotnie więcej. Wokół pojękiwał lekko wiejący wiatr gdzieś w oddali i smagający niewysokie ruiny budowli pomiędzy którymi się znajdowali. Z im dalszej odległości dochodził dźwięk przemieszczającego się powietrza, tym bardziej czuć było niepokój wszechogarniającej okolicę pustki, czasem tylko wypełnianej odgłosem jakiejś niesionej w oddali puszki bądź kawałka blachy. Nigdy nie można było być pewnym czy rzeczywiście wokół nic się nie dzieje, czy ktoś lub coś nie skrada się właśnie niepostrzeżenie wykorzystując każdy, najdrobniejszy nawet hałas by ukryć dźwięk swoich kroków.

Młodszy z dwójki mężczyzn zaczął grzebać przy ekwipunku. Badał, czy wszystko to, co ze sobą wziął, było na swoim miejscu. Przejechał dłońmi po bocznych kieszeniach, chcąc się upewnić, że nigdzie nie wypadły jego pojemniki z wodą lub też któraś z zapasowych par i tak dziurawych skarpet. Broń nosił zawsze przy sobie. Jej nie odważyłby się nigdzie zostawić. Jednak nawet z nią przy boku czuł dreszcze, ilekroć odchodził od większej grupy, a już zwłaszcza zapuszczając się w zdewastowane okolice centrum niegdyś wielkiego miasta. I choć uważał, iż zawsze lepiej mieć kogoś przy boku, to obecność Rumcajsa ani trochę go nie uspokajała. Bo jak liczyć na kogoś o takim podejściu i w dodatku będącego na najlepszej drodze do nieprzytomności? Przez chwilę myślał, jakim cudem w ogóle pozwolono Rumcajsowi z nimi pójść, ale momentalnie sobie przypomniał, od razu

pochmurniejąc na twarzy. Nie było przecież zbyt wielkiego wyboru…

***

Miejsce, w którym na co dzień mieszkali – „obozowisko" byłoby tu chyba najlepszym słowem – nigdy nie było przesadnie bezpieczne, a już na pewno samowystarczalne. Stanowiło jednak jakąś dziwną, można rzec nawet pokraczną namiastkę prawdziwego domu, którego mieszkańcy przywykli do siebie, a nawet zbliżyli mocą wieloletnich wspólnych doświadczeń i problemów, których każdego dnia mieli bez liku. Nigdy nie było to żadne formalne założenie, ani nie posiadało żadnych struktur czy jasno określonych władz, a jednak potrafiło przeżyć te przecież najtrudniejsze z możliwych warunków. Niestety, ostatnimi czasy zaczęło być nawet gorzej niż na co dzień.

O ile do regularnych braków jedzenia czy porządnych ubrań dawało się już jakoś przyzwyczaić, o tyle coraz częstsze problemy zdrowotne, a już na pewno ostatnia epidemia jakiegoś nieznanego im choróbska mocno nadwątliła i tak przecież niezbyt mocną pozycję ich grupy. Nie wiadomo skąd właściwie wzięło się to paskudztwo. Niby jakaś grypa, ale nie idzie się tego pozbyć. Chorują głównie kobiety i dzieci. Mężczyzn i tak wielu nie było, a więc połowę tych sprawnych i zdrowych wysłano po jakieś leki. Jakby to jeszcze było tak proste jak brzmi… nie ma już przecież sklepów, lekarzy, aptek, a i przecież nie wiadomo, czy w ogóle lekarstwa coś pomogą. Tak czy inaczej, musieli spróbować, bo czego trzymać się w takim świecie bez najmniejszego nawet promyka nadziei?

Najbliższy ślad prowadził do starego szpitala na dawnej ulicy Traugutta w mieście zwanym niegdyś Wrocławiem. Tam właśnie leczono ponoć dawno temu mnóstwo dzieci. Siłą rzeczy pierwsze kroki należało więc skierować właśnie do tego miejsca. Może akurat tam coś pozostało? Kto inny bowiem szukałby teraz lekarstw dla nieletnich, o ile budynek ten w ogóle dalej stał? Przecież to i tak tylko kolejne gęby do wykarmienia, które w dodatku trzeba bronić, bo same sobie nie poradzą. Im więcej Boruch o tym myślał tym bardziej zaczynał przyznawać rację Rumcajsowi, że ich położenie naprawdę nie jest najlepsze, a perspektywy rysowały się w dość ciemnych barwach.

Pamiętał przecież jak często nie jadł i żuł choćby rękawy starej flanelowej koszuli, aby oszukać burczący brzuch. Mijało i kilka dni nim w końcu zdobyli coś, czym można było oszukać żołądek, bo przecież posiłkiem nazwać tego się nie dało. A im więcej ludzi, tym więcej żołądków. Miał sobie za złe, że tak w ogóle kalkulował, tak w ogóle myślał, ale… taka była po prostu prawda. Nie było co się okłamywać. Z drugiej strony nie dawało mu spokoju to, że koniec końców przeżył i dalej walczy, a ktoś inny miałby nie mieć takiej możliwości. Bo czy nie każdy zasługuje choćby na szansę? By choć móc spróbować żyć jak człowiek?

Przed oczami dalej ukazywał mu się w takich chwilach obraz jego dawnej miłości. Pamiętał tę dziewczynę o delikatnych rysach doskonale choć jej imienia nigdy nie wypowiadał, chcąc zapomnieć o niej jak najszybciej.

Ciągle bowiem kojarzyła mu się z bólem, jaki rozpalał mu trzewia, gdy wybrała innego. A później jeszcze urodziła mu dziecko… Nie mógł patrzeć na to małe stworzenie, pałając do niego niemalże taką samą nienawiścią, jak do jego ojca. Okropnie jednak szkoda mu było jego matki, gdy ta z powodu tak trudnych warunków nie miała nawet w sobie pokarmu, by nakarmić malucha. Wtedy dopiero zaczął współczuć dziecku i litować się nad jego losem. Tak bardzo ją kochał, że przez miłość do niej był w stanie pochylić się nad losem jej syna.

Sama cierpiała, czasami nie mogąc złapać nawet tchu w chorobie, ale w ogóle się tym nie przejmowała. Najważniejsze było dla niej zdrowie malca. I choć jej wybranek, któremu dała potomstwo zostawił ją, opuszczając obozowisko i nigdy do niego nie wracając, to nie potrafiła o nim zapomnieć, ciągle licząc że może pewnego dnia zjawi się przy wejściu do ich roboczo wykonanego z jakichś starych szmat i koców namiotu. Ciągle jednak się nie pojawiał. Kiedy więc zadecydowano o tym, że wybrańcy udają się do dawnego szpitala w poszukiwania leków, Borucha zdziwiło, że ta zrobiła mu się tak przychylna, a nawet chciała mu się oddać. Zdziwienie minęło jednak szybko, gdy zorientował się, iż robi to tylko dlatego, aby zapewnić swojemu dziecku pierwszeństwo przy podziale znalezionych leków, witamin czy innych specyfików. Cierpiał przez to jeszcze bardziej, nie mogąc wyrzucić z głowy myśli, iż chce to robić z nim tylko dla korzyści. Bez uczucia. Bez pożądania… Zgodził się jednak i obiecał jej przynieść cokolwiek tylko potrzebuje, nie oczekując niczego w zamian. I po prostu odszedł. Jeszcze bardziej pragnął o niej zapomnieć i… jeszcze bardziej nie potrafił tego zrobić. Te jej delikatne i kobiece policzki…

Potrząsnął głową jakby chciał wytrzepać z niej wszystkie gnębiące go myśli. I choć na chwilę się to udało i „odrzucił” ukochaną, to zaraz wyobraźnia zaczęła podsuwać mu kolejne o tych, którzy na nich liczyli. Twarze kilkunastu innych osób, z którymi dzielili wspólne losy każdego dnia. Smutne, wymęczone, pobladłe, głodne, zrezygnowane, opuszczone, zniechęcone, zmartwione, wybiedzone, zmarnowane… Można opisywać i dodawać kolejne synonimy, a i tak nie opisze się dokładnie tego jak przykry był to widok. Czasami Boruch zdawał się to wszystko robić tylko po to, aby zobaczyć w końcu jakiś inny widok, a może i uśmiechnąć. Nie z jakichś wyższych pobudek czy szczególnie empatycznych zapędów. Wręcz przeciwnie. Wyłącznie dla siebie. Całkowicie egoistycznie, aby samemu też móc się uśmiechnąć i nie patrzeć ciągle na te smutne i umęczone mordy… Tak właśnie. Nie twarze. Mordy. Tylko tak można nazwać oblicze człowieka tak przeczołganego przez los. Tylko tak można nazwać oblicze człowieka, którego kochał jak bliźniego swego i jednocześnie nienawidził, bo każde przyglądanie się jemu przypominało mu o jego własnym losie. Dlatego też chciał, aby ta misja się udała. Po to, aby móc samemu sobie poprawić trochę samopoczucie, bo ileż można żyć pośród tylu przygnębionych osób i kobiety, którą się kocha, i którą codziennie spotyka się naście razy z dzieckiem jakiegoś obcego faceta? Przez moment zaczynał rozumieć Rumcajsa i sam poczuł chęć wychylenia jednego głębszego, co jemu samemu też już się przecież zdarzało…

***

Wyruszyli niemalże natychmiast, nie zostawiając za sobą niczego. Nawet miejsce po ognisku dogasili do tego stopnia, że nie tliło się z niego nic. Jakiekolwiek źródło ciepła przyciąga dzikie zwierzęta, a pewnie i gorsze rzeczy, a tego za wszelką cenę pragnęli uniknąć. Uzbrojeni jedynie w pistolety za paskami, jedną strzelbę dzierżoną przez Peca oraz rożnego rodzaju broń białą z ostrymi zakończeniami trzymaną kurczowo w rękach przemierzali ponure i zdewastowane dzielnice dawniej tętniącego życiem miasta. Jedynie księżyc na niebie zdawał się wskazywać im drogę z czego skwapliwie korzystali. Przygnębiający widok rozerwanych na strzępy niczym szmaciana lalka przez kły wściekłego psa budynków rzucał się im w oczy tylko wtedy, gdy przez jakąś dziurę w budynku lub prześwit w zabudowie wpadała prosta jak strzała i skierowana w dół łuna białego światła.

Zjawisko to jeszcze bardziej podkreślał mocno postrzępiony charakter zabudowy, budząc niepokój w sercu. Czasami gdy wchodzili na jakieś zawalone gruzem i otoczone ze wszystkich stron ruinami podwórko odnosiło się wrażenie, iż te mocno nadszarpnięte kikuty budynków wokół tworząc coś na wzór paszczy jakiegoś upiornego stworzenia, mogącej zamknąć się w każdej chwili pochłaniając ich żywcem.

— Kurewsko tu niepokojąco — skwitował Rumcajs, przystając na chwilę i rozglądając się wkoło.

— Dlatego tym bardziej nie ma co stać i gadać — ponaglił go Borys, nie zatrzymując się ani na moment.

— Co ty nie powiesz… — oblizał wargi i splunął soczyście brodacz.

Szli w miarę wolnym tempem, lecz pewnie. W zwartym szyku, zupełnie jak gdyby bliskość któregoś towarzyszy miała im zapewnić jakąś niewidzialną bańkę przez którą nic nie mogłoby się przedostać do środka. Wiadomo, chcieli dotrzeć do celu jak najszybciej, ale nie mogli też za bardzo forsować tempa. Raz, że mogłoby to powodować większy hałas, a dwa, że mogliby coś przegapić lub nie dostrzec potencjalnego niebezpieczeństwa, co narażało ich na fatalne w skutkach konsekwencje. Było to szczególnie ważne w tych okolicach i nikt nie chciał kusić losu.

Dawno co prawda nie trafili na innych ludzi, mając czasami wrażenie iż nie ma już na tym świecie absolutnie nikogo poza nimi, ale zdawali sobie sprawę, że tak wcale być nie musi. Lepiej było dmuchać na zimne.

— To tutaj — oznajmił Borys.

— Co tutaj? — rozejrzał się wokół, wytężając wzrok Rumcajs. — Przecież tutaj nic nie ma. Takie same ruiny jak wszędzie.

— Popatrz w dół — po tych słowach wszyscy skierowali wzrok pod swoje nogi, dostrzegając dość sporą wyrwę w asfalcie, obok której znajdowało się okrągłe wieko studzienki kanalizacyjnej, jakich pełno było na ulicach miast.

— I co? Mamy na tym usmażyć pizzę? — rzucił ironiczne spojrzenie spod uniesionych brwi Rumcajs.

— Dalej nie da się przejść. Droga jest zablokowana — zupełnie zignorował zaczepki kompana Borys. — Kudłaty, ten od tej grupy co to trafiliśmy na ich tymczasowy obóz na torach za Mikołajowem, powiedział mi kiedyś, że ciężko dostać się od zachodu na dawny Trójkąt, bo wszędzie same ruiny i gruzowiska.

— Skurwysyn! Prorok jakiś czy co? — podniósł głos i ręce w ironicznym geście Rumcajs.

Reszta ekipy parsknęła śmiechem, lecz szybko zaczęli przybierać normalne wyrazy twarzy. Borys zgrywał jednak kompletnie niezbitego z tropu, ignorując dalej złośliwości pod swoim adresem.

— Chodzi o to że jest szansa dostać się tam normalnie, ale jest to bardzo problematyczne. Tymczasem o tym właśnie miejscu Kudłaty wspominał jako o potencjalnym skrócie. Trzeba tylko zejść do kanałów, przejść kawałek do czwartego wyjścia i tyle. Będziemy praktycznie pod samym szpitalem.

— I rozumiem że cały czas prowadziłeś nas tutaj, nie chcąc nic wytłumaczyć, bo ktoś „wspomniał" ci o tym, że być może trafimy tutaj na jakiś skrót? – mówił spokojnym, lecz wyraźnie poirytowanym tonem Rumcajs.

— Tak czy inaczej musielibyśmy przedzierać się przez okolicę. Uznałem że jeśli zrobimy kilkanaście minut drogi w bok, to nawet jeśli wersja Kudłatego okaże się nieprawdziwa, to nie będą to wielkie straty w zamian za potencjalne korzyści. I co? Mówił jednak prawdę. Było więc chyba warto, nie? Pozostali popatrzyli na siebie z bliżej nieokreślonymi wyrazami twarzy.

— Nie mogłeś nam tego powiedzieć wcześniej? — zabrał głos, pytając spokojnie Peca.

— A zgodzilibyście się na to?

— Nie — bez wahania odpowiedział Rumcajs.

— No właśnie. Nawet teraz widać w was wątpliwości.

— Dziwisz się? Mamy schodzić do kanału, cholera wie gdzie, wierząc w opowieści jakiegoś obcego kolesia?

— A jaki miałby interes w tym, żeby nas oszukiwać? — bronił swojej decyzji Borys.

— Nawet jeśliby nie oszukiwał, to może tak o po prostu sobie gadał? Mało masz pieprzonych mitomanów co to lubią koloryzować każdą historię? I co wtedy? – zaczął się irytować spokojny do tej pory Peca.

— No po co miałby...? — jego podnoszący się z rosnących emocji głos przerwał nagle Boruch.

— Cicho! — rzucił krótkim stanowczym tonem, podnosząc rękę. – Słyszycie to?

Mężczyźni spojrzeli na siebie nerwowo i momentalnie odwrócili o sto osiemdziesiąt stopni. Przylgnęli do siebie plecami, a każdy miał wzrok skierowany w inną stronę. Wyćwiczony manewr. Jego cel był prosty – nie dać się zaskoczyć z żadnej strony i rozpoznać zagrożenie. Gęsty mrok tylko gdzieniegdzie rozjaśniało niemrawo przebijające się przez szczeliny w budynkach światło. Cisza. Nic.

— Nic tam nie ma. Po cholerę wprowadzasz zamęt — zirytował się

Rumcajs i oderwał od skłębionych kompanów, robiąc dwa kroki w przód. Nie minęły jednak dwie sekundy, gdy wrócił z powrotem do szyku niczym poparzony, kurczowo przylegając do reszty. Wszystko z powodu jakiegoś odległego dźwięku, przypominającego odgłosy przesuwanego bo asfalcie gruzu.

— Dobra. Mój błąd — podenerwowany przyznał rację Boruchowi.

Stali tak nieruchomo, nasłuchując i pomału szykując broń. Wyciągali wolnym ruchem pistolety zza pasków i chwytali mocno w dłoń, ściskając z całych sił. Hałasy się nie powtórzyły. Znów było cicho. Minuta, dwie, trzy. Nic.

— Chyba już — oznajmił mimo wszystko niepewnym głosem Borys. — Pewnie jakiś pies. Zbłąkany lub głodny, szukał czegoś do jedzenia.

— Może być. Nie mam zamiaru jednak się o tym przekonywać. Poświeć na tę studzienkę — nakazał Peca Boruchowi, a ten niemalże natychmiast skierował strumień światła swojej latarki we wskazanym kierunku

Sprzętu tego praktycznie nie używali. Dziś w ogóle. Był on niemalże równie cenny jak broń. Oszczędzało się go więc do maksimum, a każde użycie wynikało z wyższej konieczności bądź zagrożenia. Borucha zdziwiło jednak, że zazwyczaj chłodno myślący i spokojny Peca tak szybko zechciał użyć latarki. Naprawdę tak przejął się jakimś psem?

— Są w niej duże dziury. Wsadź tam któryś łapy i podniesiemy to wieko bez problemu – schylił się i złapał od jednej strony, a Borys zrobił to samo z drugiej.

Kiedy zaczęli unosić właz, uszu ich dobiegł ten sam znajomy dźwięki przesuwanego po ziemi gruzu. Tym razem jednak ze znacznie bliższej odległości i dużo bardziej agresywny w swej naturze. Podnoszący słusznej wagi przedmiot mężczyźni zamarli w ruchu, jakby w ogóle nie przejmując się dzierżonym w rękach ciężarem. Bacznie nasłuchiwali. Znowu nic. Głucho. Po kolejnych kilkudziesięciu sekundach wrócili do rozpoczętej czynności. Gdy już podnieśli właz i dopiero co złożyli go na kawałku asfaltu obok po ich plecach przebiegł zimny dreszcz przerażenia. I to nie z powodu potwornego odoru wydobywającego się kanałów pod nimi. Serca ich lękiem napełnił krótki przeraźliwy jęk, przechodzący szybko w mieszankę czegoś przypominającego zawodzenie i sapanie. Echo niosło te plugawe dźwięki pomiędzy ruinami, także naprawdę trudno było ustalić ich dokładne źródło. Boruch nie wytrzymał i skierował światło latarki w mrok. Przez swoje podenerwowanie kierował strumień światła wszędzie, tylko nie w jakieś jedno, konkretne miejsce.

— Co ty robisz do cholery?! — nerwowo chwycił go za ręce Peca wymuszając na nim skierowanie światła w dół. — Chcesz od razu podać nas jak na tacy?!

Zapewne krytyka pod adresem kolegi trwałaby dłużej, gdyby nie to że niepokojące odgłosy przeszły w naprawdę nietypowy, niesłyszany nigdy wcześniej przez nich charkot. Tym razem jednak zdawał się dobywać, gdzieś z boku i jakby… z kilku innych miejsc.

— W mordę … jest tego więcej … — denerwował się Rumcajs.

— …albo jeden cholernie szybki … — podzielał niepokój Borys

Wydawało się, że całość trwała bardzo długo, gdy tak stali, próbując ustalić skąd nadchodził hałas, lecz tak naprawdę nie minęło więcej niż parę sekund. Kolejne jęki, coraz częstsze i agresywniejsze szuranie, aż w końcu poczuli się jakby byli otoczeni, zamknięci w jakiejś pułapce bez wyjścia z którejkolwiek strony.

— Pieprzyć to. Nie wiem na co my tutaj czekamy. Spieprzajmy stąd! — nie czekając na nikogo, Rumcajs władował się do kanałów przez wąskie zejście i zaczął energicznie schodzić po drabince. Pozostali spojrzeli na siebie wymownie, gdy nagle tuż jakby na skraju czegoś w rodzaju podwórka lub placyku na którym stali, rozległ się odgłos czegoś ciężkiego upadającego na ziemię. Zupełnie jakby ktoś przewrócił kosz na śmieci, co nie byłoby pozbawione sensu biorąc pod uwagę lekko metaliczne brzmienie upadającego, ciężkiego przedmiotu. Po paru sekundach do tego dźwięku dołączył inny, znany już im złowieszczy charkot, leczy tym razem jakby jeszcze agresywniejszy i złowrogi. Zdawało się, że ten ktoś lub to coś, co go wydobywa, jest już dosłownie kilkanaście metrów od nich, niemalże na wprost. Boruch wykonał ruch ręką jakby chciał skierować w tą stronę światło latarki, ale Peca go powstrzymał.

— Zostaw. Nie ma czasu. Nic tu po nas. Szybko na dół! — na te słowa rzucili się jeden po drugim, przepychając jakby mieli się tam wszyscy naraz zaklinować. Pierwszy jednak pognał Borys, a za nim pozostała dwójka.

— Właz! Chwytaj za właz! Nie możemy pozwolić by coś tu za nami weszło! — ponaglił Borucha starszy kolega i wspólnymi siłami zaczęli zasuwać ciężkie wieko nad swoimi głowami.

Udało się. Po parunastu sekundach byli już schowani i bezpieczni. Nie wiedząc nawet, kiedy Boruch zdał sobie sprawę, że ktoś wziął jego latarkę. Była to sprawka Borysa, który już oświetlał drogę w kanale

— Co to kurwa było? — powiedział jakby do siebie nowy właściciel latarki.

— Co to było? Co *to* kurwa jest? — pomieszczenie wypełnił dźwięk chlupiącej wody, którą w ruch wprawiał poruszający się Rumcajs. Zagłuszał on całkowicie jeszcze do niedawna ledwie słyszalne jęki z nad ich głów.

Wszyscy stali bowiem w brudnej, ciemnozielonej cieczy do wysokości rejonów własnych pasów.

— To w ogóle jest woda? — pytał Boruch.

— Może kiedyś. Teraz to jakiś szlam — patrzył na podniesiony przed oczy wodorost Peca.

— Ja pierdolę… a jak mi fiut od tego odpadnie?! Mam wszystko mokre od pasa w dół! — krzyczał wyraźnie przejęty Rumcajs.

— Módl się, żeby nie weszło ci w dupę, bo jeszcze puścisz pędy paproci — machnął ręką Borys.

— Lepiej żeby żaden z nas tutaj nie zostawał zbyt długo, bo faktycznie możemy zapuścić tu korzenie — starał się jakoś ogarnąć działania grupy Peca. — Jak to było? Czwarte wyjście?

Borys pokiwał przytakująco głową.

— No to idziemy. Lepiej nie zostawać w jednym miejscu. Zwłaszcza tutaj.

Ruszyli żwawo jeden po drugim. Światła latarek prześwietlały tunel na prawie całej jego długości, gdzieniegdzie tylko zostawiając ciemne fragmenty, do których ze względu na pokrzywioną powierzchnię pomieszczenia nie były w stanie dotrzeć. Było spokojnie. Nic nie blokowało drogi, a w oddali nie było widać nic niepokojącego. Co prawda unoszący się wszędzie dookoła smród był nie do opisania, ale z czasem dawało nawet i do niego się przyzwyczaić. Raz na jakiś czas wchodzili nieco wyżej tak, że brodzili już tylko po kolana, albo nawet łydki, ale zaraz potem znów musieli schować się w wodzie aż po pas, albo nawet trochę wyżej. A była ona naprawdę chłodna, co zaczęli odczuwać dopiero po kilkunastu minutach, gdyż wcześniej byli tak naładowani emocjami, że zapewne nawet mroźna śnieżyca nie byłaby w stanie zrobić na nich najmniejszego wrażenia.

— No dobra. Jest i czwarte wyjście. Wygląda na to, że wszystko idzie tak jak powinno — oznajmił tryumfalnie Borys, ściągając skrawkiem rękawa irytującą go wodę ze skroni.

— Taa… Życie jest piękne — pokiwał pogardliwie głową Rumcajs, myśląc tylko o tym, aby jak najszybciej wydostać się z kanału.

Borys jako pierwszy wdrapał się już po schodkach na górę i wypychając wieko studzienki lekko wychylił się, rozglądając po okolicy.

— Wygląda na to, że droga czysta — oceniając sytuację, zaczął pomału wychodzić na powierzchnię.

— Słyszeliście — odwrócił się do reszty Pecu. — Nie ma na co czekać.

— Za nic nie mógłbym przecież przegapić nawet najmniejszego fragmentu tej całej wycieczki — burcząc pod nosem gramolił się na górę Rumcajs.

Jeden po drugim szczęśliwi opuszczali kanały, choć te w sumie były dla nich dużo łaskawsze do tej pory niż to co napotykali na powierzchni. Każdy z nich liczył jednak w głębi duszy, że trend ten się odwróci i już spokojnie będą mogli poświęcić się tylko celowi swojej wyprawy. Tego jednak nikt już nie mógł im zagwarantować…

***

W końcu znaleźli się w pobliżu budynku dawnego szpitala. Okolica była pokryta mleczno-szarą mgłą, ograniczającą pole widzenia najwyżej do paru metrów. Jednak nawet pomimo takich warunków atmosferycznych i dość ciemnej nocy dawało się dostrzec resztki niegdyś zapewne czerwonej dachówki pokrywającej dach wiekowego budynku. Lekki wiatr hulający po pustych ulicach niósł kurz i drobne, lecz ostre pyłki piachu, które obijały się o ściany okolicznej zabudowy oraz obudowy stojących wszędzie wokół opuszczonych aut. Dźwięk ten przypominający szuranie przywoływał na myśl niepokojące odgłosy, które towarzyszyły grupie podczas ich wyprawy,

powodując mimowolne ciarki na plecach.

Nie podziwiali jednak tych wszystkich widoków zbyt długo, gdyż od razu skupili się na przedostaniu do wnętrza szpitala. Po kilkunastu minutach obserwacji okolicy i struktury budynku udało im się dostrzec niewielką wyrwę w zabudowie przez którą dostali się do wnętrz sąsiedniego budynku, a z niego, wydostawszy się błyskawicznie drugą stroną przedostali na niewielki dziedziniec szpitalny. Wszystko szło doprawdy dużo sprawniej niż zakładali, a w okolicy zdawało się nie tylko nie być żywego ducha, ale wszystkie ślady, a konkretnie ich brak, wskazywały na brak jakiejkolwiek ludzkiej obecności na tych terenach przez wiele lat. To co jednak było najbardziej w tym wszystkim niezwykłe to fakt, że nie musieli w żaden ekwilibrystyczny sposób, czy to, wspinaniem, włamywaniem, korzystaniem z sąsiednich dachów, bądź też jakimkolwiek innym podobnym sposobem próbować dostać się do wnętrza budynku. Stał on bowiem otwarty, jakby wręcz zapraszając ich do zwiedzania i dowolnego korzystania ze wszystkich zasobów, które znajdowały się w środku.

— Kto by pomyślał, że służba zdrowia może być tak przyjazna pacjentowi — rzucił Rumcajs popychając lekko drzwi wejściowe do przodu.

— A skąd to możesz wiedzieć? — szczerze zastanawiał się Borys.

— Ojciec opowiadał mi kiedyś, że jako młody chłopak złamał nogę. To było na krótko przed tym wszystkim. W sumie dlatego przeżył, bo wakacje spędzał z nogą w gipsie w górach u dziadków, a ci schowali się w jakimś starym, okolicznym poniemieckim bunkrze, głęboko pod ziemią. Jaka jednak była prawda, to kto wie i kto teraz tego dojdzie? Mniejsza jednak o to. W każdym razie ponoć cztery razy jechał do szpitala z tą nogą, zanim w końcu go przyjęli i poskładali.

— Jak to w ogóle możliwe? — dziwił się autentycznie Boruch.

— Ponoć to nie było nic nadzwyczajnego. Za pierwszym razem stwierdzili, że to pijak, to go nie przyjęli. Niby coś tam popił domowego wina z jarzębiny i dlatego spadł ze schodów, łamiąc nogę. No ale jednak… chyba powinni go poskładać, nie? — Uniósł brwi w wymownym geście, wzruszając ramionami i rozkładając dłonie.

— No tak. Gdybyś nie był jego synem, to można by mieć wątpliwości co do tej historii — nie dał rady się powstrzymać Borys.

— A pozostałe trzy? — od razu ukrócił niedoszłą wymianę zdań Boruch.

— No ponoć na drugi dzień jak całkiem otrzeźwiał, to tak go skręcało z bólu, że od razu wieźli go na pogotowie, ale znowu niefart i ponoć naprzykrzał się jednej z pielęgniarek, gdy trochę go morfiną postawili na nogi. To ta zadzwoniła na policję, że niby ją molestują, a ci… zgarnęli go bo uznali, że pewnie jakiś bezdomny pijak, co na chwilę otrzeźwiał, zapełnia sobie czas macaniem kobiet.

— No tak. Jak mogli… — pokiwał głową wymownie Borys.

— A później… — zignorował go Rumcajs. — Później to już ponoć tylko błąd w systemie, że nie ma ubezpieczenia zdrowotnego. W końcu moja babcia ponoć powiedziała, że zapłaci mu za prywatną wizytę, ale gdy już zapłaciła zaliczkę okazało się, że odnalazło się jego ubezpieczenie i może trafić na stół. I

w końcu poskładali mu tę nogę, choć też ponoć chcieli leczyć nie tę co trzeba…

— Dobra już… starczy tego. Jak się tego słucha to samemu chce się pochlastać. Mamy poza tym teraz inne rzeczy na głowie — wtrącił się, spokojny do tej pory Pecu.

— Może to i lepiej, że zrównano te budy z ziemią — podsumował krótko patrząc na budynek szpitalna Rumcajs.

Kiedy już przeszli przez drzwi wejściowe i minęli recepcję, znaleźli się na dużym korytarzu w kształcie litery „L". Kafelki, obdarte ściany i pełny wilgoci sufit tworzyły raczej mało przyjazny i wyjątkowo chłodny krajobraz. W pierwszej chwili można było poczuć się tutaj raczej jak kompletnie niechciany gość. Stali przez chwilę starając się rozeznać w otoczeniu. W tym momencie mieli tylko dwie możliwe drogi do przebycia. Po krótkiej naradzie postanowili się rozdzielić, aby spenetrować jak największy obszar celem znalezienia jakiegoś składu lekarstw, magazynu bądź innego pomieszczenia z lekami, które mogłyby im się przydać. Zaplanowali iż spotkają się w tym samym miejscu za około pół godziny i zdecydują co dalej. Pecu i Rumcajs mieli szukać razem i udać się na lewo, a Boruch z Borysem na prawo.

— Nie sądzisz, że póki co idzie trochę… za łatwo? — zapytał Boruch niepewnym głosem, gdy oddali się już trochę od pozostałych i we dwójkę kroczyli ciemnym korytarzem.

— W sumie sam nie wiem czego mielibyśmy się spodziewać — wzruszył ramionami, odpowiadając zgodnie z tym co uważał.

— No tak, ale wiesz… Jest tu jakoś tak… No nie wiem…

— Dziwnie? — spojrzał na niego kątem oka, podnosząc głos. — Zgadzam się. Czuć w powietrzu jakby wydarzyło się tu coś niedobrego. I nie chodzi tutaj o koniec świata.

— Jak to w ogóle brzmi. Koniec świata… przecież się nie skończył. Zawsze mówicie to tak, jakby to już był koniec wszystkiego. A my przecież żyjemy! — obruszał się za każdym razem, kiedy słyszał to sformułowanie.

— Racja. Wiesz, wydaje mi się że to taki termin ukuty przez tych, co pamiętają jeszcze czasy sprzed tego wszystkiego. To był dla nich, jakby nie patrzeć, koniec świata. Ich świata.

— Może i tak. My chyba powinniśmy jednak do tego trochę inaczej podchodzić.

— I tak robimy. Jesteśmy tutaj. Nie poddajemy się. Walczymy. Co innego robić? — zdawało się jakby ostatnią wypowiedź kierował w równym stopniu do kolegi, jak i samego siebie.

— W sumie — zamyślił się na chwilę. — Sam bym chyba nie wiedział co.

— No właśnie — przytaknął Borys i w ciszy kroczyli dalej.

Obydwaj zaniechali dalszej rozmowy, czując jak przepełnia ich jakieś dziwne, bliżej nieznane i trudne do opisania uczucie. Z każdym kolejnym krokiem w głąb tego specyficznego budynku zdawali się zagłębiać jakby w inny wymiar, gdzie następowało jakieś dziwne zagięcie czasoprzestrzeni, w którym łączą się ze sobą różne światy, przenikające się nawzajem. Być może dlatego, że był to pierwszy taki stary budynek w którym wszystko było w miarę znośnym stanie

lub dlatego że po raz pierwszy szło im naprawdę dość łatwo podczas eksploracji nowego miejsca. Żaden z nich nie potrafił jednak wyzbyć się dziwnego przeświadczenia, że przenika ich, trudna do wychwycenia i opisania słowami aura — jakby nie tyle ich ktoś obserwował, lecz po prostu nie spuszczał z oka lub nie pozostawiał samych sobie. Cokolwiek nie byłoby prawdą, obydwaj czuli jak po plecach spływają im strużki potu, a włosy lekko jeżą się tym bardziej im dalej tylko zapuszczali się w głąb budynku pełniącego dawniej funkcję szpitala.

***

Przeszukiwali każde napotkane pomieszczenie. Jedyne, co do tej pory odkryli, to łóżka, szafki, okna z kratami pośrodku, jakieś wózki inwalidzkie, parę reklamówek, pustych plastykowych butelek, maskotki, zapiski lekarskie, i tym podobne. Słowem, nic co mogłoby im się przydać. Po przeczesaniu kilkunastu lub nawet już kilkudziesięciu podobnych pokoi zaczynali odczuwać pomału rezygnację i zniechęcenie, wątpiąc iż uda im się znaleźć coś pożytecznego.

— Albo uciekali stąd w popłochu i zabrali ze sobą wszystko co tylko mogli udźwignąć, albo jednak ktoś nas ubiegł — wydawał się być wyjątkowo niepocieszony Borys.

— Wiesz, jeśli ten cały Kudłaty znał skrót, albo usłyszał o nim od kogoś, to może właśnie dlatego że ktoś już tutaj wcześniej był i opróżnił to miejsce.

— Na pewno nie — zaprzeczył błyskawicznie i stanowczo, co bardzo zaciekawiło Borucha.

— Jak to na pewno nie? Skąd ta pewność? — zmarszczył dociekliwie brwi.

— Po prostu. Mówił że nigdy tu nie był.

— I tak po prostu wiedział jak tu dotrzeć? I sam lub ze swoimi ludźmi nie próbował zdobyć części tego wszystkiego o czym tobie naopowiadał? — nie ukrywał kompletnej niewiary w taki obrót spraw, okraszając to nawet głośnym prychnięciem.

— Możliwe.

— Pieprzenie! Chyba nie sądzisz, że uwierzę w tę ściemę. Widać, że wiesz coś więcej. Po prostu powiedz! — wyraźnie uniósł się młodszy z mężczyzn.

Borys nabrał tylko głęboko powietrza w płuca, po czym buchnął mocno i głośno całym powietrzem, jakby chciał wyzionąć z siebie jakiś głęboko zalegający i kłujący przedmiot.

— Ty naprawdę coś wiesz…

— Słuchaj… naprawdę, to nic nie wiem. Serio — zarzekał się z uniesionymi rękami demonstrując prawdziwość własnych słów. — wszystko to czcze gadanie i tyle.

— Jakie wszystko?

— No o tym miejscu i o tym, co tu się działo.

— A co się miało tutaj dziać? — zaczynał się wyraźnie niepokoić Boruch.

— Nikt tego nie wie. Po prostu. Ponoć całe to miejsce opustoszało nagle i po nikim nie został nawet ślad. Nie ma żadnych wskazówek co mogło tutaj się wydarzyć — tłumaczył nerwowo, jakby próbując sklecić różne wersje w spójną całość. — Kudłaty mówił tylko tyle, że nie zna nikogo kto odważyłby się tutaj szukać czegokolwiek. Jedni mówią, że tu straszy, inni że to miejsce jakiegoś kultu, a jeszcze inni że mieszkają tu jakieś mutanty pożerające ludzi… Ogólnie bujdy i pijackie gadanie. Ale urosło to w sumie do rangi jakiegoś mitu czy tam legendy, którą sobie ludzie przekazują i przez to każdy boi się tutaj zajrzeć.

— I oczywiście o tym także nie raczyłeś nam wspomnieć?! — zdenerwowany wykonał ruch w stronę Borysa.

— A co tu mówić? O jakichś historiach wyssanych z palca? O tym, co majaczą sobie przy ognisku i wódzie wędrowcy?

— A nie przyszło ci do głowy, że może coś jest na rzeczy?!

—Że co? Duchy? Zjawy? Może jeszcze wilkołaki o pełni księżyca?! O czym ty gadasz? Po cholerę w ogóle wspominać o takich głupotach?! — teraz i on zrobił krok w kierunku towarzysza.

— Dobrze wiesz, że nie o to chodzi. Tylko o sam fakt. O informację, że coś z tym miejscem może być nie tak! — zaczął wchodzić pomału w coraz głośniejsze tony Boruch.

— A co to by do cholery miało zmienić?! Przecież i tak nie mamy wyjścia i musieliśmy gdzieś szukać! — dostosowywał się do poziomu emocji i intensywności wypowiedzi rozmówcy Borys.

— Ale może wtedy… — przerwał w pół zdania i zamarł w bezruchu, gdy nagle z sąsiedniego korytarza dobiegł dźwięk czegoś metalowego upadającego o ziemię.

Obydwaj na chwilę stanęli jak wryci. Nie wydali żadnego dźwięku, ich twarzy nie pokrył żaden grymas, zdawali się nawet zatrzymać oddychanie i bicie serc. Cisza. Jakby nic.

Borys wykonał krótką sekwencję gestów dłonią dających do zrozumienia, że muszą sprawdzić co się stało, zachowując przy tym maksymalną ciszę. Zaczęli więc od skierowania się do drzwi pomieszczenia w którym się znajdowali, podchodząc do nich z dwóch stron. Stanęli przy framudze, wytężając kątem oka wzrok tak mocno, iż patrząc z drugiego boku można by odnieść wrażenie, iż ich oczy posiadają same białka. Borys skinął na Borucha dając mu do zrozumienia, że on wyjrzy pierwszy. Nie bez uczucia ulgi młodszy z mężczyzn przystał na tę propozycję. Borys wychylił się więc delikatnie, patrząc na korytarz. Było jednak ciemno i nie był w stanie nic dostrzec. Nie odrywając wzroku, sięgnął do paska przez który miał przełożony swoją latarkę. Chwycił przedmiot mocno w dłoń, trzymając się go kurczowo, po czym wziął głęboki wdech i włączywszy światło skierował jego strumień na korytarz.

— O ja pierdolę… — wydobył z siebie na pełnym wydechu wyrzucając z siebie całe zgromadzone w płucach powietrze.

— Co jest? — szeptał Boruch, jakby nie chciał w ogóle otwierać ust.

— Nic… To tylko pieprzony szczur.

— Szczur? Tak… widziałem jak zapieprza wzdłuż korytarza ze swoim ogonem. Przecież nie tak trudno się tu dostać, nie? Dla niego tym bardziej to żaden problem. Musiał przewrócić, jakieś naczynie lub nóż czy inny skalpel na szafce i sam się wystraszył tego hałasu.

— Ufff… duchy, tak? — uśmiechnął się w kąciku ust.

— A daj spokój… — odwzajemnił grymas Borys. — Chodźmy dalej. Nie chcę siedzieć w tym pokoju ani sekundy dłużej.

— Pełna zgoda — przytaknął i pierwszy opuścił pomieszczenie. Borys nie pozostawał daleko za nim.

***

W końcu dotarli do miejsca, gdzie musiało dawniej znajdować się czyjeś biuro. Pełno w nim było różnego rodzaju folderów, plików papierów, teczek, notatników i tym podobnych rzeczy. Nie spędzili tam jednak dużo czasu, gdyż szybko zdali sobie sprawę, że nie znajdą tam czego potrzebują. Jedyne co zaciekawiło Borucha, to fotografia która leżała przodem do blatu biurka. Dopiero po jej podniesieniu wyłonił się obraz kobiety i dwójki małych dzieci na jakimś molo nad wodą. Zapewne była to rodzina osoby do której należało biurko. Przez chwilę zastanawiali się czy dzień w którym przewróciła się ta fotografia nie był ostatnim, w którym się widzieli? Czy w ogóle później się odnaleźli? Czy którekolwiek z nich jeszcze żyje? Zabawne jak coraz bardziej zaczynali odtwarzać historię ludzi ze szpitale poprzez zwykły kontakt z przedmiotami do nich należącymi. Zdawało się jakby każdy z nich mógł opowiedzieć jakąś historię lub chociaż naprowadzić ich na jakiś ślad lub trop z przeszłości. Na wszystkim przecież pozostaje po nas jakiś ślad, czyż nie? Zastanawiał się Boruch. Przecież samo biurko czy stół są tylko kawałkami drewna, którym ktoś nadaje sens i znaczenie w momencie, wówczas gdy zechce połączyć je w jakiś kształt lub formę. To ona nadaje im przeznaczenie. Bez ludzi te rzeczy nic nie znaczą. Nie mają racji bytu i istnienia. Znajdowali się więc w miejscu pełnym historii i tajemnic, gdzie wszystko mówiło, albo nawet krzyczało im o konkretnych zdarzeniach. Problem polegał na tym, iż nie znali języka, który pozwoliłby im to wszystko zrozumieć i odczytać.

Każdy ich ruch zdawał się być niczym fragment szerszej konwersacji zawieszonej w czasie i przestrzeni, wyrwanej z kontekstu, a jednocześnie będącej polem wymiany poglądów dwóch różnych światów. Po korytarzach niosło się echo niepewnych i ostrożnych kroków dwójki mężczyzn. Zastanawiali się ciągle gdzie podziali się pozostali – lekarze, pacjenci, pielęgniarki, dzieci… Ani śladu żywej duszy, a jednak czasem odnosili wrażenie, że choć wiedzieli które kroki są ich, to ich echo nie należy do nich, lecz tych wszystkich którzy po raz ostatni wychodzili z tego miejsca w przeciwnym kierunku.

Nie wiedząc nawet, kiedy od tych rozważań znaleźli się w pomieszczeniu, które było dawniej zapewne szatnią lub przebieralnią. Musiało w każdym razie służyć podobnym celom, gdyż pełno było tu rozmaitych

metalowych szafek, półek oraz wieszaków na których spoczywały jeszcze jakieś stare ręczniki. W oddali wypatrzyli nawet wejście na salę operacyjną, a przynajmniej strzałkę wskazującą kierunek dojścia do niej. Po rozejrzeniu się po nie wiadomo już którym miejscu w tym budynku uznali, że dalsze poszukiwania chwilowo nie mają sensu i że czas wrócić do pozostałych. I tak już przekroczyli planowany czas spotkania, więc Pecu na pewno da im wykład na ten temat. Borys oznajmił Boruchowi, że czas się zbierać, kiedy ten znajdował się po drugiej stronie szatni. Chociaż nie był zbyt zadowolony z takiego obrotu sprawy, to wiedział że nie bardzo mają wyjście i przynajmniej na razie trzeba odłożyć poszukiwania. Spuścił głowę i zaczął zrezygnowany kierować się do wyjścia.

Kiedy już szykował się do opuszczenia pomieszczenia zamarł w bezruchu. Usłyszał krótkie, pojedyncze, lecz mocne uderzenie. Za jego plecami. Jakby coś walnęło o jedną z szafek. Serce waliło mu jak opętane. Bał się choćby drgnąć. Cisza. Nic. Po chwili napięcie w mięśniach zaczynało lekko odpuszczać, a on sam zdobył się na niewielkie, nieśmiałe ruchy. Zaczął obracać się centymetr po centymetrze. W końcu ustawił się całkowicie w stronę, która przed chwilą była za nim. Skierował przed siebie światło latarki, ale nie dostrzegł absolutnie niczego. Pomieszczenie wyglądało dokładnie tak samo jak parę minut wcześniej. Coś jednak przecież uderzyło w tę szafkę – ta myśl nie dawała mu spokoju. On sam nie należał do przesądnych i nie wierzył w żadne widma i zjawy, ale teraz czuł, że coś zasiewa w nim ziarnko niepewności odnośnie tej kwestii.

Przejechał nerwowo światłem po okolicznych szafkach. W jednej z nich dostrzegł coś co go zaciekawiło. Odkształconą blachę, a konkretnie wybrzuszenie, zupełnie jakby powstało od środka, a nie od zewnątrz. Odetchnął momentalnie z ulgą wypuszczając z siebie mocnym wydechem powietrze. To pewnie coś w środku się przewróciło i uderzyło w szafkę. Poczuł jakby serce zaczęło spowalniać swoje bicie. Nie mógł jednak oprzeć się wrażeniu, że z innymi szafkami także jest coś nie tak. Dopiero teraz zaczął to zauważać, choć wcześniej przeszedł obok tego faktu obojętnie. Wszystkie posiadały bowiem podobne ślady, lecz w nieco różnych miejscach. Jedne wyżej, drugie niżej, inne pośrodku, raz w większych odstępach, raz w mniejszych. Dziwne, ale być może podczas bombardowań, gdy wszystko drgało trzęsącą się ziemia powodowała, że to co było w środku walało się w różne strony z dużą mocą? Tak przynajmniej sobie to tłumaczył. Niemniej ogarniała go narastająca chęć zajrzenia do jednej z tych szafek. Może było w nich coś cennego? Może jakiś sprzęt medyczny lub lekarstwa po które w końcu tu przyszli? Postanowił dać ciekawości za wygraną.

Szafka ku której się skierował nie była zabezpieczona żadną kłódką. Posiadała jedynie prostą gałkę, która po przekręceniu w jedną stronę zamykała zamek, a po przekręceniu w drugą go otwierała. Chwycił więc za rączkę i przekręcił w prawo. Ani drgnie. Zamknięta i pewnie w tym kierunku właśnie się zamykała. Pomału zaczął kręcić w drugą stronę. Z niewielkimi oporami, ale coś drgnęło. Mechanizm zaskrzypiał lekko, zdradzając iż nikt go

nie smarował, ani nie dbał przez dziesiątki lat. Po krótkiej chwili coś załomotało jakby w środku zderzyły się ze sobą dwa kawałki metalu. Boruch od razu skojarzył, iż dźwięk ten musiał oznaczać otwarcie zamka. Nie mylił się. Pomalutku zaczął więc rozchylać drzwiczki szafki…

Przez rozrastający się otwór zaczął wydobywać się niewyobrażalny smród. Ledwo wytrzymując ten odór, pokasłując cicho Boruch skierował światło latarki do środka. Wisiało ono jednak w powietrzu nie więcej niż ułamek sekundy, gdyż na jego końcu dostrzegł on coś w rodzaju twarzy, lecz o niemalże pustych oczodołach i całkowicie zdartej skórze twarzy, na której gdzieniegdzie spoczywały leniwie niezwykle rzadkie włosy. Widok ten tak przeraził Borucha, że ten aż krzyknął ze strachu, po chwili niemalże dławiąc się z przerażania, gdy owe „odkrycie" zdawało się niemalże rzucić na niego z wnętrza szafki. Poczuł na klatce piersiowej ciężar znaleziska i w potwornym strachu, i pełnym paniki odruchu obronnym odrzucił coś podobnego do lalki lub kukiełki jak najdalej od siebie. Dyszący i kompletnie wystraszony odskoczył i uderzył plecami w kolejną szafkę, nerwowo próbując znaleźć swoją latarkę. Machał tak długo dłońmi po podłodze, jak gdyby nie chciał opuszczać wzroku, aż w końcu znalazł zgubę. Chwycił ją mocno niczym najcenniejszą broń i starał się pomału uspokajać oddech.

Po chwili zaczął świecić dookoła szukając źródła swego przerażenia. Skierował światło na prawo i od razu trafił tam na bezruchu leżącą postać. Choć groteskowo powykrzywiana budziła więcej lęku i grozy niż śmiechu. Przyglądał się niemrawo spoczywającej sylwetce jakby chciał poznać każdy jej szczegół. Wykonał parę kroków do przodu, a padająca na wprost łuna światła zaczęła odkrywać coraz więcej przerażających szczegółów odnalezionego ciała. To było dziecko…

Zamarł kompletnie, jakby padł trupem na stojąco. *To były zwłoki jakiegoś dziecka* — powtarzał do siebie w myślach setki razy z prędkością światła, że aż słowa te zdawały nakładać się na siebie. Choć widział je z boku był w stanie stwierdzić to bez cienia wątpliwości. Rozmiar, budowa, kształt… Wszystko to potwierdzało jego ocenę sytuacji. Kiedy w końcu udało mu się podejść tak blisko by ręką sięgnąć nieruchomo leżącego ciała, przekręcił je w swoją stronę. Choć spodziewał się czegoś makabrycznego, to to co zobaczył przeraziło go jeszcze bardziej niż był w stanie to przewidzieć.

— Kompletnie wysuszone, nawet z oczu nic nie zostało. Oczodoły puste, skóry praktycznie brak. Jakby się temu nie przyglądać, to żyć się odechciewa — podsumował poważnie jak nigdy Rumcajs. Boruch nie zauważył nawet kiedy ten znalazł się koło niego. Po chwili dostrzegł tam także Peca i Borysa. Pozostała dwójka musiała zacząć ich szukać zaniepokojona długim czekaniem na nich, aż w końcu trafili w to samo miejsce.

— Ale jak? Po co? — nie mógł dalej uwierzyć młody mężczyzna.

Stali tak jeszcze chwilę bez słowa, gdy Rumcajs postanowił w końcu zabrać głos.

— Popatrz na te palce… Ręce… Nogi. Jezu Chryste… — wskazywał palcem na dziwne ubytki tkanki w wymienionych obszarach ciała

— Od czego to? — starał się dojść do zmysłów, choć dalej głos mu drżał, przez co brzmiał jakby mocno dyszał.

— Od głodu — wyjaśnił Pecu.

— Jak to od głodu? — nie rozumiał Boruch.

— Ktoś zamknął to dziecko w szafce, a ono było głodne. Dzień, drugi, trzeci, potem tydzień, drugi, może więcej… — wymieniał Pecu. — musiało coś jeść. To jadło… siebie.

— Ale kto zrobiłby takie coś? Po co mieliby zamykać to dziecko w szafie?

Rozmyślania Borucha przerwał podobny dźwięk uderzenia w kolejnej szafce, stojącej gdzieś przy końcu szeregu.

— Co to, do cholery? — poderwał się Rumcajs.

— Musimy sprawdzić — zarządził Pecu i ruszył ostrożnie w stronę szafki.

Przez cały czas, gdy szedł nie dobiegł ich już żaden inny dźwięk. Mężczyzna o trupich rysach w tej ponurej grze światła i cieni wyglądał jeszcze bardziej upiornie, idealnie wpisując się do otaczającego krajobrazu.

— No dobra… Panie, daj siły — popatrzył się w stronę towarzyszy. Ci spojrzeli po sobie nerwowo i niepewnie.

Nie czekając na ich odpowiedź, Pecu przekręcił zamek. Mechanizm zaskrzypiał podobnie jak ostatnio. Uchylił lekko drzwiczki. Więcej nie musiał. Odsunęło je szybko mocno napierające ciało kolejnego martwego dziecka, które spadło im wprost pod nogi.

— KURWA! — zaczął krzyczeć wniebogłosy niczym opętany Rumcajs, odbiegając od pozostałych.

— Co ty odpieprzasz?! Uspokój się! — próbował opanować targanego emocjami kompana Pecu. Bezskutecznie.

Wściekły, zdesperowany i jakby prowadzony jakąś niewidzialną siłą Rumcajs zaczął podbiegać do kolejnych szafek i błyskawicznie przekręcać zamki. Pec już go nie powstrzymywał, a Boruch przykucnął jakby bezradny. Zdawało się, iż zatyka uszy, by uchronić się od krzyków Rumcajsa. Ten zaś zdołał otworzyć w tym czasie następną szafkę. Jeszcze jedno martwe dziecko. Od razu podbiegł do kolejnej, niemalże stąpając po niedawno odkrytych zwłokach. Jeszcze jedno. Kolejne. Następne. Jedna szafka, jeden trup. Cóż za przeklęta matematyka!

Kiedy dotarł do ostatniej szafki jaka mu pozostała przystanął na chwilę jakby chciał ochłonąć. Po jej otworzeniu i ujrzeniu tego samego, co w pozostałych, opadł na podłogę, przyciągnął kolana do twarzy i… rozpłakał się jak dziecko. Ten sam cyniczny i zgorzkniały Rumcajs. Pozostali tylko patrzyli bezradnie. Bez słowa.

— Po co? Dlaczego? Kto? — dukał z siebie szlochając intensywnie, nie mogąc uwierzyć w to co widzi. Stawał się coraz bardziej nerwowy. Cały wręcz drgał od emocji, jakby miał zaraz wybuchnąć od środka. — Mam dość! Mam, kurwa, dość! — krzyczał, a łzy zalewały mu gardło przez co brzmiał jakby się dławił.

— Wiesz Rumcajs… Nie wydaje mi się, żeby ci, co zrobili, chcieli źle. — przerwał tę niesamowicie niezręczną ciszę Pecu.

— Co za pieprzone gówno! — wrzasnął Rumcajs, targany mocą intensywnych uczuć.

— Pewnie chcieli je schować, uchronić je… Ale po prostu… im się nie udało. Wygląda na to, że nie mieli gdzie uciec czy się ukryć i zdecydowali, że to jakakolwiek szansa… jakiekolwiek schronienie — mówił tak, jakby chciał to wszystko wytłumaczyć, lecz tak naprawdę chyba sam siebie przekonywał - Sami uciekli gdzieś indziej i … nikt już tu nie wrócił.

— To po cholerę je tu pakowali skoro wiedzieli, że nie wrócą?! — nie przestawał szlochać.

— Nie wiem czy nie wiedzieli, ale człowiek w takich sytuacjach nie może myśleć racjonalnie. Chcieli pewnie jak najlepiej, a w emocjach nie przewidzieli ewentualnych konsekwencji… Masz rację — zmienił nagle całkowicie sposób wypowiedzi — to wszystko jest po prostu chore. Pieprzone szaleństwo…

Nikt nie powiedział już nawet pół słowa. Każdy stał w swoim miejscu. Powietrze wypełniały tylko dźwięki płaczu, dyszenia i pojękiwań pełnych smutku oraz rozpaczy.

— Wiem, że to nie jest dobry moment — postanowił oderwać uwagę pozostałych od przykrego odkrycia Pecu. — ale znalazłem to — wyciągnął przed siebie coś jakby notatnik z dużą ilość pomiętych i naddartych stron.

Reszta popatrzyła na dzierżony przez niego w ręku przedmiot ze zdziwieniem.

— Przejrzałem z grubsza. To zapiski ordynatora. Dowodził całym oddziałem dziecięcym. Brakuje kilku stron, wiele jest pustych, zwłaszcza przy końcu, ale może czegoś się dowiemy.

— Pokaż — wziął mu przedmiot z ręki Borys i światłem latarki jeździł z przejęciem po ręcznie prowadzonych wpisach. Zdawał się chłonąć pismo coraz mocniej z każdym kolejnym słowem.

— Co tam jest? — Zainteresował się Boruch.

— Pierwszy raz widzę coś takiego — zdawał się mówić bardziej do siebie niż odpowiadać na pytanie kompania. – Nigdy nie miałem kontaktu z tym, co było kiedyś… W sensie ze słowami obcego… To znaczy widziałem jakieś książki, ale nigdy pisma zwykłego człowieka jak my… To jak nie z tego świata…

***

Dziś na obiad mieliśmy stary, dobry kleik. Sam się z siebie śmieję, ale naprawdę go lubię. Czy to kiedyś jako mały pacjent szpitala, czy teraz jako jego ordynator. Nie ma to żadnego znaczenia. Mi tam zawsze smakowało i nie potrafiłem zrozumieć tych, co na niego psioczą. No, ale są przecież różne gusta. Nie dokończyłem dziś jednak posiłku, wychodząc wcześniej z kantyny. Wszystko z powodu tych nowych pacjentów, którzy mieli dziś do nas przyjechać. Jakaś ważna sprawa. Ponoć tajemnica i wiedzą o tym tylko dyrektor szpitala, ja i specjalnie wybrany oddział lekarzy mający się nimi zajmować. Niech i tak będzie. Pewnie znowu jakiś specjalny szczep grypy,

który należy trzymać w tajemnicy, aby nie stresować opinii publicznej. Ech, te dzieci… Jak to się dzieje, że one zawsze pierwsze coś wyłapią (…)
(Kilka pustych stron i podartych kartek)

Tego chyba dłużej nie da się utrzymywać w sekrecie. Nie wiem, co mam teraz robić… I ta cała sytuacja wokół. Mają zamykać granice, jakieś napięcia, nikt nie wie, co się dzieje. Ciężko żyć tutaj, wyjechać się nie da. Co robić? Z zespołu odeszło paru ludzi. Nie wszyscy sobie radzą ze stresem i odpowiedzialnością. Nie można im się dziwić. Każdy ma inne nerwy. Chciałbym móc powiedzieć, że mnie to nie rusza, ale… Nie potrafię. Zaczyna mnie ogarniać lęk… (zamazany tekst)
(Kolejne wydarte kartki)

Nadszedł czas decyzji. Odcięliśmy oddział od pozostałych. Trzeba było zamknąć nawet całe skrzydło. Wątpię że coś to da, ale trzeba kontynuować pracę. Zależy od nas więcej niż komukolwiek może się wydawać. Co, jeśli spełnią się najczarniejsze scenariusze? Nie chcę nawet sobie tego wyobrażać… Czasem, jak patrzę na nich wszystkich, to odnoszę wrażenie, że śnię. Nic w tym jednak dziwnego. Nie zmrużyłem oka od około czterdziestu godzin. Moje ciało błaga wręcz o sen. Z drugiej strony, naprawdę boję się zmrużyć oczy. Chcę je bowiem kiedyś otworzyć…
(Porwane kartki)

Kazali nam pozbyć się wszystkich dowodów. Wszystkich pacjentów gdzieś zabrali, a nas zmusili do podpisania lojalek, że nic z tego, co widzieliśmy i doświadczyliśmy nie zostanie nikomu przekazane. Pod groźbą cofnięcia licencji, zakazu dalszego wykonywania zawodu, a nawet kary więzienia za… Zdradę stanu. Dobrze, że nie kazali nas rozstrzelać! Chociaż kto tak naprawdę wie, do czego są zdolni. Nie będę ukrywał, że się boję. O siebie, o żonę, dzieci, całą rodzinę… Chciałem coś tutaj napisać, bo od lat spisuję wszystko, co mnie dręczy, żeby lepiej sobie z tym radzić, ale tym razem boję się umieścić coś nawet w swoim własnym notatniku. Przecież skoro tak dobrze mnie prześwietlili, to kto wie czy nie wiedzą czegoś o nim? Zastanawiam się, co mógłbym zrobić, aby pomóc innym? Nic nie przychodzi mi do głowy. Może to dziwne, ale szkoda mi tych wszystkich pacjentów, pomimo tego wszystkiego. Przez tych bydlaków co mnie zastraszyli sam już nie wiem kto tak naprawdę jest tutaj ofiarą, a kto oprawcą…
(Dwie puste kartki i dalsze notatki. Bardzo niewyraźne – jakby pisane w pośpiechu)

Już mi wszystko jedno, kto to odczyta. I tak wątpię, że ktokolwiek, a na pewno oni. Piszę to tylko dlatego, że nie mogę się skontaktować z Wami. Ze swoim domem. To jedyny ślad… Wskazówka, którą mogę Wam po sobie zostawić. Jeśli byłaby jakakolwiek szansa, że gdzieś będziecie mnie szukać, to musicie przecież zacząć od mojego gabinetu. Oby udało Wam się trafić na ten notatnik. Mam jednak nadzieję, że zamiast mnie, szukać będziecie raczej szukać bezpiecznego schronienia i tam przeczekacie najgorsze. Ponoć zostaliśmy zaatakowani. Tak usłyszałem. Odnotowano jakiś wybuch nuklearny na północnym-wschodzie kraju. Niby nadleciał ze wschodu. Nie

wiem. Dla takich rakiet to maksymalnie parę minut różnicy, zanim dotrą i do nas. Piszę tylko dlatego, że dopiero po mnie idą. Są już ponoć na dole. Słyszałem jak Nowakowski biegł i krzyczał, żeby wszystkich ostrzec. Nie ma ucieczki. Ponoć wszyscy związani z ich „projektem" i wszystkimi pacjentami zostaną gdzieś przetransportowani. Lekarze, naukowcy… wszyscy. Nie wiem dokładnie gdzie, ale ktoś krzyczał coś o terenach na obrzeżach i jakichś psach. Nie wiem, o co chodziło. Już mi w sumie wszystko jedno, jeśli i tak miałbym Was nie zobaczyć… (pismo staje się jeszcze bardziej nieczytelne i chaotyczne) *Na korytarzu słyszę już głośny tupot biegnących ludzi. To oni. Zaraz pewnie po mnie wpadną. Kocham Was i niech Bóg ma Was w opiece! Obyśmy spotkali się w lepszym miejs…* (ślad pisma po długopisie opada w tym miejscu gwałtownie w dół, kreśląc długą, skośną i rwaną linię, jakby coś nagle i gwałtownie przerwało proces pisania)

— To za wiele nam nie powie — podsumował Pecu.

— O co mogło chodzić z tym całym „projektem" czy pacjentami? — dopytywał zaciekawiony Boruch.

— Nie mam pojęcia. Może chodziło o jakiś projekt wojskowy? Może trzymali tu ludzi z jakąś groźną zakaźną chorobą nieznanego pochodzenia i bali się, że rozprzestrzeni się na innych? Może prowadzili jakieś eksperymenty na chorych? Może dlatego był to „projekt"? Projekt opracowania lekarstwa.

— To miejsce robi się coraz bardziej chore z każdą sekundą — oznajmił podenerwowany Rumcajs.

— Nie martw się. I tak wszyscy już nie żyją. Jeśli nawet były tu jakieś groźne bakterie to zapewne już wyparowały razem z tymi, którzy je w sobie nosili — uspokajał go Borys.

— Może… — nie wydawał się ani trochę spokojniejszy. — Ale i tak bierzmy, co musimy i spadajmy stąd jak najszybciej.

— Ten plan nie zmienił się ani trochę — przytaknął mu Borys. — Przeczesaliśmy tu wszystko. Nie ma nic co by nas interesowało. A co u was?

— To samo. Wiemy tylko, że na samą górę nie wejdziemy, bo przejście jest zawalone. Zostaje to piętro na którym jesteśmy i piwnice. Kto idzie w takim razie na dół? — rozejrzał się po towarzyszach Pecu.

— O taki chuj, że idę tam w dół — od razu zaprotestował Rumcajs.

Wyraźnie poirytowany Pecu wziął swoją latarkę i wcisnął ją mocno w dłonie Rumcajsowi upewniając się, że ten trzyma mocno przedmiot.

— Kawał chuja to jest z ciebie. W dodatku bez większego pożytku. Pilnuj tego i czekaj tu na nas aż wrócimy. Nikt nie będzie cię niańczył i targał za sobą na siłę.

— Spierdalaj. Myślisz że pójdę Bóg wie gdzie, nadstawiając karku, tylko dlatego, że się uniosłeś? Mam się poczuć zawstydzony? Mam teraz polecieć tam jak na skrzydłach, bo zrobiłeś złą, obrażoną minę? A pierdol się. Mam to w dupie i myśl sobie co chcesz. Ja mam zamiar wyjść z tego cało.

— Jest z tobą gorzej niż myślałem — podsumował krótko Pecu. — Jak wrócimy do domu, to nie chcę cię widzieć. Lepiej schodź mi z drogi, bo łeb przetrącę.

— Nie musimy w ogóle obok siebie stać — rzucił stanowczo i przeszedł obok Peca, patrząc mu do końca prosto w oczy.

— Może… — zaczął nieśmiało Boruch. — W takim razie jak jest nas trójka, to pójdziemy wszyscy po prostu na dół? Jeśli mieli tu jakiekolwiek zapasy, to musieli je gdzieś przechowywać. Pewnie tam gdzie nie każdy miał dostęp, więc może od razu idźmy do piwnicy.

— Tak będzie trzeba zrobić. Schody są tu zaraz za rogiem na końcu korytarza. Jak widać na tym poziomie nic nie znajdziemy. Nie mamy zbyt wiele czasu. Niedługo będzie świt, a nie chcemy się rzucać w oczy. Chodźmy więc.

— Jakby coś się działo… — zwrócił się Borys do Rumcajsa, patrząc mu prosto w oczy. — A zresztą… nieważne — machnął ręką i wraz z resztą skierował się w stronę schodów prowadzących na dół.

W powietrzu czuć było chłód, odbijający się od kafelek na podłodze, ale nikomu z nich nie było zimno. Wręcz przeciwnie. W każdym z nich wrzało od nadmiaru różnych emocji. Korytarz wypełniał odgłos echa ich kroków. Gdzieś w oddali, z dołu schodów dobiegały ich co prawda jakieś dziwne dźwięki, brzmiące nieco jak złowrogie jęki, które słyszeli całkiem niedawno na zewnątrz, lecz tym razem byli niemalże pewni, że źródło tych odgłosów bierze się zapewne ze starych drzwi lub okien, które lekko uchylone znajdowały się gdzieś na drugim końcu szpitalnego skrzydła. To co jednak nie dawało im spokoju, to nie dziewięćdziesiąt dziewięć przecinek dziewięć procent pewności, że tak właśnie jest, lecz ta jedna dziesiąta mówiąca, że może być kompletnie inaczej. Wszystko za sprawą tego notatnika na który trafili, dającego im nieco szersze spojrzenie na to co się tutaj wydarzyło, a raczej ogromne pole do domysłów co mogło tam naprawdę się stać, gdyż pewności nie mieli żadnej. I teraz jeszcze do dźwięku ich kroków dołączył jakby kolejny dźwięk. Odgłos niepewności i dziwnego lęku. Ten jednak nie wydobywał się spod ich stóp lecz, jak im się wydawało, z głośnego i nadmiernie przyśpieszonego bicia ich serc…

***

Piwnica nie była przyjaznym miejscem. Chłód i wilgoć przejęły to miejsce całkowicie. Wyczuwalny smród stęchlizny przenikał wszystko doszczętnie, a w nozdrzach pozostawiał swoisty niesmak. Choć wokół było cicho, to okazjonalnie dochodził ich odgłos rozpadających się w wyniku zderzenia z twardą powierzchnią kropli wody. Najwyraźniej gdzieś tam w oddali mrocznych zakamarków wystawał kawałek starej, zniszczonej i zapewne pordzewiałej rury przez którą raz na jakiś czas sączyła się odrobina tej życiodajnej substancji, z pewnością nie nadającej się już do spożycia. Tamtędy też pewnie musiał przedostać się tutaj szczur, który wcześniej omal nie doprowadził ich do zawału serca.

Po paru minutach spokojnego marszu na który składało się przestawianie fragmentów mebli i wyposażenia blokującego przejścia, oraz

zaglądanie w każde dostępne miejsce trójka mężczyzn przystanęła na chwilę, gdzieś mniej więcej w jednej trzeciej długości głównego korytarza. Światłami latarek przemierzyli wszystko na wprost i po bokach. Nie było tam nic czego nie spodziewaliby się spotkać. Jakieś drobne szafki, parę szpitalnych łóżek, materace, wózki inwalidzkie, nosze, a także kilka tablic z jakimiś informacjami. Na chwilę zatrzymali światło na tej znajdującej się najbliżej nich, będącej zarazem tą największą. To czego można było się spodziewać – reklamy leków, zabiegów, klinik. Dokładnie to, co zakładali spotkać w szpitalu. Największą jednak uwagę przykuwał sporych rozmiarów plakat z wizerunkiem tęczy zajmującej około trzech czwartych jego powierzchni. Przedstawiał on jakąś firmę bądź zakład farmaceutyczny o nazwie „Tęcza", który wedle haseł reklamowych zajmował się specjalnymi środkami i lekami przyszłości. Obok tegoż plakatu można było także dostrzec ogłoszenia drobne pochodzące najwyraźniej od różnego rodzaju pacjentów. Jedne oferowały za darmo wózek dla dziecka, inne pochodziły od pacjentów szukających jakiś lekarstw, a jeszcze inne zostały napisane przez osoby oferujące swoje usługi jako opiekun dla osób chorych bądź starszych.

— Chyba jesteśmy na tropie — przerwał ciszę Borys.

— To znaczy? — niezbyt rozumiał o co mu chodzi Pecu.

— Bardzo dużo reklam leków. To chyba musimy być gdzieś w ich pobliżu, nie?

— A jak na mieście widziałeś fragmenty bilboardów ze słodyczami, to pod nimi znajdowałeś tabliczki czekolady i batoniki? — zapytał go ironicznie Pecu.

Skonsternowany Borys nie odpowiedział.

— Słuchaj. Ja też mam nadzieję, że coś znajdziemy i wydaje się że jesteśmy blisko, ale to nie znaczy, że tak będzie.

— Jasne… Rozumiem.

— Panowie. Patrzcie na to! — zawołał wyraźnie podekscytowany Boruch, kierując latarkę na szarą, prostokątną tablicę z czerwonymi literami, zawieszoną na boku ściany.

— O żeż w mordę… Apteka! Za rogiem! — wykrzyknął jeszcze głośniej zachwycony odkryciem Borys.

— Ciszej! — uspokoił ich stanowczym szeptem Pecu. — Spokojnie. Nie chwalmy dnia przed zachodem słońca. Pomału.

Choć szli dalej ostrożnie, to można było odnieść wrażenie, iż unoszą się w powietrzu jak na skrzydłach, podbudowani swoim odkryciem. Choć zajęło im to parę minut, to zdawało się, iż błyskawicznie dotarli w miejsce wskazane przez znaki. Zupełnie jakby ignorowali to, iż im głębiej zapuszczali się w korytarz, a później w następną jego odnogę tym bardziej zniszczony i pokryty stęchlizną się on stawał. Z niektórych ścian zdawało się aż dosłownie kapać jakąś maziowatą, zielonkawo-brunatną substancją. Co prawda Pecu dostrzegł to kątem oka, ale od razu uznał, iż to grzyb pochłaniający pomału wszystko w okolicy.

— Oto i ona… — oznajmił z szerokim uśmiechem na ustach Borys. —

Stoi tu i czeka na nas. Cała nasza! — nie potrafił powstrzymać entuzjazmu na widok faktycznie znajdującej się niemalże w idealnym stanie szpitalnej apteki. Właściwie można by uznać, iż wszystko zostało tutaj w takim samym stanie jak wtedy, gdy po raz ostatni byli tu ludzie, gdyby nie ogromna plama zaschniętej krwi na podłodze i pełno szkła wokół. Pomimo nieukrywanej radości ze znaleziska, nawet to nie mogło ujść ich uwadze.

— A skąd to do cholery się tu wzięło? — zapytał jakby sam siebie Boruch.

— Nie mam pojęcia. Zaschnięta. Pewnie dawno temu… — zastanawiał się Pecu.

— Pamiętasz, co było w notatniku? — zabrał głos, machając latarką wokół Borys. — Przyszli po nich. Może któryś stawiał opór lub chciał uciec?

— To by w sumie tłumaczyło brak ciała — zdawał się popierać teorię kompana Pecu.

— Tylko, że… dlaczego zabrali ciała? — wydawał się nie do końca ufać tej teorii Boruch.

— To znaczy?

— No, przecież w notatniku było, że nastąpił atak.

— Prawdopodobnie — przerwał mu Borys.

— No, nawet jakby prawdopodobnie nastąpił. To akcja była naprawdę i ewakuowali to miejsce. Jeśli więc nastąpił atak lub miał dopiero nastąpić, a światu zostało parę minut, to po co przejmować się jakimikolwiek ciałami? Po co im one? I co najważniejsze - kto je znajdzie? Kto w ogóle będzie szukał? Przecież wszyscy pozostali by nie przeżyli.

— W sumie masz rację… — zaczął na nowo zastanawiać się najstarszy z mężczyzn.

— Myślicie, że ktoś inny mógł je wziąć? Albo… coś? — w głosie Borysa dało się wychwycić zaniepokojenie.

— Nie wiem. A może te ciała były dla nich cenne? — analizował sytuację Boruch.

— Ale na co komu zwłoki? — teraz to Pecu wydawał się nie do końca wierzyć teorii jednego z kompanów.

— Nie wiem. Zastanawiam się po prostu. Tyle wątpliwości…

— Dlatego najlepiej będzie jak weźmiemy, to co musimy i po prostu stąd pójdziemy jak najszybciej — zaczął zdejmować plecak Borys.

— Chyba masz rację. Zwiedzanie zostawimy sobie na kiedy indziej.

— Powinno nam szybko pójść. Drzwi do apteki są otwarte — wskazał palcem na wejście Boruch.

— No dobra. To pamiętajcie. Rozglądamy się w pierwszej kolejności za antybiotykami i lekami dla małych dzieci. Wszystkie rzeczy dla kobiet, kobiet w ciąży, kobiet karmiących, witaminy, odżywki i tym podobne również są bardzo ważne. Pakujemy, ile wlezie. No i nie możemy zapomnieć o opatrunkach, bandażach, środkach dezynfekujących i tak dalej.

— Chyba będziemy musieli zrobić ze dwa kursy — uśmiechnął się znajdujący się już z przodu i oświetlający wnętrze Borys. — Albo ugniatać do oporu to co weźmiemy.

Faktycznie, po chwili i pozostali widząc na własne oczy wyposażenie apteki zamarli z podziwu. Żaden z nich nigdy nie widział na żywo takiej ilości lekarstw i różnego rodzaju preparatów w jednym miejscu. Pecu, jako iż był najstarszy, pamiętał jak kiedyś, gdy tułali się z bratem po ruinach miasta, napotkali na częściowo ocalały budynek dawnej szkoły farmaceutycznej, w którego wnętrzach znaleźli trochę lekarstw. Było to może ze trzydzieści różnych tabletek i opakowanie zawierające suplementy diety, ale odkrycie to napawało ich taką radością, że jeszcze z tydzień nawzajem sobie opowiadali historię ich znalezienia. Chociaż każdy z nich tam był i znał ją na pamięć. Jeszcze parę lat później, gdy brat Peca umierał na jego rękach, powolnie trawiony czymś co przypominało białaczkę wywołaną nadmierną ilością radiacji, wspominali sobie ich wspólne chwile i ten moment był tym przy którym na twarzy ostatniego członka jego rodziny pojawił się również jeden z ostatnich jego uśmiechów.

Wszystko, od kremów do skóry, przez maść na odparzenia, pieluchy dla noworodków, preparatów z cynkiem po pigułki na przeczyszczenie. Wszystko było tutaj na wyciągnięcie dłoni. Skarbnica bogactwa i luksusów o których mało kto odważył się śnić. Aż dziwne, że to miejsce w ogóle jeszcze posiadało to wszystko i ktoś wcześniej go nie wyczyścił do cna ze wszystkich zasobów. Co prawda, niemało z tych leków było już po terminie ważności, ale żaden z nich nie miał zamiaru na to wybrzydzać. Brali więc jak leci czego potrzebowali. Borys wszelkie witaminy, Pecu bandaże, opatrunku, kremy na infekcje, antybiotyki, a Boruch… rzeczy dla dzieci, niemowląt, karmiących matek. I to on dopiero pierwszy zabrał głos przerywając intensywne odgłosy upychania plastykowych opakowań wewnątrz skórzanych plecaków.

— A co jeśli… No wiecie. Jeśli ktoś będzie potrzebował tych leków tak jak my?

— Daj sobie w ogóle spokój z takim myśleniem — stanowczo naprostował go Pecu. — Nie ma innych. Jesteśmy tylko my. Albo nas nie ma… Nie będzie w ogóle. Rozumiesz?

— Tak. Wiem, o co chodzi, ale… — akurat gdy kończył dociskać ostatnie upchane siłą w plecaku zapasy chyba wszystkie korytarze szpitalne, a na pewno te w pobliżu których się znajdowały wypełnił przerażający krzyk i odgłos wystrzałów z pistoletu. Całość pochodziła z całą pewnością z góry.

— Rumcajs… — szepnął tylko do siebie Pecu.

Kolejny wystrzał. Kolejny krzyk.

— Brać wszystko, co macie i biegiem na górę! — krzyczał i poganiał młodszych kolegów.

Każdy dopakowywał to co miał w ręce i zaczął gnać na złamanie karku. Pecu na przodzie, Boruch za nim, a Borys na końcu. Właściwie ten ostatni dopiero kończył dopinać plecak, gdy pozostali byli już w pełnym biegu. Pędzili co sił, aż czuli piekący ból w klatce piersiowej i udach. Wbiegli na schody. Dopiero teraz zaczynało być ciężko. Łydki dosłownie płonęły od wysiłku. W pewnym momencie obydwaj poczuli jakby zaczynali lekko opadać na siłach, ale od razu wstąpiły w nich nowe, kiedy usłyszeli odgrażającego się Rumcajsa,

wydzierającego się na pełne gardło.

— Zapomnijcie! Nie dostaniecie mnie żywcem! Wara ode mnie!

Pecu z Boruchem wymienili zdziwione spojrzenia i ruszyli w jeszcze bardziej szaleńczym biegu. Przystanęli dosłownie po paru sekundach na chwilę jak tylko dobiegło ich echo upadającego i rozkładającego się na schodach Borysa. Momentalnie przysiadł on na najniżej położonych schodach i złapał za obolałą nogę.

— Nic mi nie jest! Biegnijcie! Zaraz do was dołączę! — uprzedził pytania pozostałej dwójki, nakazując im kontynuowanie odsieczy.

— Niedługo po ciebie wrócimy! — odkrzyknął Pecu i skierowali się pośpiesznie na górę.

Kiedy skończyły się schody i znaleźli się na znanym już im poziomie, Boruch dostrzegł przelotnie, że napotkana w piwnicy maź była też obecna na ścianach i suficie tej części szpitala. Nie był to powód do głębszych rozważań, ale zwróciło to jego uwagę.

— Rumcajs! Gdzie jesteś?! — krzyczał Pecu. Nikt mu nie odpowiedział, ale po chwili w oddali rozległ się dźwięk potężnego uderzenia, i huk czegoś ciężkiego roztrzaskującego się o twarde podłoże.

— Cholera, to na końcu korytarza! Biegiem! — rozkazał, a Boruch podążył za nim.

W kilkanaście sekund dobiegli do Sali na końcu korytarza do której odnosił się Pecu. Ich oczom ukazał się intrygujący widok. O ile pomieszczenie nie zawierało żadnych niepokojących śladów, o tyle w jego środku, tam gdzie kiedyś znajdowało się okno teraz znajdowała się ogromna dziura. Wyglądało to jakby ktoś za pomocą dużej szafy lub łóżka rozpędził się i całą siłą wbił we wspomniane okno niszcząc je w drobny mak, wyrywając razem z kawałkiem resztek ściany.

— Co, do cholery?!

— Ale jak? Jak niby miałby to zrobić? — nie wierzył własnym oczom Boruch.

Podbiegli szybko do dziury w ścianie i spojrzeli w dół. Spoczywały tam resztki potężnej niegdyś, a obecnie roztrzaskanej w drobny mak szafy, a pod nimi nieruchome i powykrzywiane ciało Rumcajsa.

— Trup. Na miejscu. Nie ma co zbierać — podsumował krótko Pecu.

— Matko Boska… — wyszeptał do siebie młodszy z mężczyzn.

— Wiem że pił i jeszcze te emocje z dzisiaj. Cała nasza codzienność nie jest łatwa, ale dlaczego? Czemu teraz? — kręcił głową z niedowierzaniem. — Po co miałby skakać?

Nastąpił moment ciszy, który przerwał dopiero wyraźnie zainteresowany pewną obserwacją Boruch.

— A co jeśli… Jeśli to nie on?

— Jak to nie on? Co ty bredzisz, młody?

— Może i był pijakiem i świrem, który chciał skończyć ze sobą, ale sam mówił, że nie miał na to odwagi — wspominał ich wcześniejszą rozmowę.

— No to najwyraźniej ją znalazł — nie dopuszczał do siebie innej opcji

Pecu.

— Tylko, że… Dlaczego to resztki szafy leżą na nim, a nie on na nich? — skierował strumień światła latarki na zwłoki.

— To znaczy?

— Przecież żeby zniszczyć nawet nadwątloną ścianę potrzebowałby dużo siły. Sam wiesz, że pił i był rozchwiany emocjonalnie, więc małe szanse, że dałby radę, ale załóżmy, że by dał, to przecież… On musiałby pchać szafę. A to wygląda tak jakby… Szafa pchała jego i wraz z nim przebiła się przez ścianę. To nie ma przecież sensu…

— Masz rację. Nie ma. Dlatego sądzę, że sam ją wypchał, choć dalej nie wiem po co, i fragment zahaczył się w ścianie. On wypadł raz z resztą, a później ten zaczepiony fragment odpuścił i spadł na niego.

— Strasznie to dziwne.

— Wiem — przyznał uczciwie, klepiąc chłopaka po ramieniu i kierując z powrotem tam skąd przybiegli ale i tak nic z tym teraz nie zrobimy. Jaki był taki był, ale przyszedł tutaj z nami i za to należy mu się chociaż dobre słowo na koniec. Miejmy nadzieję, że jest w lepszym miejscu.

— Chociaż tyle — szczerze przytaknął Boruch.

— Musimy się zbierać, jeśli nie chcemy wszyscy do niego niedługo dołączyć. Pamiętaj że mamy ludzi, którzy na nas czekają i trzeba jeszcze opatrzyć Borysa. To może być coś dokuczliwego.

— Wiem. Rozumiem. Chodźmy — zgodził się i obydwaj udali się pomału z powrotem do piwnicy, czując na plecach nawiewający chłód ze świeżo powstałej wyrwy w ścianie budynku. Choć był to chłód wynikający z niskiej temperatury, to obydwaj mieli uczucie, że tym razem i sama śmierć zawitała do nich, postanawiając przypomnieć im o tym, iż któregoś dnia i ich weźmie w swoje objęcia.

***

— Borys! Gdzie ty jesteś? No chodź! Nie mamy czasu! — krzyczał Pecu głośno w głąb ciemnego korytarza, po tym jak od dziesięciu minut, gdy wrócili na dół nie mogli znaleźć swego kolegi.

Dla Borucha zastanawiające było, oprócz zniknięcia Borysa, to że maź którą wcześniej wypatrzył na tym samym poziomie wydawała się nagle zwiększyć swoją objętość lub przesunąć nieco bliżej schodów. Przez chwilę odnosił nawet wrażenie, że sama się porusza, choć było to oczywiście absurdalne.

— Cholera, nigdzie go nie ma. Może poszedł na górę, i się minęliśmy? — starał się wymyślić, gdzie mógł się podziać Borys.

— Może być. I co teraz? — zapytał wyraźnie przejęty Boruch.

— Poczekaj tutaj w razie gdyby wrócił. Ja wejdę na górę i zobaczę czy nie wrócił.

— No dobra. Tylko zaraz wracaj. To miejsce zaczyna mnie przerażać.

— Spokojnie młody. Wyjdziemy z tego, znajdziemy Borysa i wracamy od

razu do domu.

— Mam taką nadzieję — przyznał szczerze.

— No dobra. To ja zaraz jestem.

— W porządku.

Kiedy Pecu się oddalał Boruch skierował światło latarki w jego stronę chcąc oświetlić mu nieco większy odcinek drogi. Kiedy rozjaśnił tył postaci starszego kolegi zauważył coś co go z początku zaniepokoiło, lecz po chwili uznał za normalne w otaczających okolicznościach. Była to odrobina tej specyficznej substancji czy też mazi o zielonkawo-brunatnym zabarwieniu, której odrobina spoczywała na karku Peca.

— Pecu! — zawołał do niego głośno chcąc go poinformować o swoim odkryciu.

— Co, młody? — spytał rozdrażniony?

— Nie, nic — machnął ręką Boruch. — Uważaj na siebie.

— Ty też!

I tak został sam. Minęła minuta, dwie, pięć, a Pecu nie wracał. Postanowił więc trochę pokręcić się okolicy, ale nie oddalać za bardzo od schodów. Po chwili poczuł coś dziwnego na swoim ramieniu. Coś jakby spadło na nie coś gęstego i lepkiego zarazem. Sięgnął dłonią by zobaczyć co to. Była to ta sama zielonkawo-brunatna ciecz, którą widział do tej pory na suficie i fragmencie ścian. Była praktycznie bezwonna, ale zdawała się wchodzić w reakcję ze skórą, gdyż pod wpływem dotyku kleiła się jakby bardziej, a nawet zdawała lekko poruszać. *Nie… To niemożliwe* — mówił do siebie w myślach. Studiował ją jeszcze chwilkę przekładając z palca na palec, z ręki na rękę, podkładając pod nos, aby sprawdzić zapach. Z każdą upływającą sekundą odnosił wrażenie, że jest jej odrobinę więcej, a po jakimś czasie nagle zdał sobie sprawę, że widzi ją wszędzie przed sobą.

Nie było to złudzenie, gdyż po prostu nagle… Znalazł się na podłodze. Leżał na niej, patrząc w sufit, który cały był pokryty tym dziwnym czymś. Po chwili poczuł jak kolejna ciężka kropla ląduje na jego ciele. Musiała spaść z góry i uderzyć prosto w brzuch. Kolejna w drugie ramię, jeszcze jedna w klatkę. Minęło już z pewnością kilkanaście minut jak nie więcej. Czuł się jak zawieszony w jakimś stanie półprzytomności, lub też hibernacji. Miał wrażenie, że majaczy i zaczyna mieć zwidy.

Ni stąd, ni zowąd wydał głuchy jęk przerażenia. Wokół niego zaczęły bowiem pojawiać się… Dzieci. I patrzeć na niego z góry. Groteskowe, o pustych oczodołach i martwych spojrzeniach. Bez skóry na twarzy, z resztkami leniwie spoczywających włosów. Przyglądały mu się. Bez ruchu. Stały i patrzyły. Gdzieś spomiędzy nich wyszedł jakiś mały chłopczyk. Jedyny inny. Jakby bardziej żywy. To był syn jego ukochanej dla którego zbierał przecież leki.

— Dziękuję ci — powiedział. — Teraz już będzie dobrze. Ja też się tobą zajmę. Wszyscy się zajmiemy.

Nie widział już, kto wypowiada ostatnie słowa, ale miał wrażenie, że było to kilka istot naraz. On sam już tylko je słyszał po czym całkowicie odpłynął

czując ciepło i dziwne szarpanie w okolicach ud, klatki, szyi i wszystkich miejsc, gdzie do niedawna jego tętnice pompowały gorącą krew. Nie wiedział, co się z nim dzieje, a nawet jakby wiedział, to było mu już wszystko jedno...

Wszystko, co do tej pory było w jej mniemaniu krystalicznie czyste i śnieżnobiałe, uległo zepsuciu. Na przepięknej tkaninie schronu, który był dotychczas symbolem resztek ludzkości, wykwitły brudne, zakrywające nici wyjątkowości plamy.
- Adam Bełda, *Zobaczyć Niebo* (2012)

Rozdział 7:
BEZ CELU IV

Kamil Kwiatkowski

19 lipca 2080

Chwila ciszy. Przycisk *play* odskakuje do pozycji wyjściowej. Kaseta się skończyła.

— Ani mi się waż włączać trzeciej kasety — rzucił Piotr.

Niepokojąca i smutna historia, którą poznali za pośrednictwem dyktafonu, nie sprzyjała zbieraniu sił na eksplorację prawdopodobnie najbardziej niebezpiecznego regionu Polskich Pustkowi.

— Na razie nie skręcaj, ale kiedy zobaczysz Sochaczew, przygotuj się do szerokiego objazdu — powiedział Hubert do Piotra, nie odrywając wzroku od ekranu laptopa. — Możemy wykluczyć Warszawę jako taką, zbyt wysokie promieniowanie, żeby ktoś tam osiadł na stałe. Mam bardzo mało informacji o pobliskich osadach.

— A o schronach? — spytał Ariel. — Działający schron pośród napromieniowanego miasta mógłby stanowić swojego rodzaju fortecę. Na pewno w Warszawie mieli duży rządowy schron.

— Nie tylko mieli Schron Numer Jeden, ale również Schron Numer Zero.

— Schron Numer Zero? — ożywił się zarówno Ariel, jak i Oliwia.

— Nie jestem pewien, na ile jesteście poinformowani… — zaczął Hubert. — Na pewno wiecie, że przed wojną w Polsce zorganizowano program „Przetrwanie". Wybudowano dwanaście dużych rządowych schronów, które miały pomieścić w teorii większość ludzi z danego miasta i jego okolic, a w praktyce chodziło o najważniejsze persony i ich rodziny. Wielu nie zdążyło.

Adamowi przypomniało to czyjeś słowa. *Zwykłym ludziom nigdy nie było dane przeżyć Apokalipsy*. Nie mógł sobie jednak przypomnieć, od kogo to usłyszał.

— Powstała też spora liczba prywatnych schronów. Te częstokroć uratowały ludzi, którzy po czasie wyszli i zbudowali miasta. ale zatrzymajmy się przy tych rządowych. Pokażę wam ich listę — powiedział i obrócił ekran w ich stronę.

Schron Numer 1 — Warszawa

Schron Numer 2 — Gdańsk
Schron Numer 3 — Lublin
Schron Numer 4 — Kielce
Schron Numer 5 — Kraków
Schron Numer 6 — Tatry
Schron Numer 7 — Śląsk
Schron Numer 8 — Wrocław
Schron Numer 9 — Sudety, góra Wolarz
Schron Numer 10 — Łódź
Schron Numer 11 — Poznań
Schron Numer 12 — Toruń

— Był też trzynasty schron — dodał Hubert, na co przybysze z Dziewiątki szerzej otworzyli oczy i podskoczyło im tętno. — Schron Numer Zero. Pełen był zaawansowanej technologii, a zamieszkiwali go głównie naukowcy, na których barkach spoczywały dalsze losy tych ziem. Z czasem jednak dostał tam się znany nam skądinąd doktor Steinman, który rozpoczął produkcję androidów.

— Czekaj, zwolnij trochę — rzucił Ariel. — Mówisz, że był *trzynasty* schron i że było tam mnóstwo technologii? Może zarząd Dziewiątki nas nie oszukał? — obrócił się do Oliwii, a potem znów do Huberta, który jednak wytrwale nie patrzał na Ariela nawet kątem oka. — Pięć lat temu zostaliśmy wysłani z misją, by szukać Schronu *Numer Trzynaście*, a w nim odnaleźć technologię mogącą pomóc przetrwać Dziewiątemu. Z czasem, po długiej wędrówce i masie niepowodzeń, doszliśmy do wniosku, że to był tylko pretekst, żeby zapobiec przeludnieniu i pozbyć się buntowników… Ale gdybyśmy wrócili ze sprzętem…

— Spóźniliście się — odparł chłodno Hubert. — W 2075 roku schron ten prawdopodobnie został zniszczony na skutek eksplozji ładunku nuklearnego, a cała technologia przepadła wraz z nim — podsumował. — Gdybyście szukali trochę szybciej, może i byście go znaleźli. Zabrakło wam trzech lat — dodał z czystej złośliwości.

Ariel zmarszczył czoło, ale nic nie odpowiedział. Tylko westchnął i odwrócił w nerwach wzrok.

— Teraz prowadzimy nowe życie, nie musimy tam wracać — próbowała go pocieszyć Oliwia, choć sama w to nie wierzyła. *Co to za życie?*

— Kutas z ciebie — rzuciła Anka do Huberta trochę ciszej. — To był ich główny cel przez kilka miesięcy życia…

— No to równie dobrze mogli się wałęsać te parę miesięcy po Pustkowiach bez celu — odpowiedział. — Albo mogli od razu przejrzeć zamiary rady nadzorczej i odmówić.

— Jakby mieli jakikolwiek wybór… No wiesz? A ty? Masz ty w ogóle jakikolwiek cel?

— Nie zrozumiałabyś.

Adam starał się nie słuchać ich kolejnej kłótni, jednak pytanie o cel dręczyło go każdego dnia. Po co on właściwie chce odnaleźć Rorsarcha? Czy na pewno chce razem z nim przyczynić się do upadku Cesarstwa Pancerniaków? A może po prostu chciał spotkać postać, która mu imponowała? Po co mieszał się w duże sprawy? Powinien gdzieś osiąść i nie zawracać sobie tym wszystkim głowy, zapomnieć o tym i czekać na koniec, starając się zaznać przedtem trochę przyjemności. Całkowicie zwątpił w sens podróży, gdy był prawie u jej kresu.

W ciągu kolejnych kilkunastu minut, wszyscy zaczęli odczuwać bóle głowy. Jakby nagle zmieniło się ciśnienie. Ale to było coś innego. Czuli dziwną mieszaninę negatywnych emocji i zaczęły im się przypominać złe rzeczy. Nie czuli się tak źle od bardzo dawna. Ale licznik Geigera zamontowany z przodu samochodu nie wskazywał na nic, co mogłoby ich szczególnie zaniepokoić. Źródło bólu musiało być inne.

— Ale mnie bania napieprza — rzekł Franek i złapał się za głowę. Spostrzegł, że pozostali też zaczynają to robić. — Was też? Co tu jest grane?

— Internet stracił zasięg. Właściwie, całkiem padł — poinformował suchym tonem Hubert, choć sam zaczynał czuć coraz większy niepokój.

— Achh! — syknął z bólu Piotr i zatrzymał samochód, choć wcale tego nie chciał. Skulił się za kierownicą i za nic nie mógł sięgnąć sprzęgła.

— Jedź dalej, co się stało? — zareagowała Anna.

— Nie mogę… Coś blokuje mi nogi…

— Co do...?!

***

20 lipca 2080

Słyszał głosy ludzi, choć jeszcze nie rozróżniał, który należy do kogo i co dokładnie mówią. Kiedy Adam otworzył oczy, leżał na materacu. Jeśli chodzi o ubiór, niczego nie brakowało, choć mocno zaniepokoił go fakt, że nie miał przy sobie broni. Przeszło mu przez myśl, że mieli wypadek i nieprzytomnych zabrano do jakiejś pobliskiej osady. Pomasował się po brzuchu, sprawdził ramiona i plecy. Żadnych nowych ran. Tylko bolała go głowa. Ostrożnie uniósł rękę i przeczesał włosy. Nic nadzwyczajnego. Usiadł i rozejrzał się. Namiot miał szerokość kilku metrów. Niedaleko leżało pięć materaców, na których siedzieli jego towarzysze, bez wyraźnych oznak walki ani widocznych uszkodzeń ciała. Wejście było zapięte na zamek. Jagoda kuliła się obok Franka, wyraźnie przerażona.

— Co się stało...? — zaczął Adam, choć widząc zmieszane miny pozostałych, nie spodziewał się żadnego sensownego wyjaśnienia.

— Jeszcze nie wiemy — Piotr go nie pocieszył. — Ostatnie, co pamiętam, to zatrzymanie samochodu. Nie mogłem się ruszyć, byłem sparaliżowany. Do tego poczułem przenikliwy ból głowy. Potem nagle budzę się tutaj.

— To raczej pokrywa się z tym, co ja pamiętam. Jakieś teorie co do tego, co to mogło spowodować?

— Pasowałoby mi to do telepaty. Ale gdyby tak było, wyglądałoby to trochę inaczej, zaczyna się od zsyłania niepokojących i przerażających obrazów do głowy... Ale pewnie byśmy się już nie obudzili albo...

— Przepraszam — wtrącił się Ariel. — Telepata? O czym ty mówisz? Wybacz, ale nie mamy takiego doświadczenia na Pustkowiach jak wy…

— To bardzo potężni, zmutowani ludzie — tłumaczył Piotr. — Posiadają zdolności mentalne, potrafią wpływać na cudze umysły. Czasami także na przedmioty. Nie muszę tłumaczyć, że to jedni z potężniejszych przeciwników, jakich można napotkać na Polskich Pustkowiach.

— I spotkałeś jakiegoś? — spytała Oliwia.

— Teoretycznie jednego. Ale udało mi się uciec. Bez odpowiedniego wyposażenia pakowanie się w walkę z Telepatą to pewna śmierć. O tyle dobrze, że przeważnie chodzą pojedynczo. Czasem można natknąć się na zbrojne patrole tropiące Telepatów.

— Są na tyle dużym zagrożeniem, że ktoś się tym zajmuje?

— Grupa zwana *Stigmata Mortis*. Używają specjalnych obręczy do więzienia Telepatów. Potem zostawiają ich w jakichś niedostępnych miejscach i…

Zamek u wejścia namiotu został rozsunięty. Jakiś, na oko czterdziestoletni, mężczyzna w zwierzęcych skórach i z mnóstwem pasków je spinających rozejrzał się i powiedział:

— Dobrze, skoro już się obudziliście…

Anka zareagowała dość impulsywnie, wstając i podbiegając do mężczyzny, ten jednak uniósł ręce w pokojowym geście i starał się uspokoić tak ją, jak i pozostałych, którzy również się zaalarmowali.

— Czekajcie, spokojnie, spokojnie… Nic wam nie zrobimy. Mówią mi El Zapatilla. To oczywiście pseudonim, ale tu nie trafiają na ogół ludzie posługujący się imionami. Jesteście tu całkowicie bezpieczni —

zapewnił i opuścił nieco ręce, widząc, że dziewczyna przed nim się zatrzymała. — Zanim zaczniecie zadawać pytania, zacznijmy od najważniejszego. Trafiliście do tymczasowego obozu dla wyrzutków. Bądźcie mili, nie wyciągajcie broni, a nikomu nic się nie stanie.

— Kiepski żart, biorąc pod uwagę, że ktoś nam broń zabrał — odezwał się Hubert. — I gdzie jest mój laptop?!

— Spokojnie, wszyscy wszystko dostaną, ale najpierw musimy się upewnić, że wasz pobyt tutaj nam nie zaszkodzi. Wjechaliście na nasz teren, ale nie macie żadnych oznaczeń, więc założyliśmy, że jesteście zbłądzonymi wędrowcami, a takim czasem pomagamy, a oni nam... A co do twojego *laptopa*... — zwrócił się do Huberta i przez moment można było zwątpić, czy na pewno wie, o czym mówi. — Wszelka technologia jest w bezpiecznym miejscu. Teraz wyjdziemy z namiotu. Pójdziemy do namiotu pewnego człowieka... Po drodze nie przeżyjcie szoku i nie panikujcie. Przyzwyczaicie się.

Tak podróżnicy z zachodu, jak i przybysze ze Schronu Numer Dziewięć, obejrzeli się po sobie, ale żadne z nich nie wiedziało, co powiedzieć. Po chwili zastanowienia jedno po drugim zaczęli się decydować na wyjście. Nic innego im nie pozostało.

Na zewnątrz stało kilka innych namiotów, rozstawionych wokół niezapalonego ogniska, przy którym obok siwej staruszki siedziała grupa kilku niepokojąco wyglądających postaci w bluzach z kapturem. Sprawiali wrażenie medytujących. Ale to nie oni wywołali w przybyszach największy szok. Przy największym namiocie stała dwójka strażników. Jeden z nich, o nienaturalnie szerokich barkach, miał ponad dwa metry wzrostu, brunatną skórę i w pewnym stopniu zdeformowaną twarz. Był odziany w specjalnie przystosowany pancerz, a w ręku trzymał działko obrotowe. Ariel i Oliwia wydawali się najbardziej przerażeni, nie mieli bowiem wcześniej do czynienia z Mutantem, nie mówiąc już o małej Jagodzie, która uczepiła się Franka i była

niemalże bliska płaczu. Ale wszyscy zgodnie z radą El Zapatilli, starali się nie panikować. Drugi ze strażników, trzymający strzelbę bojową, nie był aż tak zauważalny, ale z jakiegoś powodu przykuł uwagę Adama, może nawet większą niż Mutant. Nad wyraz smukła sylwetka i pomarszczone, bezwłose ciało widoczne w miejscach, których nie chroniła zbroja i hełm sprawiły, że przypomniał sobie najgorsze chwile swojego życia. Aż go prawa ręka zaświerzbiła.

— To homunkulus, prawda? — zwrócił się do przewodnika.

— Tak. Jego imię to Dziesiąty. A Mutant to Robert. Przybyli odpowiednio z północy i południa. Nie mając swojego miejsca, odnaleźli je u nas i zapewniają nam ochronę. No bo sami przyznajcie, jeśli nie możecie czuć się bezpieczni pod ochroną Mutanta, homunkulusa i grupy Telepatów, to gdzie możecie?

— A więc miałem rację, są tu Telepaci — zauważył Piotr. To ci zakapturzeni?

— Tak — przytaknął El Zapatilla. — Nic wam nie zrobią, ale dla własnego bezpieczeństwa, nie patrzcie im w oczy. Trochę ich zestresowało wasze przybycie, więc możemy odczuwać... Uch, mały dyskomfort związany z bólem głowy. Ale gdy wszystko się uspokoi...

— Jakim cudem jest tu ich tak duża grupa? Uczono mnie, że występują tylko pojedynczo...

— Słuchaj. To są myślące istoty. Łatwo mogli dojść do wniosku, że jeśli patrolom Stygmatów czasem uda się pojmać któregoś z nich, trzeba również zebrać się w grupę. Z ostatniego starcia wyszliśmy zwycięsko, ale musieliśmy opuścić naszą dotychczasową kryjówkę.

— Dlaczego współpracujecie z homunkulusem? — wyrwał się Adam. — Wszystkie pracują przecież dla Zero.

— A co się stało z Zero? Czy nie gryzie gleby, jak jego koledzy Steinman i Zgniatacz? Czy odmówiłbyś ludzkiego traktowania komuś, kto stracił swój dotychczasowy cel i nikomu nie wadząc, stara się znaleźć nowy?

— Oni zrobili mi to — Adam pokazał Zapatilli bliznę po poparzeniu na ręce. — Jeden z nich zabrał moich przyjaciół do Żarnowca, gdzie...

Adam nagle poczuł na swoim ramieniu dłoń, która nie należała do człowieka. Dziesiąty nie musiał starać się podsłuchiwać, by doskonale wiedzieć, o czym Adam mówi. Ten się zaciął i był nieco sparaliżowany przez strach. Miał chwilę na przyjrzenie się poważnej, dziwnej i wychudzonej twarzy Dziesiątego. Homunkulus nie spieszył się z wyjaśnieniem i sam przyglądał się twarzy człowieka, jakby starając się go rozpoznać. Nie spotkali się jednak nigdy wcześniej.

— Nie oceniaj książki po okładce, jak to mawiacie — zaczął Dziesiąty. — *Wiem*, co się stało w Żarnowcu. Widziałem to, choć nie na własne oczy. Jeden z telepatów ukazał mi wizję ostatnich chwil elektrowni. Tak, uprzedzając twoje pytanie, nie ma wątpliwości, że Zero tam zginął, choć głowy nie dam, czy nie zastosował jakichś środków zapobiegawczych i nie zabezpieczył swojej świadomości... Ale to tylko teoria, a fakt jest taki, że nie żyje. Został zabity przez dwójkę ludzi, których zamierzał, umm, przebudować. Jego ideały nie były moimi. Tak naprawdę nie obchodzą mnie ani ludzie, ani wasza polityka. Nie można zakładać, że coś jest czarne albo białe. Na długo przed twoimi narodzinami, bo wyglądasz mi może na dwadzieścia parę lat, on finansował różne badania, chciał pomóc stopniowo wyniszczającej się ludzkości. Chciał zapobiec konfliktom religijnym. Chorobom. Działał nad tak wieloma sprawami, że nie będziesz w stanie pojąć całości jego pomysłu. Jednakże — przestał zachwalać Zero, widząc minę Adama. — Nie zamierzam cię przekonywać do zmiany zdania o nim. Chcę cię tylko zapewnić, że którykolwiek z nas uczynił ci krzywdę i

choć nie będę w stanie ci tego wynagrodzić w żaden sposób, jesteśmy po tej samej stronie. Uwierz.

Adam zaniemówił, choć rzeczywiście ani trochę go to nie przekonało. Zero będzie postrzegać zawsze jako tego, który stoi za stworzeniem armii Mutantów i homunkulusów, za których pomocą chciał przejąć władzę nad Polskimi Pustkowiami. To po prostu lider kolejnej strony konfliktu, obok Federacji, Pancerniaków, Reformatorów czy kogo tam jeszcze. Zerknął na El Zapatillę, który gestem zachęcał przybyszy do wejścia do największego namiotu.

W środku był stół, a na nim trochę papierowych map i laptop Huberta. Na krzesłach siedziało dwóch mężczyzn. Jeden, siwobrody i w białym t-shircie miał założone ręce i nie spuszczał wzroku z przybyłych. Drugi miał zakrywającą sporą część twarzy, białą, płócienną chustę z czarną plamą i binokle. Dłonią odzianą w brunatną, skórzaną rękawiczkę drapał się po brodzie i patrzył gdzieś w przestrzeń. Dopiero po chwili spojrzał na grupę.

— Witajcie. Z kim mam przyjemność? — zapytał, nie wyjawiając jeszcze imienia ani swojego, ani towarzysza. — Nie musicie pełnymi nazwiskami, imiona lub pseudonimy wystarczą.

Zapadła niezręczna cisza, bo nikt nie wiedział, kto powinien się pierwszy odezwać. W końcu odezwał się Ariel.

— Ariel i Oliwia ze Schronu Numer Dziewięć pod górą Wolarz. Członkowie drugiej ekspedycji mającej na celu odnaleźć trzynasty schron.

— O proszę — mężczyzna w chuście się ożywił. — Ze Schronu? Z Dziewiątki? Ja jestem z Piątki.

Kraków — pomyślał Adam, ale sam jeszcze się nie odezwał. Następny przedstawił się Piotr.

— Piotr z Gorzowa i…

— Anna — dziewczyna weszła mu w słowo, mając wrażenie, że ten będzie chciał przedstawić także ją. — Z Wrocławia.

— Hubert z Poznania — rzucił od niechcenia informatyk i odwrócił wzrok.

— Franek. I Jagoda — Franek ścisnął mocniej dziewczynkę w opiekuńczym geście. — Miło cię znów widzieć, tak przy okazji.

— Adam… Z Łodzi — przedstawił się Adam, który po usłyszeniu, że ich rozmówca jest z Piątki, a nawet wcześniej, gdy tylko zobaczył jego charakterystyczny ubiór, zaczynał mieć podejrzenia co do jego tożsamości. No i Franek go rozpoznał. Wyglądało na to, że cel podróży sam Adama znalazł.

— Jestem Rorsarch — padły w końcu te słowa, a wszyscy, z naciskiem na Adama i Piotra, otworzyli szerzej oczy. — Z Piątki, jak już wspomniałem. A to Ryszard. Ale skoncentrujmy się na razie na was. Co was sprowadza w te okolice? Myśleliśmy, że jesteście zwykłymi podróżnikami, ale wasze wyposażenie każe mi w to wątpić — wykonał ruch głową do tyłu, gdzie leżała cała broń osobista i z samochodu Franka.

— Jakkolwiek to nie zabrzmi, szukałem ciebie, Rorsarch — zaczął Adam, dość zdziwiony nagłym przypływem śmiałości. Ten uniósł brwi jakby zaalarmowany. — Chodzi o to, że od dawna słyszałem o twoich wyczynach. Pojawiłeś się w moim mieście, zrobiłeś porządek i zniknąłeś, a zdarzało ci się to w niezliczonej ilości innych miejsc. Moi przyjaciele polegli w Żarnowcu pięć lat temu… Od tamtego czasu tułam się, nie mając właściwie swojego miejsca. Postanowiłem cię odnaleźć. I pomóc.

— Poza tym uciekamy przed Pancerniakami — dodał Franek. — Są wśród nas tacy, których chcieliby oni dorwać…

— Z jakiegoś powodu uznali mnie za „niebezpiecznego zbiega” — wyjaśnił Adam, nie wiedząc, że Franek jeszcze nie skończył. — Pancerniacy mają układy z poznańską mafią. A ja byłem dla nich niewygodny. To… skomplikowane, ale…

— Chcą dorwać Jagodę — stanowczo oświadczył Franek, co nawet jego towarzyszy zbiło nieco z tropu. Bądź co bądź, nie mówił im o tym wcześniej. — Chcą dorwać Jagodę, bo jest wnuczką Arletty Novac.

Nazwisko Novac zwróciło uwagę większości osób. Jagoda opuściła głowę, jakby nieco się wstydząc. Będzie musiała znów słuchać o tym, co się wydarzyło w przeszłości…

— *Tej* Arletty Novac? „Minister Wojny”? — zdziwił się Piotr. — Tej, która stała na czele Paktu Ochronno-Gospodarczego, a w końcu i Polski, aż do samego końca?

— Myślę, że mogę wam zaufać — odparł Franek. — A to dobry argument, jaki moglibyśmy zaprezentować Rorsarchowi. Potrzebujemy sojuszników, którzy pomogą zapewnić bezpieczeństwo Jagodzie. Jej należy się władza, ale po obaleniu Federacji, jej osoba jest Pancerniakom bardzo nie na rękę.

— Kiedy bandyci porwali nas z Kościelca, spotkaliśmy Mikołaja i Krzysztofa, pamiętasz? — Oliwia szarpnęła Ariela za ramię. — Mikołaj opowiadał, że znali się z córką Arletty, Elizą. To musi być z kolei jej córka.

— Co wiesz o mojej mamie? — spytała Jagoda.

— Z tego, co opowiadał nam Mikołaj — kontynuowała Oliwia. — Była jednym z tych samotnych podróżników, co to przemierzają Polskie

Pustkowia. Obroniła wioskę Mikołaja i Krzysztofa przed bandytami. Wykazała się nie lada odwagą i walecznością. Bandyci zostawili wioskę w spokoju, a Krzysztof i Mikołaj ruszyli z Elizą w Polskę. Kobieta porzuciła ich, gdy zdecydowali się dołączyć do Kiboli. Od tamtego czasu nie spotkali jej ani więcej o niej nie usłyszeli. Kiedy się z nią widziałaś?

— Dawno temu...

— Nie martw się — odezwał się Rorsarch. Choć miał na twarzy chustę, zdawało się, że uśmiecha się do dziewczynki. — Zadbamy o to, byś była bezpieczna, póki jesteś pod naszą opieką. Jednakże — wrócił do poważnego tonu, a wzrokiem zmierzył dorosłych. — Nie jesteście bezpieczni, póki wśród was jest zdrajca. Skuć informatyka — oznajmił ku ogólnemu zdziwieniu.

— Co ty...?! — obruszył się Hubert. — Jak śmiesz mi zarzucać... — nim zdążył dokończyć, za nim był Dziesiąty, który niepostrzeżenie podkradł się do środka. Szybko zakuł chłopaka w kajdanki.

— Najmocniej was przepraszam — Rorsarch zwrócił się do dotychczasowych towarzyszy Huberta. — Ale dowody są niepodważalne. Za pomocą tego laptopa zdradzał waszą pozycję Pancerniakom. Sprawdziliśmy to, właściwie, to kiedy was zgarnialiśmy z samochodu, na ekranie było jasno widać, że się z nimi komunikuje. Wiedział o pochodzeniu Jagody. Bardzo was przepraszam, że w ten sposób musicie się dowiedzieć. I przysięgam, że to nie ma nic wspólnego z moją niechęcią do osób o tym imieniu.

— Ty skurwysynu! — Franek podbiegł do Huberta i uderzył go pięścią w twarz. — W zaufaniu ci powiedziałem!

— Jak mogłeś?! — obruszyła się Anka, patrząc na Huberta z pogardą jeszcze większą niż zwykle. — Dla Pancerniaków?!

— Dla Vinazzinich — sprostował, co z kolei wywołało reakcję Adama. — Mają układy z Pancerniakami…

— To oni mnie sprzedali Zero i wysłali na samobójczą misję do Suchorzowa… — przypomniał Adam i założył ręce, choć też go kusiło, żeby walnąć Huberta, choć jakoś tak nie mógł, kiedy ten był unieruchomiony. — I ty przez cały ten czas…

— Zabierz go do odosobnionego namiotu i przydziel mu do pilnowania Telepatę. Dla naszego bezpieczeństwa będzie tam do odwołania. Tymczasem mamy poważne zmartwienie, bo nie wykluczam możliwości, że Pancerniacy przeczesują okolicę i w końcu się na nas natkną. To nie jest scenariusz, jakiego bym sobie życzył, ale nie martwcie się. Jesteśmy w stanie odeprzeć grupę kilkudziesięciu dobrze uzbrojonych wrogów bez strat w ludziach. Weźcie swoją broń. Po zdemaskowaniu zdrajcy jestem przekonany, że mogę wam zaufać. Za wszelkie niedogodności najmocniej was przepraszam i zapraszam do skorzystania z ogniska.

— Mam… Jeszcze prośbę, Rorsarch. Dziesiąty wspomniał, że jest tu telepata, który może… *pokazać* moment wybuchu elektrowni w Żarnowcu. Tam zostali porwani i zginęli moi przyjaciele. Chcę… Wiedzieć, jak to się stało. Ze szczegółami.

— Tak, zgadza się. Dziesiąty, jak będziesz wracać, przyprowadź tego telepatę — powiedział Rorsarch, ani na chwilę nie podnosząc głosu, bo wiedział, że homunkulus go usłyszy nawet, jeśli zdążył już kawałek odejść. Miał wyjątkowo wyczulone zmysły.

— Może podejdę z dziewczynami do ogniska. Nie chcę, żeby musiały to oglądać — rzucił Ariel, a za nim ruszyły Oliwia i Jagoda. Anka była trochę zniesmaczona jego protekcjonalnym traktowaniem, no i miała inne plany. Rzuciła porozumiewawcze spojrzenie Piotrowi.

***

Telepata przyprowadzony do Adama wyglądał na wychudzonego i chorego podobnie jak pozostali telepaci. Adam starał się nie patrzeć w oczy humanoida, ale ten w końcu się odezwał.

— Spójrz mi w oczy. Wtedy ci pokażę.

— No... Dobrze — zgodził się. I odpłynął.

Adam usłyszał bez ostrzeżenia strzał. Chwilę zajęło zlokalizowanie źródła dźwięku. Wizja zesłana przez telepatę była tak realistyczna, jakby brał udział w tych wydarzeniach osobiście. Łysy mężczyzna o jasnej skórze z licznymi bliznami i przebarwieniami – to musiał być Zero - został postrzelony przez znacznie młodszego, dwudziestoparoletniego faceta z ciemnymi włosami i bródką, choć tym postrzeleniem nieszczególnie się przejął. Adam bez trudu rozpoznał Niemego. Zero powolnym, głębokim głosem powiedział coś do Niemego, chcąc osłabić jego czujność, po czym niespodziewanie wystrzelił w jego kierunku macki i starał się go oplątać. Ten walczył i udawało mu się to całkiem nieźle. Oswobodził się i prędko wyjął granat. Zaczął grozić, że wrzuci go do sali z reaktorem. Zero próbował go odwieść od tego pomysłu i przekonywać go, że to nie dzieje się naprawdę. Ruda, skradająca się za Zerem, strzeliła w jego stronę kilkukrotnie z pistoletu strzałkowego. A potem z pełnym satysfakcji uśmieszkiem zbliżyła się do Niemego, mijając po drodze truchło homunkulusa. Wypowiedziała imię Niemego, ale nim dokończyła, jego nóż zatopił się w jej szyi. Krztusząc się własną krwią i patrząc ze

zdziwieniem i przerażeniem na Niemego, upadła na kolana. Niemy sprawiał wrażenie szalonego. Jakby rozmawiał z własną ręką. W końcu wyciągnął zawleczkę. Uśmiechnął się. To koniec. A potem nastąpił błysk.

***

Adam wrócił do rzeczywistości. Odsunął się od Telepaty i odwrócił wzrok. Był dość skołowany i ciężko było mu złapać oddech. Już wiedział... Złe przeczucia co do Niemego były słuszne, ale... Teraz to było nieważne... Minęło pięć lat. Nikt ich chyba nie pamiętał poza nim i tymi, którym opowiedział ich historię. To tylko przed wojną, w erze internetu można było mieć złudzenie, że wszyscy o tobie pamiętają, bo twoje imię i nazwisko jest na tylu stronach. Twoja twarz na zdjęciach zapisanych w formacie .jpg na ogół. Teraz to wszystko nie miało najmniejszego znaczenia. Ludzie byli, ale przemijali, a ich imiona traciły na znaczeniu. Liczyli się tylko jako całość zawierająca w sobie jednostki rozproszone na trzystu dwunastu tysiącach kilometrów kwadratowych i łączące się w mniejsze lub większe grupy, skłócone ze sobą, toczące własną Bezcelową Wojnę. Do Adama dotarł bezsens tego wszystkiego i zdał sobie sprawę, że odnalazł Rorsarcha, ale po co? Ruszy z nim zmieniać Polskie Pustkowia i pomagać w odrodzeniu Polski? To już niemożliwe. Nie ma już nadziei. Grupy uzurpujące sobie prawa do rządzenia zostaną obalone. A jeśli po nich przyjdą kolejne, je również to spotka. Ludzie będą ginąć, może nawet któregoś dnia nikt się nie ostanie. Zastąpi ich inna cywilizacja. Albo nie. Proces ten będzie długi i żadna ze znanych Adamowi osób nie ujrzy ani nastania pokoju, ani ostatecznego końca. Ich życia będą tylko niewiele znaczącą chwilą walki o ochłapy od pana, który już dawno nie żyje.

Gdy rozejrzał się, nieopodal dalej stali Rorsarch, małomówny starzec Ryszard, a także Piotr, Anna i Franek. Dostali z powrotem swoją broń. Wyglądali na usatysfakcjonowanych.

— Adam. Już jesteś. Dowiedziałeś się, czego chciałeś z tej wizji?

— Tak... Nie wszyscy, których wspominałem dobrze, byli tacy, jak ich zapamiętałem... Tam w elektrowni, w Żarnowcu... Ruda zabiła Zero, lidera Upadłych... Ale sama została zabita przez Niemego, który tak długo z nią razem podróżował... Nie jestem w stanie tego pojąć... Co prawda on zniszczył reaktor, co poskutkowało zabiciem niezliczonej ilości Mutantów w okolicy, ale wiem, że to Rudej należą się laury za pozbycie się Zero... Uch, nie zasłużyła na taką śmierć...

— Nie łam się. To było dawno temu. Gdyby ciebie porwali razem z nimi, nie byłoby cię tutaj, a jesteś nam potrzebny — pocieszyła go Anna.

Przynajmniej próbowała. — A teraz weź swojego Gaussa. Zaraz ruszymy na zwiad i poznamy przy okazji okolicę. Prawda...? — te słowa skierowała do Piotra.

Piotr jednak wpatrywał się w Rorsarcha. Na kilka sekund zapadła kompletna cisza. Czuł spływający po skórze pot. W końcu uznał, że nie ma nic do stracenia.

— Jakkolwiek naprawdę się nazywasz, w imieniu Wielkiego Reformatora niniejszym skazuję cię na śmierć.

To powiedziawszy, Piotr błyskawicznie wyciągnął swoją katanę i zamachnął się w stronę nietrzymającego żadnej broni Rorsarcha. Nie docenił refleksu przeciwnika, bo ten zdążył się schylić, gdy tylko zauważył ruch ręki Piotra w stronę pasa. Włożył rękę do swojego buta i...

***

Ariel siedział z dziewczynami przy ognisku. Uznali, że poczują się swobodniej, jeśli kogoś poznają, a siwowłosa staruszka mogłaby być dobrym początkiem – a przynajmniej łatwiej będzie się z nią dogadać niż ze zdziczałymi na ogół Telepatami. Przedstawiła się jako Raszpula i zaczęła opowiadać o tym, jak wygnano ją ze wsi na północnym zachodzie.

W chwili, w której umiera w nas dziecko, zaczyna się starość.
- François Mauriac

Rozdział 8:
SZACUNEK DLA STARSZYCH

Bartosz „Bartosh” Majorczyk

Gęsta, poranna mgła rzedniała, odsłaniając piaszczysty brzeg. Uważny obserwator dostrzegłby ślady dwójki ludzi, skrytych jeszcze przez mleczny opar. Ten sam obserwator, gdyby zechciał poczekać jeszcze chwilkę, ujrzał by wkrótce dwie ludzkie sylwetki, z których jedna nieforemna, pokracznie kołysząc się na boki, podtrzymywała by drugą, zgarbioną i podpierającą się na podróżnym kosturze.

&&&

Wójt Oberst wspomina:
Wygnaliśmy ją z wioski. Razem z nią takiego zdeformowanego idiotę, Bożydara, który od kilku lat nie odstępował jej na krok. Raszpula była stara i zniedołężniała. Nie mogła już pracować w polu ani przy zwierzętach. Mieliśmy wówczas problemy, bo zboże zaatakował nam jakiś grzyb. W kłosie bywało że połowa ziaren była zarażona, a druga połowa zdrowa. Trzeba było wszystko ręcznie oddzielać. Mnóstwo pracy. Wiadomo było że jedzenia nie starczy. Tutaj, na Nowym Wolinie, kto nie pracuje, ten nie je.

&&&

— Chodź Bożuś, odpoczniemy trochę. Ile tak można łazić po tym piachu.

Staruszka odgarnęła z czoła lepkie pasma siwych włosów i siadła ciężko na wyrzuconym przez fale pniu. Jej towarzysz zakołysał się niezdecydowanie, po czym przysiadł ciężko obok, jednym pulchnym ramieniem otaczając szczupłą nogę kobiety. Z jego ust na piasek spadło kilka kropel śliny. Chłopak tępo wpatrywał się w piasek przed sobą, od czasu do czasu uśmiechając się głupkowato. Na jego twarzy próżno było szukać oznak intelektualnego wysiłku. Kobieta mechanicznie zmierzwiła mu skołtunione włosy, po czym wyciągnęła z kieszeni podniszczonej kurtki przeciwdeszczowej foliową torebkę z sucharami. Oszczędnie wydzielając dwie porcje mamrotała do siebie pod nosem. W końcu, gdy wypowiadane półgębkiem przekleństwa nie dały ukojenia, wybuchła gniewem z pełną mocą, wygrażając kościstą pięścią niebu.

— Niech ich najgorsza zaraza pochłonie! Tak mnie potraktować! Mnie! Zero szacunku dla wieku i siwych włosów! Za lata ciężkiej pracy, za tą całą harówkę w polu, tak mi podziękowano! Że skoro jestem stara i nie mogę pracować jak dawniej, to powinnam się wynieść?! Gnidy!

Chłopak widząc swoją towarzyszkę zagniewaną pisnął przeciągle i jeszcze mocniej objął jej nogę, wydając z siebie odgłosy przypominające chrumkanie świni.

—Widzisz, Bożuś, jak nas psie syny urządziły. Wygnali mnie, a przy okazji pozbyli się z wioski ciebie. W tym akurat przypadku słusznie, bo jesteś półgłówek i nie ma z ciebie żadnego pożytku. I teraz nie dość że muszę się tułać po bezdrożach, to jeszcze ty łazisz za mną. Jedzenie nam się kończy, a mnie krew zalewa i zaraz zejdę z tego świata ze zgryzoty. Niech ich wszyscy bogowie przeklną i ześlą trąd i skażenie!

Raszpula z wściekłością splunęła trzy razy.

— A jeśli już jesteśmy przy bogach, to Karaczanowa, matka twoja, to się zapewne smaży w piekle. Nie dość że żarła bez przerwy skażone żarcie, bo tańsze, to jeszcze dawała na lewo i prawo byle komu, i pewnie trafiła na gagatka, co to gołym zadem na reaktorze siedział. No nic… O zmarłych lepiej źle nie mówić. Mierzi mnie tylko że jak jej się matołek urodził to na złość bogom Bożydar mu dała. No masz, jedz. No puść nogę i jedz, mówię. Przecież cię nie zostawię.

Przez pewien czas słychać było tylko szum fal. Mgła ustąpiła całkowicie, odsłaniając linię brzegową i brudnoszare, mętne wody, rytmicznie zalewające plażę. Staruszka zazdrościła chłopcu jego mocnych zębów, które w kilku kęsach rozprawiły się z twardym jak kamień sucharem. Po kwadransie milczącej konsumpcji, gdy przełykała ostatni kęs, poczuła nagle nieprawdopodobny smród.

— Bożuś, na miłość bogów! Znowu sfajdałeś się w gacie? Mógłbyś darować sobie chociaż w czasie posiłków.
— Glubrub! Blaaarub? — Chłopiec przekrzywił głowę i rozdziawił usta.

Staruszka poczuła na twarzy że wiatr znów zmienia swój kierunek. W tym momencie ponownie do jej nozdrzy doleciał paskudny fetor. Potrzebowała chwili, aby uświadomić sobie, że zna ten zapach. Była to woń gnicia i rozkładu. Fetor śmierci. Ponaglany chłopak podniósł się z piasku i teraz kręcił się niepewnie wokół własnej osi. Kobieta mocniej wsparła się na wysłużonym kosturze, lecz zawahała się przy wyborze kierunku. Chwilę biła się z własnymi myślami, po czym zdecydowanie ruszyła przed siebie.

&&&

Znaleźli go w małej zatoczce, kilkanaście metrów od miejsca, w którym odpoczywali. Leżał między dużymi kamieniami, napuchnięty od wody. Piasek i głazy pokryte były krwią i wnętrznościami, rozwleczonymi przez ptactwo. Gdy razem odwracali go, mazista tkanka i kawałki munduru zostawały im w rękach. Raszpula cudem tylko nie zwróciła posiłku, dusząc się w oparach rozkładu. Bożydarowi najwyraźniej smród nie przeszkadzał. Mężczyzna nie miał właściwie twarzy. Pocisk wszedł tyłem, przez potylicę a z przodu wyrwał

pół głowy. Nie to jednak przykuło uwagę kobiety. Spod trupa wyciągnęła zabłocony karabinek. W ładownicach na kamizelce taktycznej wciąż tkwiły magazynki pełne drogocennych naboi. Kobieta krótkim nożykiem przecięła brezentowy pasek, uwalniając znalezisko. Przepłukała je kilkukrotnie, pozbywając się błota i wnętrzności. Krótka lufa, charakterystycznie wygięty magazynek, ślady świadczące o tym, że broń używana była od bardzo dawna. Bożydar kręcił się obok, z głupkowatym wyrazem twarzy przypatrując się trzymanym w dłoniach zapasowym magazynkom. Staruszce przestał przeszkadzać smród. Intuicja ją nie zawiodła i teraz miała w ręku coś, za co z pewnością uda im się przez pewien czas dostatnio pożyć. Bogini Fortuna łaskawie patrzy na starych ludzi.

Po raz pierwszy od wielu tygodni na pomarszczonej twarzy kobiety zagościł uśmiech.

&&&

Wójt Oberst wspomina:
Znaleźli jednego trupa, co to ich po tej bitwie o tamę Gdańską pełno było w wodzie.
Mój pech a ich szczęście, że trafili na niezłe cudeńko. Krótki automat z dawnych czasów. Konstrukcja nie do zdarcia. Niech przeklęty będzie ten dzień…

&&&

Siedzieli przy ognisku, z lubością wyciągając przemoczone nogi w kierunku zbawczego ciepła. Pokryte wątrobowymi plamami dłonie Raszpuli ponownie spoczęły na broni. Z uporem próbowała zgłębić zasadę działania znaleziska. Bezskutecznie. Strażnicy w wiosce mieli prymitywne samopały na czarny proch. Tam trzeba było tylko pociągnąć za cyngiel i broń strzelała. Tutaj nie wiedzieć czemu po naciśnięciu spustu nic się nie działo. Kobieta z pewną obawą pomyślała że broń jest zepsuta, co z pewnością wpłynie na jej wartość. Bożydar siedział tuż przy niej, trzymając w obu dłoniach, niczym strzelbę, znaleziony gdzieś patyk.
Chichocząc wydawał z siebie odgłosy strzałów. Jeszcze we wsi uwielbiał kręcić się koło strażników, udając z poważną miną że jest jednym z nich.

— Widzisz, Bożuś. Bogowie mają nas w swojej opiece. Nie pozwolili nam zmarnieć do szczętu. Okazali łaskę. Dojdziemy teraz do jakiejś osady, gdzie wymienimy spluwę i naboje na kwaterę i jedzenie. Dużo jedzenia. Potem się zobaczy co dalej.

Na gałęzi rozłożystego dębu przysiadł duży i tłusty kruk, który rozwrzeszczał się przez chwilę swoją chropowatą, ptasią mową, nim zajął się

czyszczeniem piór.

— Ach, gdyby to ustrojstwo działało i był tu z nami jakiś człowiek o młodych oczach i pewnej ręce. Ustrzelił by tego czarnego gada i upiekli byśmy go sobie nad ogniem. Co tam Bożuś tak się patrzysz? A masz, pobaw się. I tak jest zepsute.

Chłopiec rozdziawił gębę w parodii uśmiechu. Z nosa zwisał mu długi glut. Od chwili gdy automat spoczął w jego dłoniach do momentu oddania strzału minęły sekundy.
Niezgrabne dłonie o krótkich, tłustych paluchach sprawnie przełączyły bezpiecznik. Krótki ruch i trzask puszczonego suwadła przy wprowadzaniu naboju do komory. Płynny obrót w stronę drzewa. Raszpula przerażona hukiem i ogłuszona bliskością wystrzału padła na plecy. Gdy się podniosła, ptak siedział jeszcze na gałęzi, a w miejscu odstrzelonej główki trysnęła fontanna krwi. Chłopiec zerwał się na nogi i potrząsając dymiącym karabinkiem odtańczył niezgrabnie radosnego oberka wokół ogniska.

Jakiś czas później okolica wypełniła się zapachem pieczonego na ogniu ptaka.

&&&

— A o tam, Bożuś, tamten duży głaz, na wzniesieniu.

Huk wystrzału. Fragmenty skały oderwały się od wskazanego celu. Raszpula klasnęła w dłonie z uciechy.

— A teraz to małe drzewko, tam przy bagnisku!

Huk wystrzału.

— Ha! Tym razem pudło! Widzisz! Stoi dalej.

Zerwał się wietrzyk. Rozkołysane drzewko przez chwilę opierało się masie powietrza, by po chwili złamać się w pół.

Kolejna porcja chrustu wylądowała w ognisku. Ogryzione do czysta ptasie kości walały się wokoło.

- Wiesz co, Bożuś. Zmiana planów. Wracamy do wioski...

&&&

Wójt Oberst wspomina:

Wróciła po trzech dniach, wlokąc ze sobą matołka. Jeden ze strażników kazał jej wracać, a gdy go zignorowała, podszedł do niej i chciał zdzielić ją pięścią w twarz. Jego uniesiona dłoń podobno eksplodowała, rozerwana pociskiem. Bożydar nawet nie zmienił głupkowatego wyrazu twarzy, gdy złożył się do strzału. Jak nadbiegłem stali tam nadal. Czekali na mnie. Tego dnia straciłem trzech ludzi, który nierozważnie próbowali interweniować. Matoł nie chybiał. A wystarczyło że Raszpula wskazała kogoś palcem. Swój rewolwer zostawiłem w chacie, zresztą bałem się tak bardzo, że pewnie nie dałbym rady strzelić. Ci, co mieli samopały leżeli w kałużach krwi. Czekałem tylko aż starucha wskaże na mnie, i kulka przewierci mi głowę.

&&&

— Powinniście się wstydzić! Bezwartościowa hołota! Zero szacunku dla samych siebie. Od lat tworzyliśmy wspólnotę. Przeżyliśmy razem wiele ciężkich momentów i jakoś wioska dalej stoi jak stała. Ani bandyci, ani zaraza, nic nie było w stanie nas pokonać. Aż kochanemu naszemu wójtowi przyszło na myśl, że trzeba pozbyć się staruszki, która nie może unieść motyki. Czy nie rozumiecie, że dzisiaj ja, a jutro któreś z was? Przecież nie młodniejecie z każdym dniem. Przyjdzie czas że i szanowny pan wójt zgłupieje do reszty i nie będzie w stanie nawet do wychodka trafić, nie mówiąc o zarządzaniu wsią. I co wtedy? Trzeba go będzie kopnąć w zad, bo będzie bezwartościowy. Do normalnej roboty nie nadawał się przecież już od dawna. Wy bando ignorantów! Niech was diabli!

Wójt stał obok, mnąc w rękach czapkę ze spuszczoną głową. Zebrani na placu mieszkańcy wyglądali niewiele lepiej. Tylko Bożydar cieszył się jak dziecko. Przed chwilą sfajdał się w gacie.

&&&

Wójt Oberst wspomina:
Zabrała konia, wóz i sporą część naszych zapasów. Nikt nie śmiał się sprzeciwić. Ci ze strażników, którzy pozostali przy życiu, roztropnie odłożyli samopały. Odjechała na południe, na odchodnym racząc nas kolejną dawką przekleństw. Najgorsze jest to że musiałem uprać matołkowi spodnie. Nie chcę o tym mówić dalej. Od tej pory zrezygnowałem z wypędzania tych, co to się do pracy nie nadają. Niech już sobie siedzą i nie przeszkadzają. A tak by się porozłazili po okolicy z pretensjami i cholera wie, co który by znalazł.

Po tej bitwie od groma trupów pływało…

Im bardziej rzeczy się zmieniają, tym bardziej pozostają takie same.
- Jean-Baptiste Alphonse Karr, *Osy* (1849)

Rozdział 9:
BEZ CELU V

Kamil Kwiatkowski

Niektórzy przytakiwali. Inni nie wiedzieli, jak zareagować. Jagoda zadawała staruszce pytania, ale Oliwia spojrzała w stronę największego namiotu. Zdawało się jej, że usłyszała odgłosy walki. Możliwe, że się nie pomyliła, bo strażnicy sprzed namiotu w pośpiechu do niego weszli.

— Coś się stało — szepnęła do Ariela. — W namiocie...

— Co...?

Ariel wstał i skierował się w stronę, z której dobiegł hałas. Oliwia poszła za nim, zostawiając w tyle Jagodę, zainteresowaną opowieściami Raszpuli. Po wejściu zobaczyli, że strażnicy celują w Adama i Ankę, którzy upuścili swoją broń. Rorsarch trzymał wyciągnięty nóż nad Piotrem leżącym na ziemi i trzymającym się za obficie krwawiące gardło. Obok leżała jego katana, która nie sięgnęła oponenta.

— Ktoś kiedyś powiedział mi, żebym nigdy nie miał pustego buta. I cholera, miał rację — powiedział Rorsarch i schował nóż na swoje miejsce. Przetarł dłonią czoło. — To już ostatnia niespodzianka, prawda? Nie chcę wierzyć, że któreś z was też jest od Reformatorów.

— Nie... Nic nie wiedziałem, przysięgam... Mówił tylko o „Odrodzeniu", nigdy nie mówił o „Reformatorach"... — tłumaczył się Adam, wyraźnie zszokowany, ale mówiący szczerze.

— Również nic nie wiedziałam — dodała Anna. Adam zwątpił w jej szczerość, ale nie skomentował tego w żaden sposób, żeby ich nie pogrążyć.

— Miałem trochę na pieńku z Wielkim Reformatorem. Ich Święta Krucjata przyniosła wiele szkód wschodniej części Pustkowi. Szturmowali Babilon pięć lat temu, do walki z Barbarzyńcami wykorzystywali miotacze ognia. I... Tak jakby zepchnąłem go z muru prosto w ich własne płomienie... Ale nieważne.

— Też tam byłem i walczyłem — dodał El Zapatilla, którego do tej chwili Ariel i Oliwia nie zauważyli. — Oczywiście po właściwej stronie. Stronie mojego ludu.

— Przestańcie... — odezwała się Anka z narastającą paniką w głosie. Wskazała na Piotra. — Trzeba mu pomóc, może jeszcze przeżyć...

— Przed chwilą próbował mnie zabić — zauważył Rorsarch. — Ale masz rację. Nie jestem okrutny. To była samoobrona. Nie będzie mógł tu jednak zostać. Nie mogę pozwolić na to, by któregoś dnia to on poderżnął mi gardło — odsunął się od Piotra, który zdawał się chcieć sięgnąć po miecz.

Ostatkiem sił mężczyzna skierował ostrze ku sobie, dając wyraźny

sygnał, że nie chce litości. Splamił swój honor porażką i zdaniem na łaskę przeciwnika. Anna zasłoniła dłońmi usta. Adam odwrócił wzrok. Pozostali zareagowali podobnie.

— Robert, bardzo cię proszę. Wynieś go poza teren obozu — powiedział Rorsarch. — I zakop.

Mutant zgodził się, montując działko na plecy i biorąc zwłoki w ręce ze swojego rodzaju troską. Wychodząc, starał się to zrobić tak, by nikt nie zauważył, co niesie.

— Przepraszam was — powiedział Rorsarch i usiadł. — Nie chciałem, żeby zdarzyło się tu cokolwiek takiego. Pozostaje mi mieć złudną nadzieję, że kiedykolwiek mi wybaczycie. Ale nie oczekuję tego od was. Długo go znaliście?

— Parę lat — odparł Adam. — Mówiłem mu, że cię szukam, ale nigdy nie wyjawił swojej prawdziwej opinii na twój temat.

— Nie znałem go długo, poznaliśmy się może ze dwa tygodnie temu. Wydawał się porządnym człowiekiem. Ale najwyraźniej zbyt oddanym swojej sprawie.

Anna się nie odzywała, choć to ona znała Piotra najdłużej. Jeszcze zanim natknęli się na ludzi z Dziewiątki.

— Czyli, krótko mówiąc, poległ dlatego, że wyznawał inną ideę niż jego rozmówca — podsumował gorzko Adam. Pokiwał głową z niedowierzaniem. — Mówią, że idee są nieśmiertelne, ale jak dla mnie wszystkie powinny umrzeć. Zbyt wielu ludzi przez nie cierpi.

— Powinniście coś zjeść i wypić — zaproponował Rorsarch, zdając sobie sprawę, że to pewnie ostatnie, o czym myślą w tej chwili.

Wtedy nagle usłyszeli strzały z działka obrotowego w oddali.

— Robert musiał kogoś zauważyć — nerwowo zdał sobie sprawę Rorsarch. — Bierzcie broń.

— Jagoda...! Jagoda! — Franek zaczął wołać. — Była z wami, prawda? — zwrócił się do Oliwii i Ariela.

— Tak, na pewno... — Oliwia obejrzała się, ale przy ognisku nie było już ani staruszki, ani dziewczynki, a Telepaci medytowali.

— Mieliście jej nie spuszczać z oka... Na pewno się gdzieś schowała, tak jak jej mówiłem, gdy usłyszy strzały. Znajdzie się... — zapewniał samego siebie Franek i schował u pasa nóż, a w ręce wziął kałacha z kosza z bronią.

— JESTEŚMY ATAKOWANI — w ich głowach rozległ się głos Telepaty.

Adam podniósł swojego Gaussa, a Anka MAGa. Ariel znalazł pistolet Andrzeja Niewolskiego i spojrzał na Oliwię, która mrużyła oczy i krzywiła się ze strachu. Ryszard wziął jeden z pistoletów i wybiegł na zewnątrz, choć dało się zauważyć, że to nie było na jego lata. Dziesiąty już dawno pobiegł w stronę zagrożenia. Adam przyglądał się jeszcze przez chwilę katanie Piotra, która została na ziemi i postanowił ją wziąć. Może się przydać do ewentualnej walki w zwarciu. Oliwia w końcu dała się przekonać i chwyciła drugiego MAGa, choć przy tym prawie się rozpłakała. Wolną dłonią Ariel pogładził ją po plecach uspokajająco.

— Nie martw się, na pewno nie będziesz musiała go użyć. Ale jeśli zajdzie taka potrzeba, nie wahaj się — zapewniał ją.

— CZARNE PANCERZE — rozległ się głos Telepaty. — CZERŃ I ŻÓŁĆ. CIĘŻKO PRZEBIĆ SIĘ PRZEZ ICH HEŁMY. MAJĄ BLOKADY.

Adam i Anka spojrzeli po sobie i po Rorsarchu, który zaopatrzył się w wielkokalibrowy karabin wyborowy.

— Pancerniacy — powiedział. — Wasz kolega zdążył ich tu ściągnąć.

Robert czuł na sobie smagające go kule i lasery nadciągające od oddziału w pancerzach w barwach czerni i żółci. Trzymał się twardo, ale był zbyt powolny. Dołączyli do niego Dziesiąty, kilkoro Mutantów uzbrojonych głównie w broń ciężką oraz Barbarzyńców i Zieloniaków ze strzelbami i karabinami, którzy mieli swoje namioty trochę dalej. Ci ostatni padali najszybciej. Mutanci byli w stanie znieść znacznie więcej. Amunicja Pancerniaków zdawała się być nieograniczona.

— Podejdę bliżej! — zawołał Dziesiąty do Roberta. — Może jeśli zobaczą, że nie są w stanie mnie zranić, wycofają się!

Homunkulus był pewny siebie. Przeładował strzelbę i zaczął szaleńczy bieg pośród kul i wiązek lasera, czasem obrywając nawet od swoich, ale zdawał się tym nie przejmować. Dzięki nadludzkiej regeneracji i niemożności odczuwania dotyku i bólu, był superżołnierzem, jakiego życzył sobie rząd przed wojną. Podbiegł tak blisko, jak się dało i celował w głowy żołnierzy w czarnych pancerzach. Mieli najlepsze uzbrojenie i opancerzenie na całych Polskich Pustkowiach, ale homunkulusy, nawet pojedynczo, były zdolne niszczyć całe armie.

Pojedynczy Pancerniacy padali nawet nietrafieni pociskami, najwyraźniej Telepatom udawało się czasem przebić przez ich osłony. Naboje jednak nie robiły na nich zbyt wielkiego wrażenia i śmiało posuwali się do przodu. Szyk popsuł im się w okolicy Dziesiątego, ale zdołali go otoczyć. Ten oczywiście się nie przeraził, nawet wtedy, gdy w jego stronę poleciało kilka granatów. Tracił kawałki skóry, które starał się szybko zregenerować, ale widać było coraz więcej jego metalowego szkieletu. Kilkudziesięciu

Pancerniaków celowało w jego głowę karabinami laserowymi. Spodobała mu się ta broń, więc wyrwał ją jednemu z nich i sam zaczął z niej korzystać, gdy skończyły mu się naboje do strzelby. Okazało się to znacznie skuteczniejsze.

Nieopodal Robert wciąż walczył. Dzwoniło mu w uszach. Choć był nadnaturalnie silny i wytrzymały, nawet on miał swoje granice. Przypomniało mu się, jak pracował w Suchorzowie przy unowocześnianiu energetyki jądrowej... I nie wiedzieć czemu, przypomniał mu się ten młodzieniec, Echo... Jak mówił... „Byłeś człowiekiem".

— Byłem człowiekiem! — krzyknął. — BYŁEM CZŁOWIEKIEM!

Robert, pokojowo nastawiony Mutant, który od lat marzył o życiu pośród ludzi i sam był kiedyś człowiekiem, zginął z ich ręki. Padł otrzymawszy kilkanaście strzałów w głowę. Zanim stracił świadomość, zdążył zobaczyć, jak opancerzeni ludzie biegną w stronę obozu. Zamknął oczy z poczuciem, że zawiódł.

Chociaż Dziesiąty zatrzymał przy sobie grupę Pancerniaków, swoją drogą coraz bardziej zacieśniającą się wokół niego, nie mógł powstrzymać pozostałych oddziałów. Zobaczył, że wszyscy Zieloniacy padli, podobnie jak część Mutantów, w tym Robert. Nie znał jednak uczuć, więc zaakceptował ten fakt bez żalu i walczył dalej sam.

Gdy Hubert usłyszał strzały, był pewny, że to Pancerniacy przybyli mu na ratunek. Ostatnie, co pamiętał, to wizyta w dużym namiocie i że został zdemaskowany. Teraz był w dużo mniejszym namiocie... I jeśli jakiś Telepata miał go pilnować, to teraz go przy nim nie było. Na pewno pobiegł do swoich, bronić wioski. Miał na sobie kajdanki i czuł ból siniaków na twarzy... Tak, uderzyli go parę razy, pamiętał... Ale nogi miał wolne. Z pewnym trudem, ale wstał i wyszedł z namiotu. Zobaczył, że grono Telepatów wokół ogniska się pomniejsza. To znaczy, ich siły mentalne przegrywały z laserami Pancerniaków. Hubert się rozejrzał i pobiegł w kierunku, z którego przychodzili Pancerniacy.

— Hej! To ja was tu sprowadziłem! Należę do Vinazzinich! Mieliśmy układ!

— Jakiś nieuzbrojony więzień do nas biegnie — rzucił jeden z Pancerniaków na granicy obozu.

— Zastrzelić. Mamy wyraźne rozkazy, zabić wszystkich oprócz Novac — przypomniał mu drugi.

Hubert nie słyszał, co do siebie mówili, ale nim zdążył dojść do wniosku, że bieg w ich stronę był złym pomysłem, wiązka lasera trafiła go prosto w czoło. Zmarł na miejscu.

W namiocie obok na dogodny moment czekał El Zapatilla. Trochę zwątpił w swoje szanse, widząc, jak nawet *Telepaci* padają jeden po drugim.

Nie mógł sobie jednak pozwolić na ucieczkę. Nie zdążył ubrać zbroi. Nie przeżyje ostrzału. Trzymał miotacz ognia. Ustawił się i powiedział sobie, że jeśli tylko zauważy przechodzącego wroga, wystrzeli w niego płomienie i usmaży go w jego własnym pancerzu. Przykucnął, obawiając się, że będą strzelać w namiot. W końcu nadszedł ten moment. Ciemna postać szła bardzo blisko namiotu. El Zapatilla uczynił, co planował, przypiekając Pancerniaka, który stracił równowagę i upadł. Zaraz jednak w stronę El Zapatilli poleciał grad pocisków i wiele z nich trafiło. Odrzuciło go do tyłu, a miotacz przez chwilę był skierowany na ściany namiotu, które po chwili zaczął trawić ogień. Zapatilla rzucił miotacz i spróbował się przecisnąć przez przerwę pod, póki co, wolną od ognia tylną ścianą namiotu. Zanim to zrobił, poczuł trafienia w nogi i plecy. Nie był już w stanie się podnieść. Zaczął krzyczeć z bezsilności. Płonący namiot wkrótce się zapadł i stał się jego grobem.

Franek szukał Jagody. Kiedy zauważył Pancerniaka, strzelał celnie i skutecznie. Podniósł leżący przy jednym ciele karabin laserowy, uznawszy go za nieco bardziej skuteczną w walce z opancerzonym przeciwnikiem broń niż kałasznikow. Miał doświadczenie i mierzył się tak z potworami, jak i ludźmi, ale jeszcze nigdy nie czuł takiego strachu. Szczególnie, że nie wiedział, gdzie jest Jagoda.

— Jagoda! Jagoda! — wołał.

Biegał od namiotu do namiotu. Zauważył, że jeden z nich płonie.

— Cholera! JAGODA!

Był w ciągłym ruchu i ciężko było go trafić. Stał nad ciałem jednego z Pancerniaków. Pozostali byli nieco dalej, zajęci walką z pozostałymi przy życiu Telepatami i Mutantami. Oddychał ciężko. Był na dogodnej pozycji. Zaciągnął ciało za namiot i zdjął z niego hełm. Gość dostał w szyję. Franek obejrzał wnętrze hełmu. Dużo elektroniki. Gdyby miał przy sobie te granaty elektromagnetyczne... Przypomniał sobie, że zabrali całą broń z auta do największego namiotu. Założył szybko hełm i pobiegł co sił w tamtym kierunku. Przy okazji zobaczył, jakie pomoce zapewnia taki zaawansowany technologicznie hełm. Wyraźnie widział sylwetki żywych istot. To jest to, czego potrzebował. Rozejrzał się szybko. W palącym się namiocie zobaczył tylko jedną osobę w płomieniach. To chyba był ktoś z ich strony. Pomógł zdjąć trzech Pancerniaków, którzy podeszli za blisko do Telepatów i ci obezwładnili ich swoimi mentalnymi mocami. I wszedł do największego namiotu. Nikogo już w nim nie było, ale była broń. Otworzył skrzynkę z granatami i wyjął dwa ręczne przeciwpancerne i dwa elektromagnetyczne. Poza jednym, który trzymał wciąż w lewej ręce, schował je po kieszeniach. Widząc, że nadchodzi fala Pancerniaków, nacisnął przycisk, wybiegł z namiotu i rzucił go w ich stronę, a potem przykucnął i zaczął strzelać do nich z karabinu. Poczuł szarpnięcie w prawej nodze, a potem w lewym ramieniu. Zobaczył, jak Pancerniacy mają chwilę słabości, bo elektronika padła i nie mają wspomagania celowania. Upuścił karabin, wyciągnął granat, zdjął zawleczkę i rzucił w ich stronę. Zanim zginęli, zdążyli posłać kilka serii we Franka, którego

odrzuciło do tyłu. Zanim poczuł rozrywającą również jego eksplozję na skutek trafienia laseru w granat w jego kieszeni, przed oczami stanęła mu Jagoda. I Eliza. Walczył do końca i starał się najlepiej jak potrafił. W myślach prosił Elizę o przebaczenie. Odpowiedzi się nie doczekał.

Rorsarch dobiegł z Adamem, Anną, Arielem i Oliwią do samochodu. Szczęśliwie był zaparkowany nie tam, skąd przybywały oddziały Pancerniaków.

— Wsiadajcie. Kluczyki zostawiliśmy w środku — poinformował Rorsarch.

— Ja pokieruję — powiedział Adam. — Ale co z Frankiem i Jagodą?

— Nie mamy czasu. Musimy jechać, póki żaden z Pancerniaków nas nie zauważył

— Dajmy im jeszcze pięć minut. Błagam.

— Telepaci wciąż się ze mną kontaktują. Jest ich coraz mniej. Blokują przejście przy ognisku, ale wkrótce nie wytrzymają. Zieloniacy padli, Barbarzyńcy też, Mutanci, łącznie z Robertem, także. Dziesiąty jest zbyt daleko i najpewniej jest unieruchomiony. El Zapatilla nie żyje. Przed chwilą zginął jeden z waszych.

— To musiał być Franek... Co teraz? — Anna przygryzła wargi.

— Jagoda wciąż może gdzieś tam być — powiedział Adam, któremu zależało na jej losie. Poza tym czuł się zobowiązany wobec Franka, żeby się nią zaopiekować. — Czy możesz ich jakoś zapytać, poprosić... Żeby wskazali drogę do Jagody?

— Dobra... — odparł Rorsarch i po kilku sekundach przytaknął. — Pod wzgórzem jest mała jaskinia. Raszpula zaprowadziła tam Jagodę.

— Biegnę tam — oznajmił stanowczo Adam. — Powiedz mu, żeby mnie prowadził. A reszta niech pakuje się do wozu.

— Jeśli nie wrócisz za trzy minuty, ruszamy. Telepaci dłużej nie dadzą rady.

— Przyjąłem.

— Idę z tobą — powiedziała Anka.

— Nie! Pakuj się do wozu! — odparł jej stanowczo Adam.

— Nie kłóć się, tylko biegnij już w tamtą stronę — rzuciła do niego, nie bardzo się przejmując jego zdaniem. — A ty Rorsarch — zwróciła się do byłego neuroinformatyka. — Wiedz, że skłamałam. Byłam Reformatorką. Ale widząc to, jakim jesteś człowiekiem i co tu się działo, nie byłam w stanie postąpić zgodnie z rozkazem. Porzucam Reformatorów.

— To już nieważne — odpowiedział Rorsarch. — Biegnij za Adamem, jeśli chcesz mu pomóc.

— Ja też — powiedział Ariel w przypływie heroizmu. — Sami mogą nie dać rady, a tu na razie nie ma wroga.

— Ariel, no co ty…?! — zaprotestowała Oliwia.

— Wrócę — pokazał pistolet Andrzeja Niewolskiego i pobiegł razem z Anną za Adamem.

— Ariel…

Jaskinia była dość ciasna, ale dawała jako takie poczucie bezpieczeństwa. Co jakiś czas dało się poczuć mocniejszy wstrząs i spadające kamyki, ale odgłosy wystrzałów były odległe i przytłumione. Jagoda nie miała pojęcia, co się dzieje na górze. Ale czuła w głowie jakby łaskotanie. Po chwili usłyszała głos.

— RATUNEK NADCHODZI.

Jagoda obejrzała się we wszystkie strony. Raszpula ją zapytała:

— Co się stało, dziecinko?

— Usłyszałam głos. Że ratunek nadchodzi. Na pewno Franek po mnie idzie, nie pozwoli mnie skrzywdzić… Ale co to za głos? Jest taki dziwny… I głęboki….

— To głos Telepaty. Mogą się porozumiewać za pomocą myśli. Uwierz mi, dobrze, że mamy ich po swojej stronie.

Jagoda się skuliła i pomasowała ramiona. Robiło się jej zimno. Po jakiejś minucie zobaczyła Adama, a zaraz po nim Ankę i Ariela. Ucieszyła się na ich widok, choć zdziwiło ją, że to nie Franek po nią przybył.

— Jesteście! — zawołała. — Uciekamy stąd?

— Tak. Na górze trwa walka. Biegniemy do samochodu. Mamy mało czasu — wyjaśnił krótko i spojrzał na staruszkę. Czy da radę dobiegnąć? Wziął Jagodę na ręce.

— Ale gdzie jest Franek…? — pytała Jagoda.

— Czeka w samochodzie — skłamała Anka bez większego zastanowienia, żeby nie martwić małej. — Chodźmy.

To było kilkaset metrów. Zanim przebiegli pierwszą setkę, poczuli niesamowity ból w głowie, jakby krzyk dziesiątek tysięcy osób. Upadli na ziemię i dyszeli ciężko. Przez chwilę nie byli w stanie się podnieść.

— Co to było…?! — rzucił Ariel.

— Mogę się tylko domyślać — mówił Adam. — Ale chyba właśnie straciliśmy Telepatów. Nie słyszę już myśli, które zsyłał, kiedy wskazywał mi kierunek. Szybko, biegniemy!

Bieg. W pewnym momencie, słysząc pojedynczy strzał i krzyk, Ariel obejrzał się za siebie. Raszpula upadła. W pewnej odległości od niej zaczęli pojawiać się pojedynczy Pancerniacy. Jeszcze nigdy nie poczuł takiego strachu. To było gorsze niż starcie z Kibolami siedem lat temu...

Widzieli już Rorsarcha. Oddawał strzały ze swojego karabinu wyborowego. Był znacznie bardziej doświadczony i jego strzały były celniejsze. Zdjął jednego, a potem drugiego, jednak wciąż nadciągali. W pewnym momencie kula przebiła szybę samochodu. Siedząca w środku Oliwia krzyknęła. Adamowi jednak nie pozostało nic innego jak polecenie Jagodzie się skryć w samochodzie. Ta rozglądała się nerwowo i szukała wzrokiem Franka. Była bliska płaczu

— Gdzie jest Franek...? Gdzie on jest?!

Adam zasiadł za kierownicą, nacisnął sprzęgło, przekręcił kluczyk i włączył pierwszy bieg. Rorsarch oddał jeszcze dwa strzały i nie sprawdzając, czy trafił, pobiegł na przednie siedzenie. Oliwia na lewym tylnym siedzeniu uścisnęła mocno Jagodę, której nikt nie odpowiadał na pytanie i schyliła się razem z nią, bojąc się nadlatujących pocisków. Anna wepchnęła z prawej strony, kląc, gdy poczuła jak siada na rozbitym szkle, ale nie było czasu, żeby się tym przejmować. Ariel był już przy drzwiach i powiedział:

— Oliwia, już jestem!

To były ostatnie słowa Ariela. Dostał prosto w głowę i osunął się, a jego ręka dotknęła jeszcze Anki.

— Jedź! — ta rozkazała stanowczo Adamowi.

Oliwia i Jagoda krzyknęły i rozpłakały się. Adam zaczął równomiernie puszczać sprzęgło i naciskać gaz. Ruszył. Bezwładne ciało Ariela zostało w tyle, a Pancerniacy jeszcze dalej. Próbowali oddać jeszcze parę strzałów, ale nie udało im się. Anka zamknęła drzwi. Oliwia i Jagoda płakały bez przerwy jeszcze przez kilkanaście minut. Nikt nie śmiał odezwać się aż do wyjazdu z obrzeży Świecących Pustkowi.

***

Kilka kolejnych dni było bardzo trudnych. Brakowało jedzenia i picia. Prawie w ogóle ze sobą nie rozmawiali. Nie myli się. Najgorzej było z Oliwią. Adam przejął rolę Franka i często tulił Jagodę. Ta sama szybko domyśliła się, że Franek zginął i dlatego na niego nie czekali. Choć zdawała się pogodzić z tym faktem łatwiej niż Oliwia z utratą Ariela. Wielokrotnie złorzeczyła im, zarzucając, że gdyby nie ruszyli z nimi, to by się nie stało. Ale co gorsza, obwiniała też Jagodę, bo przecież to po nią trzeba było wracać i to dlatego Ariel zginął. Adam oczywiście gorliwie bronił Jagody. Anka i Rorsarch się nie

wtrącali. Dopiero któregoś dnia, gdy byli już daleko, Rorsarch powiedział do Anki i Adama:

28 lipca 2080

— Zamierzam wysadzić schron Pancerniaków w Kutnie.

— Jak zamierzasz tego dokonać? — spytał zdziwiony Adam.

— Mam swoich przyjaciół tu i tam. Zdobędę materiały, zinfiltruję schron i zniszczę Pancerniaków od środka. Bez dowództwa łatwiej będzie ich obalić w poszczególnych miastach, gdzie przejęli władzę. Sam mogę jednak nie dać rady. Ale nie będę kłamać, to może być najtrudniejsza misja, w jakiej brałem udział. Czy chcecie mi pomóc?

— Cóż, gdybyś mnie spytał parę lat temu, odparłbym bez zastanowienia, że tak, ale teraz, po tym wszystkim… — odparł bez przekonania Adam.

— Ja pójdę — odpowiedziała zdecydowanie Anna. — Jeśli potrzebujesz kogoś, kto zna się na infiltracji, to ja ci się przydam. Poza tym bardzo bym chciała powybijać tych sukinsynów, nie mówiąc już o tym, że… Chyba powinnam trochę odzyskać w twoich oczach po tym epizodzie z Reformatorami…

— A weź przestań — Rorsarch machnął ręką. — Nie było sprawy. Byłaś gdzie byłaś, to już nieważne. Istotne jest, że teraz jesteśmy po tej samej stronie. To ja cię powinienem przeprosić za Pio…

— Przestań — powiedziała szybko, zanim ten dokończył. — Masz rację. Przeszłość to przeszłość. *Let bygones be bygones*.

Nagle podbiegła do nich Jagoda od strony stojącego nieopodal lasu.

— Szybko! Pani Oliwia, ona…!

Wszyscy szybko pobiegli za Jagodą. Kilkanaście metrów dalej zobaczyli Oliwię jak siłuje się ze źle zawiązanym sznurem i wisi parędziesiąt centymetrów nad powierzchnią ziemi na gałęzi. Chciała się powiesić. Adam i Rorsarch szybko ją zdjęli, choć ta się rzucała i protestowała. W końcu się rozpłakała i nie reagowała na to, co się do niej mówiło. Nie chciała słuchać. Była zła, że jej przeszkodzili. Zaprowadzili ją do samochodu i mieli na nią oko.

Było z nią źle, choć do tej pory nie przypuszczali, że aż tak bardzo. Kilkadziesiąt minut później Adam usiadł obok niej i spytał:

— Dlaczego to zrobiłaś?

— A jak myślisz? — odpowiedziała ze złością. — Nie ma Ariela, nie poradzę sobie w tym świecie bez niego. Kochałam go… Mieliśmy… Żyć sobie spokojnie gdzieś na uboczu… A wtedy zjawiliście się wy…

— Też chciałbym mieszkać gdzieś na uboczu, z dala od wszystkiego — odpowiedział Adam dopiero po dłuższej chwili. — Teraz to zrozumiałem. Nie dla mnie są te wszystkie wyprawy, misje. Uwierz, chciałbym spokoju. W Łodzi było mi dobrze. Ale ktoś wplątał mnie w sprawy, w które nigdy nie powinienem był się wplątywać. Chociaż nie, nie chcę tego zwalać na nich. To była moja decyzja. Wyruszenie do Poznania było moją decyzją. Zgodzenie się na misję w Suchorzowie było moją decyzją. Poszukiwanie Rorsarcha od Torunia po Piaseczno, bo tak się nazywało przed wojną to miejsce, gdzie znajdowała się osada Telepatów, też było moją decyzją. W pewnym momencie pomyślałem, że to wszystko było tak na dobrą sprawę bez celu. Bo czy cokolwiek osiągnąłem? Zastanowiłem się nad tym i tak. Coś osiągnąłem, pomimo strat. Pomimo mojej ręki, pomimo utraty przyjaciół, czy to w Żarnowcu, czy to w Piasecznie. Cała ta podróż zmieniła mnie i moje patrzenie na życie.

— Co masz na myśli…? — spytała Oliwia.

— Widzę teraz, że… Pewni ludzie mają predyspozycje do pewnych rzeczy, a inni nie. I nie powinni się pchać tam, gdzie nie powinni. Rorsarch ma predyspozycje do zmieniania świata. Anka zapewne też. Być może my ich nie mamy. I nie musimy mieć. Jedyne, czego chcę, to osiąść gdzieś, gdzie nikt nie będzie mnie niepokoić. Zaopiekuję się Jagodą i będę ją trzymać z dala od polityki i ludzi, którzy chcieliby ją wykorzystać. Będę jej bronić, oczywiście. Ale nie będziemy się pchać tam, gdzie mogą nas znaleźć kłopoty. Problemem może być to, że oboje jesteśmy poszukiwani, ale… Wierzę, że uda nam się jakoś przetrwać, a kiedy już Rorsarch i Anka uporają się z Pancerniakami i na Polskich Pustkowiach zajdą z dawna wyczekiwane zmiany, będziemy mogli odetchnąć z ulgą i dalej żyć spokojnie, nie bojąc się o własne życie.

— Hm… — Oliwia się zawahała. — Przepraszam. To, co chciałam zrobić… Nie pomogłoby wam. Ale po prostu… Nie mogłam już… Ariel był dla mnie najważniejszy i…

— Wiem. Nie zrozum mnie źle, ale nie jesteś sama. Nie musisz być sama. Możesz wraz ze mną i Jagodą poszukać swojego miejsca. Rorsarch i Anka pomogą nam je znaleźć, a potem pożegnamy się i ruszą swoją drogą, do Kutna, żeby rozprawić się z Pancerniakami. Co o tym sądzisz?
— Ja... Dziękuję. Nie zaakceptuję tego tak z dnia na dzień, ale... To chyba dobra alternatywa. Brzmi bardziej obiecująco niż... No wiesz.
— Wiem — powiedział i objął ją w geście wsparcia. — Nie jesteś sama.
— Tak — zgodziła się, a gdy mrugnęła, łzy poleciały jej po policzkach. — Nie jestem sama...

***

W **roku 2081 Cesarstwo Pancerniaków** dokonuje kolejnych ataków na **Barbarzyńców** zamieszkujących wschodnie ziemie, decydując się uderzyć na ich stolicę, **Babilon**, prowadząc długie oblężenie. **17 listopada 2081** *ktoś* wysadza schron Pancerniaków w Kutnie i tym samym zabija całe najwyższe dowództwo. W konsekwencji część miast się zbuntowała a w innych dowódcy garnizonów wykorzystali okazję. Już dzień później **Poznań** wypowiada posłuszeństwo Cesarstwu, a tamtejszy garnizon Pancerniaków przechodzi na stronę mafii Vinazzinich. Dodatkowo klęska Cesarstwa pod Babilonem przesądza o jego losie - dowódcy polowi poddają się, większość z nich zostaje natychmiast rozstrzelana, nieliczni przyłączają się do Barbarzyńców. Ci, którzy nie brali udziału w walkach ani nie zginęli w Kutnie, próbują zdobyć jak najwięcej władzy. Cesarstwo rozpada się wraz z dniem **19 listopada 2081**. Jedyni wierni jego ideom ponoć udali się do Krakowa i tam zaczęli budować osadę, jednak długo jeszcze nie byli w stanie dokonywać takich podbojów jak w ciągu poprzednich kilku lat.

Jeden z trojga pozostałych przy życiu członków drugiej ekspedycji ze Schronu Numer Dziewięć, **Kapłan**, przez długie lata dbał o przejętą przez siebie

społeczność w **Kościelcu**, krzewiąc tam i w okolicach wiarę rzymskokatolicką. Z czasem przenoszą się do **Częstochowy**, która staje się właściwie autonomią teokratyczną. Drugi, **Dziadek**, żył sobie spokojnie w **Koniecpolu** pośród prostych ludzi. Swoje ostatnie lata spędzili w tych właśnie miejscowościach, z dala od wielkich wydarzeń, ale też nigdy już nie zobaczyli, ani nawet nie dowiedzieli się, co spotkało Ariela i Oliwię.

Kiedy Kapłan i Dziadek odeszli z powodu podeszłego wieku, **Oliwia** pozostała ostatnią żyjącą członkinią drugiej ekspedycji ze Schronu Numer Dziewięć, nigdy już do niego nie wracając. Kolejne lata spędziła z **Adamem** i **Jagodą**, którzy przez pierwszy rok ukrywali się po wsiach centralnej Polski, ale gdy nadszedł czas, ruszyli na zachód, do **Gorzowa Wielkopolskiego**, perły Zachodnich Pustkowi. Adam, wykorzystując swoje doświadczenia z Poznania, został krupierem w lokalnym kasynie, a Oliwia zaczęła pracować w bibliotece, największej w całych Polskich Pustkowiach. Z czasem, wspierana przez Adama i dorastającą Jagodę, zaczynała odzyskiwać radość życia i radzić sobie coraz lepiej. **25 czerwca 2084** urodziła Adamowi dwójkę dzieci: Daniela Ariela i Justynę Julię. Adam zdradził, że Justyna było prawdziwym imieniem Rudej, bohaterki, która kosztem własnego życia pokonała Zero i przyczyniła się do zniszczenia bazy Mutantów w Żarnowcu 13 marca 2075. Pozostałe imiona również upamiętniały poległych towarzyszy. Adam zdawał sobie sprawę, że Ariel był i pozostanie prawdziwą miłością Oliwii, ale robił wszystko, by nigdy nie zwątpiła w to, że warto żyć. Jagoda wyrosła na piękną, stanowczą, poważną kobietę i postanowiła, że pójdzie w ślady babci i zajmie się polityką, ale zrobi to lepiej i zadba o to, żeby nigdy nie powtórzył się koszmar wojny.

Siwowłosy **Ryszard R.**, uciekając z obozu w Piasecznie, zdążył zabrać laptop Huberta. Wziął ze sobą obozowego kucharza, **Aina**. Podróżował wcześniej razem z nim i Robertem, który niestety poległ w bitwie pod Piasecznem.

Dołączył również do nich homunkulus **Dziesiąty**, który przeżył starcie z Pancerniakami i właściwie był powodem, dla którego tamci musieli się wycofać. Ryszard, Ain i Dziesiąty ruszyli do centrum Warszawy, wcześniej zaopatrzywszy się w środki przeciwko promieniowaniu. Korzystając ze swojego loginu *Fallen 1*, Ryszard otworzył opuszczony Schron Numer Jeden. Tam osiedli, medytowali i spisywali wiedzę, która mogłaby się przydać przyszłym pokoleniom. Po cichu *Fallen 1* wpływał na politykę w innych miastach, komunikując się z pozostałymi Upadłymi, wciąż porozsiewanymi po całych Polskich Pustkowiach. Działał tak, aby wprowadzić system zaproponowany dwadzieścia lat wcześniej przez Echo Anodę – stworzyć Wszechmocną Radę Najwyższą, która będzie za pomocą internetu wyznaczać cele lokalnym przywódcom. Do tego, powstanie nowy sejm i senat na wzór tych przedwojennych, z sądami oraz funkcją prezydenta. Realna władza jednak będzie należeć do Rady. W ten sposób Ryszard dokończy wizję Zero we właściwy sposób - zjednoczy miasta i poprzez polityków może nawet nawiąże relację z innymi krajami, które przetrwały wojnę. Zdawał sobie sprawę z tego, że plan Zero zaszedł za daleko, a stworzenie Mutantów i homunkulusów stanowiło zagrożenie dla gatunku ludzkiego, jednak wiedział też, że nie wszystkie są złe. Robert był tego przykładem. Po latach pracy wreszcie się udało. Zjednoczyli największe miasta Polskich Pustkowi, a reprezentatywną funkcję prezydenta od **2090** roku zaczęła sprawować **Jagoda Novac**. Nową stolicą został **Poznań**, który choć sezonowo zmagający się z powodziami, był znacznie bardziej bezpieczny niż Kraków czy Wrocław, które stale zmagały się z atakami Mutantów i walkami frakcji, co doprowadzało do znacznych zniszczeń. W latach 90. w miastach pojawili się tajemniczy misjonarze, którzy pomagali najbiedniejszym i ciężko chorym. Mówili o sobie, że są Upadłymi i muszą odpokutować swoje grzechy. To miało zapewne na celu ocieplanie wizerunku Upadłych, którzy przez plotki o Zero i jego armii figurowali raczej jako „ci źli”. Ryszard postanowił to zmienić. Nigdy już jednak nie wyszedł ze schronu.

A **Rorsarch** i **Anka**? Wędrowali. Tu i tam. Gdzie akurat byli potrzebni. A zawsze coś gdzieś się działo, zawsze gdzieś był jakiś konflikt. To starcia frakcji we Wrocławiu, to ataki Mutantów w Krakowie, to pogromy Zieloniaków w Bydgoszczy. Przez jakiś czas razem, potem znów osobno. Nigdy się nie zatrzymując. Pozostając w pamięci osób, które uratowali i stając się legendą, którą można usłyszeć w miastach i na szlakach

Wiele rzeczy się zmieniło, ale tak naprawdę była w tym jakaś stałość. Zmieniały się organizacje trzymające władzę, kłócąc się o zasoby i „rząd dusz" pod pretekstem obrony idei, czasem jedynie jednocząc się przeciw wspólnemu wrogowi. Mieszczanie byli przeciągani to na jedną, to na drugą stronę, często nie mając większego pojęcia, o co tak naprawdę chodzi tym na górze, bo najistotniejsze było przeżycie. Kto był najbardziej hojny z pieniędzmi, przywilejami, jedzeniem i wodą, miał tłumy w garści. A im bardziej się uspokajało, w tym większą siłę rosła ludzka chciwość i arogancja, rodząc kolejne bezsensowne konflikty.

Jak za starych czasów.

13
TRZYNASTY-SCHRON.NET